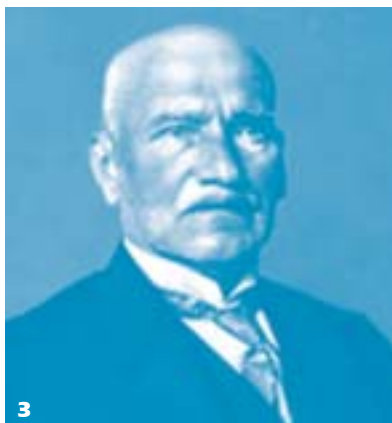


CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



1

(65) 2011

22 listopada 2010 w Krakowie ♦ Prof. Gębarowicz o kulturze umysłowej Lwowa ♦ Wspomnienia R. Machowskiej, A. Świstunia, A. Trojanowskiego, T. Olszańskiego ♦ Rozmowa z D. Nespiak ♦ Wiersz A. Chciuka ♦ Opowiadanie M. Żuławskiego ♦ O misji ss. Dominikanek ♦ Kronika ♦ Słownik ♦ Książki ♦ Wydawnictwa

PAMIĘĆ I KULTURA

Najpierw należałoby pogratulować: Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich – nasz Oddział – otrzymał ostatnio Złoty Medal Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej. Odznaczenie to, tak dla nas zaszczytne, przygotował jeszcze przed rokiem Andrzej Przewoźnik (co widać po dacie na dyplomie), jednak to, co się stało 10 kwietnia 2010 r. i co działo się potem, nie mogło sprzyjać zajęciu się do końca wieloma sprawami przez okaleczoną tragicznym wydarzeniem Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Dobrze to rozumiemy i raz jeszcze – właśnie teraz, w rocznicę 10 kwietnia – przeżywamy tamten narodowy dramat.

Jaki był (i jest) zakres opieki naszego Oddziału nad Miejscami Pamięci Narodowej? Od strony historii biorąc były to najpierw ważne inicjatywy, potem wieloletnie gromadzenie funduszy, a w końcu żmudna współpraca organizacyjna.

Od strony merytorycznej to przede wszystkim zabytkowy Cmentarz Łyczakowski we Lwowie, chociaż wcześniej i całkiem krótko zajęliśmy się, wspólnie z kilkoma osobami z innych stron kraju, inicjatywą odbudowy Cmentarza Obrońców Lwowa, zanim nie przejęli sprawy – aż do skutku – Józef Bobrowski i Andrzej Przewoźnik ze swymi wspaniałymi zespołami współpracowników. Teraz to nasze zaangażowanie w *problematykę cmentarną* rodzi coraz to nowe kontakty...

Nasz związek z Łyczakowem rozpoczął się od kwesty, którą za wzorem krakowskiego Cmentarza Rakowickiego zorganizowaliśmy po raz pierwszy w dniach 31 X–1 XI 1994. Pomógł nam w tym członek Urzędu Miasta Krakowa, a zarazem przewodniczący Obywatelskiego Komitetu Ratowania Krakowa, dr Kazimierz Trafas, lwowianin z urodzenia. Pierwsze pozyskane fundusze przekazaliśmy zespołowi ofiarnych mieszkańców Lwowa, którzy już wcześniej podjęli prace przy restauracji nagrobków i rzeźb, a także jednej z kaplic. Oddział nasz rozpoczął działania na własną rękę w 1996 r. i w tym samym roku rozpoczęły się roboty. Pośrednikiem między nami a lwowskimi wolontariuszami stał się ks. Andrzej Baczyński, ówczesny proboszcz parafii katedralnej.

I tak toczą się prace do dziś. Działa na ogół ta sama ekipa ochotników, toteż co roku notujemy w naszym kwartalniku (od CL 2/97 począwszy) zakres uratowanych dzieł sztuki rzeźbiarskiej i obiektów architektury grobowej. Cmentarz po latach upadku zyskuje na porządku i historycznej wiarygodności.

Ale to jest jedna strona zagadnienia. Jest i druga, mniej optymistyczna. Oto równocześnie miejscowe czynniki wydają zezwolenia na sukcesywne likwidowanie istniejących miejsc pochówków – nagrobków, grobowców, pomników, nie mówiąc o zapadniętych grobach ziemnych, również kryjących szczątki wybitnych postaci, bez krzyży i tabliczek, ale nietrudnych wszak do identyfikacji (administracja cmentarza dysponuje dziś komputerem). Apetyty ►



nowych kandydatów na miejsca cmentarne posuwają się coraz dalej: oto zagrożona jest poważnie Górka Powstańcza, czyli kwatera na szczycie zalesionego wzgórza, gdzie pogrzebano ponad 220 bohaterów Powstania Styczniowego 1863 r., którzy po klęsce ratowali się ucieczką spod zaboru carskiego do Galicji i we Lwowie znaleźli azyl. Tutaj po latach dalszego życia zmarli. Kilka najwybitniejszych postaci ma tu swoje pomniki (np. Benedykt Dybowski, Wizunas-Szydłowski i inni).

Jeszcze bardziej tragiczna sytuacja jest na cmentarzyku „Żelaznej Kompanii”, czyli kwatera Powstańców Listopadowych 1831 r., gdzie po akcji nowych gospodarzy – nie bacząc na tytuł przez nich nadany (!) „Cmentarza-Muzeum” – pozostało już z 47 mogił tylko kilkanaście bezcennych historycznie nagrobków. Destrukcja idzie dalej...

To są więc nowe wyzwania dla nas – w Krakowie i w całej Polsce – by ratować za wszelką cenę część historii. Władze III Rzeczypospolitej nie mogą się od tego uchylić – mają jednak Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Czekamy na jego energiczne zadziałanie wobec zaprzysiężonego z nami państwa za wschodnim kordonem.

LWÓW – MIASTO NIEOBECNE

Jestem dziwnie zawieszony pomiędzy tymi, dla których Lwów i pamięć o nim stanowi źródło życiowej energii (bowiem taka jest zadziwiająca prawidłowość), oraz tymi, którzy przez „pomyłkę historii” nie zdążyli urodzić się w mieście nad Pełtwią. Dla tych drugich kresy to kraina niemal z baśni i legend historycznych – dla mnie odżywająca jednak co chwilę, prawdziwa we wspomnieniach Ojca, pamiątkach rodzinnych, książkach dziadka Mieczysława Opałka, czy wreszcie jak najbardziej realna we wspólnym przechadzaniu się po dawnej Łyczakowskiej, Wałach Hetmańskich, zastygnięciu w zachwycie przed Kaplicą Boimów czy w przedsiönku Katedry...

Jest Lwów – miasto nieobecne w świadomości współczesnych, młodych Polaków i jest Lwów – miasto-tęsknota tysięcy, którzy musieli je opuścić i rozproszyć się po świecie. Miejsce zielonej młodości, najpiękniejszych wspomnień, zatrzymanych w pamięci obrazów ulic i zaułków, zdarzeń codziennych, które rozjaśnia na moment flesz nagłego przypomnienia...

W naszej rodzinie – jak zapewne w setkach i tysiącach rodzin, które Lwów opuściły – istnieje on nadal jako gniazdo rodzinne. Im bardziej czasy i ludzie współcześni zmieniają je, tym bardziej we wspomnieniach wydaje się idealny i budzący dumę.

Każdy pobyt na Łyczakowskim cmentarzu, na grobach pradziadków, w kasztanowych alejkach, przy których śpią snem wiecznym grobowce znamienitych Polaków, ożywia tkwiące nadal w lwowskiej ziemi korzenie życiowe kolejnych pokoleń rodziny Opałków.

Dla śp. dziadka Mieczysława, parającego się piórem i dosiadającego od czasu do czasu „chromeo Pegaza”, był Lwów przedwojenny miejscem tętniącym wydarzeniami, miejscem spotkań ze znajomymi ludźmi, których nazwiska figurowały w encyklopediach, miejscem, do którego miłość (tak – to była miłość) podpowiadała poetyckie strofy. Potrzeba działania dla tego miasta owocowała udziałem w wielu przedsięwzięciach kulturalnych, z których działalność w Towarzystwie Miłośników Przeszłości Lwowa była jedną z ważniejszych, lecz brutalnie przerwana przez wojnę.

Dla mojego Ojca Bolesława – Lwów oraz ludzie i sprawy z nim związane stały się ideał, która zawiadnęła nim całkowicie.

Czy to młodość powróciła w jesieni życia, czy tliła się cały czas, by rozjarzyć się od nowa ogniem tak silnym, że stanowi temat codzienny, najpilniejszy do załatwienia?

Wszystkie słowa są błahe. Nie sprostają, nie opiszą tego fenomenu, jakim jest dręcząca obecność własnego lwowskiego zaułka w umyśle, pamięci i sercu każdego lwowiaka. Czas i odległość nie mają żadnego znaczenia...

Na pierwszej stronie okładki

UCZENI LWOWSCY XIX/XX WIEKU

1. Kazimierz Twardowski (1866–1938): filozof, profesor i rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie; twórca polskiej szkoły filozoficznej
2. Leon Piniński hr. (1857–1938): prawnik, profesor i rektor UJK; minister ds. Galicji, członek Izby Panów
3. Oswald Balzer (1858–1933): prawnik i historyk, profesor i rektor UJK; obrońca granicy Polski nad Morskim Okiem
4. Juliusz Makarewicz (1872–1955): prawnik, profesor UJK, twórca kodeksu karnego II RP; więziony w łagrach sowieckich

22 listopada 2010

NA CÓŻ KRZYK ORLĄT...

Homilia ks. prof. Józefa Wołczańskiego w dniu 22 listopada 2010 r.
w Bazylice Mariackiej w Krakowie

Koniec roku liturgicznego – bo za kilka dni Adwent – prowadzi nas do tematów **K**ostatecznych, eschatologicznych, gdzie Pismo Święte przypomina nam o sensie życia, o istocie życia, o naszym celu – nie tu na ziemi, ale o celu ostatecznym – u Boga. Przed chwilą św. Jan Apostoł w Apokalipsie przypomniał nam o swojej wizji, którą ujrzał w niebiosach. Baranek królujący na górze Syjon, a z Nim 144 tysiące mających Jego imię i Jego Ojca na czołach swoich wypisane. Co więcej, ta mnogość stojących ludzi wokół Boga to symbol całych pokoleń, wieków, które niczym rzeźby wpływają w wieczność, doczesność, nieskończoność.

Dalej Jan pisze: *Ci Barankowi towarzyszą, dokądkolwiek idzie. Zostali oni wykupieni na pierwociny dla Boga i dla Baranka, a w ustach ich kłamstwa nie znaleziono. Są nienaganni.* Ta kategoria nienaganności, dziś tak trudno funkcjonuje w naszych umysłach. Nie ma dzisiaj autorytetów ani też ludzi nienaganych. Przeświała się każdego w jego prywatności, odziera czasem z intymności, po to aby ujrzeć w zasadzie najczęściej taką zupełną nagość człowieka. Ta nagość czasem oznacza zażenowanie, a czasem tropienie winnych. Tymczasem chodzi tu o to, aby w oczach Boga być nienagannym, przezroczyстым, bez zarzutu. Aby Bóg nas za takich uznał.

Dzisiaj gromadzimy się tu w Kościele Mariackim, w tej bazylice, aby naszymi myślami i naszą pamięcią powrócić do odległych lat, do początku XX wieku, do genezy wolnej, niepodległej Ojczyzny, kiedy kształtowały się owe postawy nienaganności, heroizmu, bohaterstwa, patriotyzmu. Kiedy najwyższą miarą było poświęcenie się dla idei. Nie samemu sobie, nie prywatnym interesom, karierze, prywatnie, egoizmowi, tak jak i własnym gustom, ale właśnie w służbie Ojczyzny. Bóg i Ojczyzna – to jedno. Ta wojna, która zaistniała, wojna ukraińsko-polska 1918–1919 r. dobrze jest nam znana z kart historii. Nie ma więc powodu, aby przytaczać poszczególne daty, wyliczać ludzi, zjawiska i konsekwencje.

Ale zwróćmy dzisiaj uwagę na kilka szczególnych znamion tamtego czasu. Oto wojna zawsze rodzi zło, zniszczenie, zawsze sieje zgubę i śmierć. Tam na Wschodzie, w Małopolsce Wschodniej, było to przecież logiczne, że polskość, patriotyzm zawsze łączyły się z Kościołem rzymskokatolickim. Funkcjonowało pojęcie, które nie było wcale stereotypem: Polak-łaciennik. Polak obrządku rzymskiego. Ukraińcy wiedząc o tym, że to Kościół na prowincji, zwłaszcza na wsiach, jest ostoją polskości, zwrócili swoje ostrze nienawiści przeciw świątyniom rzymskokatolickim, duchowieństwu i wiernym. Jeden z senatorów pisał, że oficer ukraiński zwrócił się do księdza rzymskokatolickiego: *Gdyby ciebie tu nie było, nie byłoby też Polaków.* Przy braku szkół, przy braku oświaty, na wsiach, w tej małej czasem grupce rodaków – to Kościół budził poczucie tożsamości, to wiara rzymskokatolicka była nośnikiem więzi z Zachodem, cywilizacją kultury zachodniej, nie Bizancjum, nie Wschodu, ale Zachodu. Dawała tym ludziom zakotwiczenie w wielowiekowej spuściźnie cywilizacji kultury Zachodu, Europy Zachodniej. Stąd ostrze wymierzone w niszczenie tego, co łacińskie, co rzymskokatolickie, wreszcie – co polskie. I na samym początku zamordowano sześciu duchownych rzymskokatolickich. Dziesięciu padło próbom zamachu, 85 internowano, 44 sądzono przed sądem. W samym Lwowie zniszczono osiem kościołów, ostrzeliwanych często w momentach zawieszenia broni. To właśnie w czasie zawieszenia broni podczas świąt Bożego Narodzenia w roku 1918 ostrzelano katedrę i kościół św. Elżbiety. Z kolei w czasie Wielkanocy w roku 1919 padły na kościoły

Dominikanów i Karmelitów również pociski artyleryjskie. Na prowincji z kolei 37 kościołów łańskich całkowicie zniszczono. W ślad za niszczeniem kościołów, świątyń – ostoji patriotyzmu, religii i wolności – niszczone również elementy kultury łańskiej. Na pierwszy rzut poszły pomniki, które pokazywały pewien pietyzm dla kultury zachodniej. W Tarnopolu, w Złoczowie, w Stanisławowie usunięto pomniki Mickiewicza. Słowacki padł pod ciosami siepaczy w Tarnopolu, Żółkiewski i Sobieski w Żółkwi, a Kiliński w Stryju. W ich miejsce stawiano bohaterów nowego czasu. To niszczenie kultury miało niezwykle wymowny swój sens. Jeśli człowiekowi odbierze się język, kulturę, wolność, słowo, staje się niewolnikiem. Ale równolegle do tych działań prowadzono również prześladowanie ludzi świeckich, katolików. Powstawały okrutne obozy dla internowanych w Złoczowie, w Kołomyi, w Jazłowcu, w Czortkowie, w Mikulińcach, w Strusowie i w Żółkwi. Tam przez kilka miesięcy prawie 40 tysięcy Polaków poddanych zostało gehennie. Brak leków, brak żywności, szeregający się tyfus, choroby – dziesiątkowały więźniów. Trzy polskie sanitariuszki ze Lwowa: Teodozja Dzieduszycka, Maria Opieńska i jeszcze jedna – Maria Dulębianka udały się z misją sanitarną, aby pomóc tym internowanym w Mikulińcach. Dwie z nich – Dzieduszycka i Dulębianka przyplącały swą misję życiem. Pochowane są dziś w grobowcach na Cmentarzu Orłąt we Lwowie. Ocalała jedna. Jej relacje są wstrząsające. Wiadomo było, że nie ma stamtąd powrotu. Bóg chciał, że ta wojna dość szybko się skończyła, niecały rok, dziewięć miesięcy, ale wszyscy powtarzali, że gdyby trwała dłużej, nie byłoby mowy o zachowaniu polskiej substancji etnicznej na Kresach. To wszystko rozumieli również polscy dowódcy. Jeden z nich – generał Rozwadowski pisał do metropolity Szeptyckiego 3 I 1919 r.: *Dowództwo stwierdza, że ze strony duchownych – kierowników Ukraińców w ciągu całego trwania walk zbrojnych nie padł ani jeden głos protestu przeciwko gwałtom i okrucieństwom. Ani jeden nie został podjęty krok zmierzający do położenia kresu bezmyślnemu pastwieniu się nad cywilną ludnością – jeńcami polskimi. Moralną za to odpowiedzialność, za tę okoliczność, te gwałty ponosić musi między innymi także i duchowieństwo greckie-ukraińskie, pozostające w stałym kontakcie i porozumieniu z kierującymi czynnikami ukraińskimi. Duchowieństwo unickie winno hamować, a nie jak wielokrotnie stwierdzano – rozjudzać sztuczna nienawiść Ukraińców do Polaków.*

Ta bratobójcza wojna dobiegła końca, ale jej rany i skutki pozostały do dzisiaj. Dzisiaj czcimy pamięć tamtych czasów. Rodaków, młodych naszych rodaków, Polaków stamtąd, których bohaterstwo i heroizm uratowały miasto. Ale również zastanawiamy się, co dzisiaj dla nas wynika z tej lekcji patriotyzmu. Jaką wynosimy naukę z tamtej lekcji, tamtych epok. Czy to tylko pełne nostalgii wspomnienie? Czy tylko pełne zadumy liturgiczne przywołanie bohaterstwa i męstwa? Z całą pewnością dziś nie jest łatwo kultywować tamte ideały. Widzimy, że szeregi naszych wschodnich rodaków tu w Polsce topnieją. Kresowiaci w zasadzie odchodzą w przeszłość. Starzeją się, tracą siły, pamięć i tracą wreszcie życie. Taki jest tok normalnej ludzkiej egzystencji. Ale przecież zostaje coś najcenniejszego, poza pamięcią pozostaje przecież kultywowanie tradycji. Warto więc się zapytać, co w naszych domach zostało z tamtych czasów. Czy nasze dzieci, nasze wnuki są zakotwiczone w tradycji kresowej? Czy rozumieją ideę kultywowania pamięci, tradycji? Czy nasze pamiętki rodzinne są w dobry sposób zabezpieczone? Kilka miesięcy temu odwiedziłem pewną krakowską organizację kombatancką, która narzekała, że posiada bardzo bogate archiwum, a jej członkowie są w zasadzie bliscy śmierci. Poszukiwali miejsca depozytu swoich zbiorów. Wskazałem im, że na naszym Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II funkcjonuje od kilku lat Wydział Historii i Dziedzictwa Kulturowego. Prowadzimy studia wschodnie, które również kultywują pracę naukowo-badawczą nad tymi problemami. Przybyła delegacja owych kombatanatów, obejrzała wszystkie sale, wyraziła nawet uznanie dla ich wyposażenia i nadzieję, że będą spełniać swoją rolę, ale po kilku tygodniach usłyszałem lakoniczną odpowiedź: *Właściwie nie ma sensu, bo jeszcze my sami możemy się tym zająć.* A ich praca polega na tym, że przychodzą trzy starsze panie, piją herbatę, oglądają te kartki, opowiadają o swoich wspomnieniach, zamykają biuro na klucz i wracają do domu. Jaki będzie los tych materiałów za rok, za dwa, za pięć? Czy nie podzielią losu

archiwaliów, które lądują na śmietniku, albo makulatury nikomu niepotrzebnej? Czy nie czas myśleć o zabezpieczeniu takich zbiorów, pamiątek, materiałów z przeszłości, które same w sobie są świadectwem życia. Czy nie warto szukać instytucji, osób, ludzi, które mogą te dokumenty zdeponować. Kilka lat temu w środowisku krakowskim kresowiaków powstała idea powołania do życia kresowego instytutu. Świetna idea, świetna inicjatywa, ale jak się okazuje – pozostała w sferze marzeń. Nie było ani pomysłu, co robić z tą ideą, ani pieniędzy, ani ludzi, ani też wreszcie środowiska, które zajęłoby się badaniem, gromadzeniem, zabezpieczaniem dokumentów prawnych. Popatrzmy, co robią Niemcy. Popatrzmy na wypędzonych Niemców – ile w nich jest inwencji, ile pomysłów, ile werwy, ile pomysłowości na co dzień. Przecież wystarczy popatrzeć na bibliografię najnowszej historii niemieckiej: ile jest wspomnień publikowanych o ich kresach wschodnich, a nawet o pobycie Niemców w Rosji, nad Wołgą. Opasłe tomiska, często jednego autora, z dokumentacją, z fotografiami, z przypisami. Czy możemy się z nimi równać? Czy nie stać nas na taką postawę pamięci o tamtych czasach? Czy mamy pozwolić, żeby przeszłość zmarła z nami? Czy mamy zgodzić się, żeby wieko historii zamknęło się wraz z naszym odejściem? Przecież za lat kilkanaście, kilkadziesiąt tamte obiekty na Wschodzie zostaną całkiem przebudowane, przetworzone, nie będzie śladu po kulturze łacińskiej, zachodniej. Już dziś pokazują się we Lwowie publikacje pod tytułem *Barok ukraiński, Gotyk ukraiński, Renesans ukraiński*. Nikt nie polemizuje z tymi książkami, bo trudno jest walczyć z wiatrakami, ale jeśli my zaniedbamy tę ideę dokumentowania, zbierania, w zasadzie uznamy się za zwyciężonych. Na cóż wtedy krzyk Orłąt? Na cóż wtedy ich bohaterstwo, ich zmaganie, ich nieustępliwość, ich heroizm? Czy warto było walczyć? Czy warto było ginąć za Lwów? Czy warto było oddać życie za ideę polskości? Te pytania są smutne, ale jednak powinny nas jakoś zainspirować do myślenia dojrzałego o dziedzictwie naszych przodków, o kultywowaniu pamięci, która nie jest tylko nostalgią, dawnym wspomnieniem, jakąś reminiscencją przeszłości, ale jest dojrzałym budowaniem tu i teraz naszych losów – tam biorących początek, ale niedokończonych, niespełnionych, które mogą wydać owoce wielkiej kultury, szlachetności i piękna.

Boże Wszechmogący spraw, abyśmy nauczyli się mądrze oceniać dni nasze, bo przecież one tu wracają. Pozwól nam zdobyć się na odwagę budowania tego, co wartościowe. Daj nam ochotę na pracę u podstaw, aby nie zaprzestać myśleć o tym, co wielkie, aby nie przespać chwili dzisiejszej, bo przecież jutro zaczyna się już dzisiaj. Panie, naucz nas liczyć dni nasze, byśmy zdobyli mądrość serca. Amen.



Ks. Józef Wolczański podczas mszy św. w Bazylice Mariackiej w Krakowie 22 XI 2010

Modlitwa Wiernych na Mszy Świętej za Orłęta Lwowskie 22 XI 2010 roku

Kościele lwowski, wypłyni na głębie – jest przy tobie Chrystus.

Boże, Panie dziejów, prosimy Cię za Kościół święty na ziemi lwowskiej, któremu po ciemnej nocy sowieckiego ateizmu udzieliłeś daru wolności. Spraw, aby odzyskał zagrabione mu niegdyś świątynie i mógł bez przeszkód głosić swe posłannictwo miłości i pokoju, służąc zwłaszcza opuszczonym i pokrzywdzonym. Ciebie prosimy, wysłuchaj nas Panie.

Ojczyzna jest Matką – przeklęty kto zasmuca Matkę swoją.

Boże, źródło miłości, otaczaj naszą ojczyznę swą wszechmocną opieką i wzbudź w niej kolejne pokolenia ludzi wiernych nauczaniu Kościoła, mądrych, solidarnych i ofiarnych. Spraw, aby rządzący naszym krajem umieli przyczynić się do zwycięstwa prawdy, sprawiedliwości i miłości w życiu publicznym. Ciebie prosimy...

Ziemi nie da się oszukać – kto wrzuca w nią złe ziarno, zbiera plewy.

Boże, źródło przebaczenia i pojednania, uwolnij naszych sąsiadów Ukraińców od szerzącego się wśród nich zgubnego nacjonalizmu. Spraw, aby ziemia kresowa, a zwłaszcza Lwów był – tak jak w przeszłości – przykładem zgodnego współżycia różnych narodów, religii i kultur. Ciebie prosimy...

Krew męczenników posiewem wiary i miłości.

Boże Najświętszy, prosimy Cię o wyniesienie na ołtarze sług Twoich: o. Wenantego Katarzyńca, o. Serafina Kaszuby, o. Ludwika Włodarczyka, ks. Władysława Bukowińskiego, ks. Pawła Mosinga, Matki Ludwika Morawskiej, zakonników dominikańskich z Czortkowa oraz wielu innych bohaterskich świadków wiary na Kresach, których męczeństwo nie spotkało się dotąd z należyтым uznaniem. Spraw, aby przykład ich życia owocował wzrostem wiary i pojednaniem narodów, które czerpią z tego dziedzictwa. Ciebie prosimy...

Zwyciężyć i spocząć na laurach to klęska. Być zwyciężonym, a nie ulec to zwycięstwo.

Boże, życie i zmartwychwstanie nasze, przyjmij do swej chwały dusze bohaterskich obrońców Lwowa i ziem południowo-wschodnich z lat 1918–1920, 1939 i 1944, zamordowanych w Katyniu, ofiary sowieckiego, hitlerowskiego i ukraińskiego totalitaryzmu. Spraw, aby przykład ich życia zawsze pobudzał serca Polaków do ofiarnej służby ojczyźnie i pielęgnowania pamięci o Kresach. Ciebie prosimy...

Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli.

Boże, źródło prawdy i męstwa, przyjmij do swej chwały wszystkie ofiary smoleńskich wydarzeń z 10 IV 2010 roku, a zwłaszcza śp. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego i jego małżonkę Marię, którzy ponieśli śmierć w służbie Rzeczypospolitej. Spraw, aby na przekór manipulacjom i kłamstwom zostały wyjaśnione i naświetlone opinii publicznej wszystkie aspekty tamtej tragedii. Ciebie prosimy...

Błogosławieni, którzy w czasie gromów nie utracili równowagi ducha.

Boże miłosierdzia, otaczaj swą opieką naszych rodaków za wschodnią granicą, którzy mimo wielu przeciwności wciąż trwają na kresowym posterunku. Spraw, aby zostały im zapewnione możliwości swobodnego i nieskrępowanego rozwoju, pielęgnowania wiary ojców, rodzimej kultury i języka, posiadania potrzebnych im domów i instytucji. Ciebie prosimy...

Narody tracąc pamięć tracą życie.

Boże mocy ufających Tobie, błogosław nam samym oraz wszystkim, którzy nie ustają w pracy nad zachowaniem kresowego dziedzictwa historycznego i kulturowego zarówno w kraju, jak i poza jego granicami. Spraw, aby dzięki zaangażowaniu władz państwowych powstała instytucja, która dysponując odpowiednim zapleczem naukowym i materialnym, szczerze przyczyniła się do wykonania tego zadania. Ciebie prosimy...

ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski

Zerwali flagę, wyrzekli się tradycji

4 września 2010 r. na stadionie Widzewa został rozegrany mecz towarzyski Polska – Ukraina, zakończony remisem. Spotkanie piłkarskie przebiegało w dobrej atmosferze, bez awantur, a kibice obu drużyn narodowych siedzieli spokojnie między sobą. Na trybunach pojawili się m.in. Lech Wałęsa, Grzegorz Lato i minister sprawiedliwości Krzysztof Kwiatkowski. Na mecz przyjechali także kibice Unii Tarnów. Zabrali oni ze sobą 13-metrową flagę, którą powiesili w centralnym miejscu płotu okalającego boisko. Na fładze widniały biało-czerwone barwy i godło państwowe z orłem w koronie, a także herby trzech najstarszych polskich klubów piłkarskich: Lechii Lwów, Czarnych Lwów i Pogoni Lwów, pięciokrotnego mistrza kraju. Na fładze dodatkowo umieszczony został napis „Lwów kolebką polskiego piłkarstwa”.

Flaga ta wisiała spokojnie przez dwie i pół godziny. Jednak na pięć minut przed rozpoczęciem meczu ochroniarze zerwali flagę, rzucili na ziemię i zabrali mimo protestów ze strony kibiców z Tarnowa. Ci ostatni tak to relacjonują: *Ta bezczelna kradzież, połączona z profanacją barw narodowych na oczach tysięcy ludzi i obiektywów telewizyjnych kamer, przeszła praktycznie bez echa. Zszokowani rozmawialiśmy z kibicami Widzewa, którzy zobowiązała się odzyskać*

flagę. Okazało się, że możliwe to będzie dopiero po meczu, a zerwanie flagi odbyło się na żądanie PZPN-u, gdyż – cytując: „Ukraińcy zagrozili, że nie wyjdą na boisko” (!). Chcemy podkreślić, że flaga powstała, żeby upamiętnić kluby, które dały początek polskiej piłce nożnej, a więc także PZPN-owi oraz reprezentacji, na której mecz przyjechaliśmy. Flagą nikogo nie obraża i nie zawiera żadnych treści czy znaków, które mogłyby stać się pretekstem do waśni, nienawiści czy innych negatywnych emocji. Czy to samo można powiedzieć o akcji ochrony na polecenie PZPN-u? Czy polski związek może współuczestniczyć w profanacji barw narodowych Polski w imię podlizywania się sąsiadowi? (...) Czy po to człowiek wydał 70 zł na bilet i jechał cały dzień przez pół Polski, żeby zostać bezczelnie okradzionym ze swojej własności i godności?

Na znieważenie barw narodowych i godła państwowego nikt z oficjalnych gości nie zareagował, choć wszyscy cały incydent widzieli doskonale. Po Lechu Wałęsie i Grzegorz Lacie (b. senatorze SLD) trudno się spodziewać, by stanęli w obronie flagi, zwłaszcza że o historii Lwowa wiedzą zapewne niewiele. Jednak minister Kwiatkowski (b. sekretarz premiera Jerzego Buzka, skądinąd znany mi osobiście ze szlachetnej pracy społecznej na rzecz osób niepełnosprawnych) z racji sprawowanej funkcji nie może nie reagować. Jego milczenie jest bowiem zarówno akceptacją zniewagi, jak i zielonym światłem dla podobnych tego typu wydarzeń, które za dwa lata mogą dzieć się na stadionach.

Powyższy tekst jest fragmentem artykułu pod tym samym tytułem, zamieszczonego w „Gazecie Polskiej” z 15 IX 2010.

Bracia Kucharowie – historia i tradycja sportu Lwowa i całej Polski



Mieczysław Gębarowicz

Kultura umysłowa Lwowa w dobie renesansu

Poniższy tekst składa się z fragmentów opracowania, które prof. Gębarowicz nadesłał ze Lwowa w 1984 r. na krakowską sesję naukową w 400-lecie zgonu Jana Kochanowskiego. Zasłużony na polu badań i ratowania zabytków kultury ziem kresowych, Nestor polskich historyków sztuki, nie zdołał wziąć osobiście udziału we wspomnianej sesji. Zmarł „na posterunku” w swym ukochanym Lwowie na miesiąc przed jej rozpoczęciem 2 września 1984 r. (Red.)¹

Lwów, udział jego i rola w rozwoju życia duchowego kraju nie zostały dotychczas wyczerpująco opracowane, chociaż wypowiedziano na ten temat od wieków różne zdania. (...) Lwów był najdalej na południowy wschód wysuniętą ostoją humanizmu o dalekim promieniu działania, jego zaś synowie nie najgorzej reprezentowali polskość za granicą. W XVI wieku mieszkali tu Polacy, Rusini-Ukraińcy, Ormianie i Żydzi (...). Te cztery nacje stanowiły już w owym czasie wynik integracji różnorodnych żywiołów, z których się one pierwotnie składały. Byli to, prócz miejscowej ludności, obcy przybysze: Niemcy, Ormianie, Wołosi, Grecy, Włosi i Anglicy. W ciągu XVI w. odbywała się w przyspieszonym tempie ich asymilacja i to na podstawach religijno-wyznaniowych. Wszyscy przybysze z Zachodu – katolicy, weszli w skład nacji polskiej, która przez pięć blisko wieków zajmowała decydujące stanowisko zarówno w administracji miasta, jak i w jego życiu duchowym.

Nacja ruską wchłonęła wszystkich wyznawców Cerkwi wschodniej, głównie Wołochów i Greków, którzy w jej życiu reprezentowali żywioł najbardziej aktywny i zamoż-

ny, tworząc swego rodzaju patrycjat (...). Rusini uprawiali handel i rzemiosło (...). Dziedzinami wyższej wytwórczości było piśmarstwo i iluminatorstwo ksiąg oraz malarstwo zaopatrujące cerkwie w nieodzowne, ze względów liturgicznych, wyposażenie (...). W trzeciej ćwierci XVI w., w związku z naporem kontrreformacji, (...) pojawiło się własne drukarstwo, w którym Ruś (także kijowska) wyprzedziła inne nacje, a w wyposażeniu graficznym jego produkcji zaznaczyła swą odrębność przez stworzenie oryginalnego typu książki drukowanej. Na skutek zaostżenia się antagonizmów religijnych po Tridentinum i wzmożenia agresywności kontrreformacji rodzi się literatura polemiczna, a chociaż do niej zaczyna powoli przenikać język polski, trudno mówić o udziale Rusi w rozwoju kultury Renesansu we Lwowie w XVI wieku.

Ormianie (...) umieli od samego początku zabezpieczyć sobie autonomię kulturalną. Broniona przywilejami królewskimi Kazimierza Wielkiego i jego następców, zapewniała im nie tylko swobodę religijną, ale i sądownictwo, w oparciu o własne prawo i język (...). Potrafili oni zorganizować działalność handlową z własnym bankiem włącznie. Uprawiali Ormianie artystyczne rzemiosło. Próbowali też rozwinąć działalność literacką i naukową, ale ta, utrzymana w języku ormiańskim, była dla innych niedostępna (...). W życiu duchowym społeczeństwa polskiego nie odegrali większej roli.

Podobnie przedstawiała się sprawa w odniesieniu do czwartej nacji, a mianowicie Żydów. Rozrastając się liczebnie i ciężąc coraz silniej na ekonomice całego

Czarna Kamienica
na Rynku Lwowskim



Kamienica Lwów

kraju, żyli oni, jak na całym świecie, w absolutnej izolacji swego getta. W życiu kulturalnym otaczającego ich społeczeństwa byli nieobecni i nie pozostawili po sobie żadnych śladów. Ta bowiem dziedzina była wyłączną własnością polskiej większości i dziwić się tylko można, że Grüneweg², kreśląc sugestywną mozaikę wyglądu miasta i jego mieszkańców, nie zainteresował się głębiej ich kulturą.

Zastąpił go pod tym względem holenderski humanista Jerzy Dousa, który bawił we Lwowie dwukrotnie, w 1597 i 1598 r. Jadąc do Konstantynopola drogę obiera na Lwów, co wykorzystuje, aby osobiście spotkać się z Szymonem Szymonowiczem, którego cztery utwory facyjskie znał i podziwiał. Przyjęty bardzo gościnnie przez poetę i jego ojca Szymona z Brzeziny, miał sposobność poznać całe, skupiające się w ich domu gro- no ludzi uczonych i utalentowanych. Wśród nich wyróżniał się, obok gospodarzy, Andrzej Mądrowicz; zdolnościom jego erudycji nie mógł się dość nadziwić, podobnie jak i nie nazwanego imieniem tłumacza polskiego, ormiańskiego pochodzenia (...) Świadectwo Dousy, jako człowieka obcego, nie „zainteresowanego” i rozporządzającego odpowiednimi doświadczeniami oraz skalą porównań, dowodzi, że Lwów renesansowy, w którym nie było uniwersytetu ani podobnego ośrodka skupiającego ludzi wykształconych, znał instytucję w rodzaju salonów artystyczno-literackich, gromadzących elitę umysłową miasta.

Kultura umysłowa była wysoko ceniona (...) jako narzędzie w służbie publicznej. Stąd troska o szkołę katedralną, pilne rozglądanie się za kandydatami na jej rektorów wśród absolwentów uniwersytetu krakowskiego (...). Z drugiej jednak strony miasto, które ściąga zamiejszcowych humanistów na stanowiska sekretarzy i syndyków, odstępuje swych synów innym miastom i instytucjom (...). Do takich należeli Jan Leopolda Starszy i Młodszy, dwaj wybitni teologowie, profesorowie Akademii Krakowskiej, oraz prawnik Stanisław Krzyszczanowicz (1577–1617). Syn chłopca z podlwowskiej Zubrzy, skończył szkołę katedralną i uniwersytet krakowski, po czym zajęty w kancelarii królewskiej osiadł na jakiś czas jako prorektor gimnazjum we Lwowie (...). W latach 1596–1606 zajmował



Wieża kościoła Benedyktynów we Lwowie

się wychowywaniem młodych arystokratów, z którymi zwiedził uniwersytety zagraniczne w Würzburgu, Fryburgu w Bryzgowii, w Lowanium (Louvain), Moguncji, Londynie, Oksfordzie, Paryżu i Padwie. Czas ten wykorzystywał i dla siebie, uzupełniając studia i zdobywając stopnie naukowe, a także publikując tam swoje prace (...). Wśród nich znalazło się popularne kompendium wiedzy o Polsce dla cudzoziemców pt. *Polonia sive brevis. Descriptio statuum Poloniae* (Moguncja 1606) (...).



Ołtarz dłuta Jana Białego w katedrze lwowskiej



Nikołaj Śmieszek, inaczej Gelasinus (około 1520–1580), syn zamożnego bednarza lwowskiego, po skończeniu szkoły katedralnej udaje się na uniwersytet krakowski, gdzie zwraca na siebie uwagę zdolnościami i wiedzą. Uzyskuje też rychło katedrę literatury starożytnej w Kolegium Mniejszym (...), przyjmując dodatkowo obowiązki rektora szkoły katedralnej na Wawelu. Później (...) rozwija owocną działalność (...) jako rektor gimnazjum w Elblągu, a po powrocie z Krakowa

(...) opracowuje i wydaje u Łazarza *Orationes duae*; w dziele tym atakuje on śmiało scholastyczną filozofię, która zapanowała wszechwładnie na uniwersytecie krakowskim. Wreszcie w 1553 r. wyróżdża do Padwy i tam zastaje liczne grono humanistów polskich z Janem Kochanowskim na czele. Z Padwy udaje się na coraz to modniejszy uniwersytet w Rzymie „La Sapienza”, na którym uzyskuje doktorat obojga prawa. Po powrocie do kraju i krótkim pobycie w Krakowie osiada we Lwowie. Zostaje członkiem Rady Miejskiej (...).

Lepiej powiodło się Stanisławowi Anserynowi (ok. 1542–1629), synowi szewca Stanisława Gęsianoga lub Gęsianózka (...). Kończy studia w Krakowie ze stopniem bakałarza, wraca w 1568 r. do Lwowa (...), pnie się coraz wyżej, dostaje się do Senatu Lwowa, staje się jednym z najpoczetniejszych dygnitarzy miasta i zarazem członkiem jego elity umysłowej, oddaje mu też rzetelne usługi (m.in. jako archiwista).

O zainteresowaniach intelektualnych mieszczaństwa lwowskiego świad-

czą liczne biblioteki prywatne. Wystarczy przytoczyć bibliotekę Alembeków, która, stworzona przed 1585 rokiem, przetrwała w rękach czterech pokoleń aż do 1712 r. W momencie szczytowym liczyła ona 1248 dzieł, przeważnie w języku łacińskim i włoskim, w sześciu działach i 45 armiach (szafach) (...). Do tego trzeba doliczyć biblioteki kościelne. (...).

Resztki biblioteki kapitulnej po ostatnich dwóch wiekach plądrowania dostały się w czasie drugiej wojny do Biblioteki Uniwersyteckiej we Lwowie. Liczy ona kilka tysięcy druków, w tym około 600 inkunabułów i druków XVI w. Kanonik i oficjał lwowski Wojciech Perlicki w 1607 r. przekazał kapitule swój księgozbiór. Jego resztki, w ilości kilkudziesięciu okazów, noszą wyraźnie ślady bibliofilstwa, stanowi je zaś predylekcja do większych formatów, oprawy w miękkiego pergaminu barwionego zielono lub czerwono, ze złotym ekslibrisem, który tworzył herb Jelita, czasem w inicjałami właściciela.

Najwybitniejszy kompozytor lwowski epoki Renesansu, Marcin Leopolda (...) karierę swoją rozpoczął w orkiestrze dworskiej króla Zygmunta Augusta (...). We Lwowie znalazł on podobno, może nie tylko moralną, opiekę u Jana Jelonka (Cervus) z Tucholi, który sam należał do najwybitniejszych przedstawicieli duchowieństwa i zarówno przez swe prace drukowane, jak i działalność wychowawczą, oddał szkolnictwu i nauce ogromne zasługi.

Piotr Skarga (...) zjawił się we Lwowie w 1561 r. jako świecki człowiek, towarzysko obyty na dworze Tęczyńskich; wkrótce jednak, stwierdziwszy u siebie istnienie powołania, wyświęca się na księdza i zostaje



proboszczem w Rohatynie. Stamtąd przenosi się do Lwowa w 1564 r. i otrzymuje stanowisko kaznodziei, na którym zdobywa niesłychaną popularność (...). Na jego kazania schodzą się tłumy z miasta, a nawet okolicy. Jako humanista, stylistą i człowiek wielkiej kultury osobistej daje się poznać i poza kazalnica (...).

Inny humanista, Paweł Szczerbic, osiadł we Lwowie w 1577 r. jako syndyk miejski (...). Po jedenastu latach starań zorganizował własną drukarnię i wydał własny przekład prawa niemieckiego pt. *Speculum Saxonum albo Prawo saskie i magdeburskie* (1581) obok drugiego, podobnego *lus municipale to jest prawo miejskie magdeburskie*. Prace te poprzedzają łacińskie wiersze polecające, których autorami są Wojciech Noga Pedanius, Szymon Alexandrinus, Wojciech Ostrosz, Stanisław Anserinus i Mikołaj Gelasinus, a więc elita dygnitarzy miejskich, wychowanków uniwersytetu krakowskiego (...). Wedle Szczerbica (...) zdolności i wiedza nie są własnością jednostki, ale należą do całego narodu, który ma prawo wymagać, aby mu służyły. (...)

Życie Lwowa w epoce Renesansu znalazło w literaturze mniej lub bardziej pełne odzwierciedlenie. Dla przykładu odnotujmy kilka odnośnych wypowiedzi: Jan Jelonek Cervus z Tucholi: *Farrago actionum iuris civilis* z 1540 r., Benedykt Herbest: *Orationis ciceronianae (...) explicatio*, 1560 r, Bartłomiej Paprocki: *Herby rycerstwa polskiego*, 1584 r., Sebastian Paprocki: *Roxolania*, 1584 r. Wszystkie te utwory poświęcają tematyce lwowskiej po kilka zdań, natomiast prawdziwym tryumfem tego odcienia zainteresowań miał stać się wydany w Zamościu w 1597 r. *Potrójny* z Plauta Piotra Cieklińskiego (1558–1604).

W inwentarzach bibliotek mieszczkańskich występuje m.in. nazwisko Kochanowskiego i trudno przypuścić, żeby twórczość jego pozostała nieznana. Co więcej mamy dowód, że był on nie tylko znany, ale i naśladowany. Świadkiem koronnym w tej mierze jest Adam z Czarhowa Czarhowski (ok. 1565–ok. 1600), jedna z najbardziej ciekawych i zagadkowych postaci, jakie zna literatura polska (...). Po niezwykle burzliwym okresie życia wydaje swe szeroko rozpo-

dokończenie na s. 20

Adam Krajewski

Lwowskie przedmieścia

Obrazki i szkice sprzed półtora wieku (3)

JANOWSKIE

Janowskie przedmieście nie miało nigdy dobrej sławy. Od awanturników aż się tam roiło, a archiwa lwowskich sądów karnych mogłyby wiele o nich powiedzieć. Wiadomo było, że część bandy słynnego opryszka Neczyporowicza na Janowskiem miała siedzibę. Bliskość lasu Bitohorszczy i błonia oraz derby na gruntach zw. Pilichowskie, ciągnące się aż ku Kortumówce i Kleparowu, stanowiły kryjówki bandyckie, a zarazem utrudniały pościg za rabusiami i awanturnikami. Jeszcze żywo stoi w pamięci napad na dom akcyzowy przy rogatce janowskiej, a także pożar siana przed rogatką, gdzie kilkadziesiąt tych włóczęgów życie straciło.

Lewa strona przedmieścia była martwa, od czasu gdy na niej pobudowano gmachy wojskowe. Po prawej stronie ostatnim był młyn parowy Thoma. Poza nim już tylko małe domki i dworki, wśród nich resztki dworku Łozińskiego nie raz przebudowywane. Oprócz trzech, gdzie są ślady stylowych okien, próżno dziś szukać tam resztek dawnego gościńca, zaczynającego się od kościoła św. Anny, a wiodącego do Janowa, Jarosławia i na Kraków.

Na wzmiankę przy tej ulicy, na którą zawiózł cywilizację ostatni tramwaj, zasługują jeszcze staw Hellebrandów, gdzie z reguły (brak dozoru) musiał się ktoś utopić. Staw zresztą istnieje do dziś jako zaniedbane, zapuszczone bagnisko.

KLEPARÓW

Sąsiadujący z Janowskiem bezpośrednio Kleparów, dawniej sławny czerechami kleparowskimi, był raczej wsią niż przedmieściem. Po względem zachowania się przeciętnego kleparowianina nie ma różnicy w porównaniu z janowskim sąsiadem. Zajęciem tych przedmieszczan był dawniej



ogrodnictwo i sadownictwo, ale od dawna porzucili je dla korzystniejszej, jak sądzą, mularki. Co prawda kolej i łatwość dowozu wszelkich produktów warzywnych i owocowych stanowią dla nich konkurencję, niełatwą do zwalczenia.

Przy omawianiu przedmieścia Żółkiewskiego będzie sposobność wskazania, co właściwie wpłynęło na pewną deprawację północno-zachodniej i północnej strony Lwowa.

ZIELONE I STRYSKIE

Jako część ogromnie rozległego przed wiekami przedmieścia Halickiego, nie odgrywało Zielone wybitniejszej roli we Lwowie. Martwa to była dzielnica i jedynie obszerne podwórza zajędne przy niektórych domach wskazują do dzisiaj, że ulica ta była niegdyś jednym z traktów do Rohatyna, Stanisławowa, Kołomyi i dalej na wschód. Z dawnych podmiejskich dworców magnackich stoją jeszcze pałacyki Zamoyskich i Dzieuszyczych.

To samo da się powiedzieć o Stryjskiem, dziś nie do poznania zmienionym od czasu wystawy w r. 1894.

ŻÓŁKIEWSKIE

Przedmieście Żółkiewskie, ów ogromny obszar zamknięty z jednej strony ulicami Szpitalną i Źródlaną, z drugiej górą Zamkową i dobrami pod Łysą Górą i Kisielką, a od południa placami Gołuchowskiego i Krakowskim, nosiła na sobie od wieków cechy wybitnie żydowskie. I jeżeli zważywszy, że na tym miejscu rozsiedli się Żydzi już od XIV stulecia, a nawet dawno przed zajęciem Czerwonej Rusi przez Kazimierza Wielkiego, to dziwić się istotnie nie należy, że tylokrotne napady tatarskie, kozackie i tureckie nie starły bez śladu tego przedmieścia, niczym nieufortyfikowanego, a zupełnie po miejsku i gęsto zabudowanego. Jest to tym dziwniejsze, że inne przedmieścia, a szczególnie Halickie,

niemal przy każdym najeździe padały ofiarą ognia, rzezi i jasyru.

Tajemnicę tej pewnego rodzaju samoobrony wyjawi może kiedyś jakiś historyk Lwowa. Wygląd tej dzielnicy prawie się nie zmienił w ciągu pół wieku, chyba że gdzieś tam miejsce małych domków zajęły kamienice, nawiasem brudne jak i ich poprzedniczki. Dzielnica to handlowa, jak dawniej, z małą zmianą obyczajów w niej – im dalej na przedmieście, tym gorsze, np. na Zamarystynowie.

Dr Majer Bałaban w swym znakomitym dziele *Żydzi lwowscy na przełomie XVI i XVII wieku* tak pisze o tym przedmieściu:

Mieszkał tu Żydzi luzem między chrześcijanami. Tu też mieszkali szumowiny społeczeństwa żydowskiego, jak koniokrady, zbóje i różne zawadliwcy, jak chrześcijański mob na Gliniańskim szlaku. Tutaj mieszkał zbój Dawid, zwany Konfederat: zebrał on bandę zbójów w rodzaj konfederacji i rozbijał przejeżdżających na drodze ku Glinianom w lesie pod Biłką.

Tutaj też mieszkali słynni rozbijacze Abraham Dankowski i Heszeli Juško, którzy byli postrachem przedmieścia i 2 maja 1591 w biały dzień zamordowali Żyda Salomonowicza. Oto obraz, który w dzisiejszych czasach należy przesunąć kilometr dalej...

Jak Żyd z gminy miejskiej niechętnie idzie na przedmieście Krakowskie (chyba że w interesie handlowym), tak samo przeciętny mieszkaniec Lwowa. Wielka część tzw. lepszej lwowskiej publiczności nie zna właściwości tego przedmieścia, leżącego pod bokiem, a tak bardzo dlań obcego. Charakterystyczne jest i było tu lwowskie *ghetto*. Leży ono tuż obok śródmieścia, a zna go przede wszystkim plebs, który dla braku środków znajduje na tzw. ulicy Smoczkiej cały przyodziewek za tanie pieniądze. Wszelkie rzeczy „przechodzone”, jakie handalessi skupują po różnych domach miasta i przedmieść, mają tu swoje stacje zakupu i sprzedaży.

Drugą specjalnością lwowskiego ghetta są tzw. „Opalki” Dzielą się one na dwie części. Jedna na straganach rozłożonych nad brzegami niewonnej w tym miejscu Pełtwi, przekupnie z różnymi materiałami na suknie i bieliznę, chustkami itp. Tu zaopatrują się przeważnie sługi i gospodynie z przedmieścia. Co tanie, to dobre, byle najwięcej utargować na cenie – bo bieda po jednej

i po drugiej stronie. Druga część „Opalek” odbywa się na bruku, na brudnej płachcie. Tu znajdzie się wszelkie rupiecie, które handelesa po zmarłych kupują. Mają tu też rynek wszelkie artykuły przed laty wyszłe z mody. Można tu dostać tuzin kołnierzyków i mankietów albo parę rękawiczek fioletowych lub purpurowych.

Dawną specjalnością tego przedmieścia była garkuchnia pod gołym niebem, zwana „pod sikawką”. Tu klientami byli tragarze, wodonosy, posługacze dzienni, ludzie czekający na jakikolwiek zarobek.

Na wschodniej stronie placu „rybnego”, zw. dziś „Starym Rynkiem”, widzieć było można codziennie około godz. 11 kobiety z ogromnymi tłumokami na plecach, dążące od strony Sieniawszczyzny. Po chwili zajmowała każda swe miejsce na placu, podścielała na bruku szarą płachtę i z tłumoków ukazywały się ogromne garnki, poowijane grubo szmatami, aby jadło nie wystygło. Obok tych garnków stawiała gospodyni stos miseczek glinianych i drewnianych łyżek; do mycia tej „zastawy” nabierała wody ze studni do szaflika. Siadała na stołku nad garnkami i już była gotowa.

Menu tej ruchomej jadłodajni składało się z czterech potraw: barszczu, kapuśniaku, kartofli i kaszy hreczanej, a w dni świąteczne z pierogów.

Po chwili zaczynały sunąć sznurkiem postacie w łachmanach. Gość siadał po turecku na ziemi i zmiatał ten obiad, aż mu się uszy trzęsły.

Wielce oryginalną specjalnością tego przedmieścia, już poza rogatką, na terytorium gminy Zniesienie, są l u d o w e kąpiele, nawet „lecznicze zakłady”, istniejące odkąd rafinują wódkę za Żółkiewską rogatką, czyli

od 120 lat. Wita gości szyld na dwu słupach z wymalowaną prymitywnie wanną i napisem „kompiele lótrynkowe” (dosłownie). Znajdujesz się u wrót zakładu. Trzeba przejść przez dziedziniec, przeskakując przez kupy gnoju i śmieci, aby dostać się do budynku, skąd uderza w nos woń „fuzlu” wódczanego. Tu lutruje się, czyli oczyszcza wódkę pitną.

Ze względu na dużą ilość gorącej wody, zbywającej przy tej produkcji, pozakładali przemyślni żydkowie wanienne kąpielisko dla prostego ludu. Lecznicy elementem w tych kąpielach jest anyz. Dwie konewki tej substancji wlanej do kąpeli mają mieć cudowne właściwości na wszystkie choroby. Ale intencje lecznicze mają szerszy handlowy zakres.

Nie ma prawie domu za rogatką żółkiewską, gdzie nie byłoby szynku ze sprzedają mocnej wódki. I oto biedak po kąpeli nie ma nic lepszego do roboty, jak upić się porządnie.

Żydowski przedmieszczanie szukali odpoczynku, choć raz na rok, w sąsiedztwie, więc za rogatką zamarstynowską lub w graniczącym z Zamarstynowem Hołosku. Tak więc letnią ludność Zamarstynowa stanowili buchalterzy, subiekti i średnio zamożni Żydzi przedmiejscy z żonami. O wygodzie czy jakimkolwiek komforcie nie było tu mowy. Żydowskie liczne rodziny dusiły się w ciasnych chałupach chłopskich. Używanie owego „świeżego powietrza” polegało więc na siedzeniu godzinami, a płci pięknej w najniemożliwszym negliżu, lub na chodzeniu ciężkim krokiem po lesie.

Sytuacja zmieniała się tylko przez dwa dni w tygodniu, w wieczór szabasowy i w niedzielę, kiedy Zamarstynów robił wrażenie stacji klimatycznej. Lecz zamiast kurhausu była tu karczma z połamaną huśtawką i prymitywną kręgielnią. Plac przed karczmą, przeznaczony dla spaceru, był też pastwiskiem dla koni i krów.

W niedzielę las na Hołosku roił się od gruchających par. Na gościńcu prowadzącym przez wieś lub na pastwisku widać uganiających się na oklep na chłopskich szkapach elegantów.

Takie i tym podobne rozrywki, jak łapanie ryb na wędkę w stawie, gdzie prócz zab nie ma innych istot, wypełniały letnikom żydowskim czas, niewiele zresztą wymagającym od otaczającej ich przyrody.



T.F. [Tadeusz Fabiański]

SWASTYKA I BATIARY

„*Dziennik Żołnierza*” – *Forfar*
– *Szkocja 1941 r.*

Dziwne rzeczy dzieją się dziś we Lwowie. Wszędzie swastyki, niemieckie flagi i sino-żółte prapory. Hotel George’a – ośrodkiem życia niemieckiego, po Akademickiej, Legionów, po Hetmańskich Wałach spacerują Szwaby, rycerze słowaccy i wyszkoleni w Berlinie Ukraińcy. Lwów nazwali Lembergiem, Małopolską Galicją, a pruscy architekci odnajdują w zaułkach „prastare niemieckie budowle”.

Pewni są mili goście, że ich dekoracje i malunki przetrwają wieki.

Nie znają Lwowa. Ale Lwów dobrze zna takich malarzy.

Pierwszą malarką była Maria Teresa. Płakała biedaczka, gdy zabierała Lwów. Nie chciała, ale musiała, bo Lwów – to prastare ... węgierskie miasto Lemberg, więc jako austro-węgierska monarchini musiała go odzyskać. Przez sto lat próbowali z lwowian zrobić czarno-żółtych lembergerów. Zamykali ich w Kufsteinie, w Brigidkach, bombardowali miasto z Cytadeli, stawiali szubienice na Hycłowskiej Górze. Gdy nie skutkowały groźby, uderzyli w prośbę, a gdy prośby nie pomogły, wracali do szubienic.

Cała ta praca dała takie wyniki, że batiarów lwowskich na Austriaków nie przerobili, a za to z nasłanych tam Austriaków porobili się lwowskie batiary.

Ich małe potomki, zupełnie tak samo jak lwowianie z dziada pradziada, krzyczeli „szpagat” za przedstawicielem władzy, który z bączkiem na czapce, półksiężycem na piersi i „bajonetem” u boku czuwał przed hotelem George’a nad porządkiem w monarchii. A ten sam szpagat, wyzwickami rozżalony, zwierzał się po kilku bombach piwa, że jest przecie „swój chłopaka”, we Lwowie się urodził, we Lwowie do normalności chodził, a całą cesarsko-królewską monarchię ma... i tu tyknął piwa.

Po austro-węgierskich malarzach przyszedli dekoratorzy z Moskwy i z Petersburga.

Na Gródku i Łyczakowie, na Wulce i na Żółkiewskim pojawiły się sztyki, rubachy, papachy i izwoszczyki. Zapachło dziegciem i machorką. Lwowianie oczy wytrzeszczali na te cuda i kichali od dziwnych woni. Goście ze wschodu głosili, że Lwów to już nie Lwów, lecz „*Lwow – istinno ruskij gorod*” i że złączon będzie z Rosją-matuszką na wieki wieków, aż do końca świata. Przez miasto ciągnęły armaty, kozaki, baszkiry, czeczeńcy, całe mrowie – siła, potęga. Czyżby naprawdę Lwów w Kazań miał się przemienić?

Lecz batiary mają zdrowy rozum. Orzekli stanowczo, że Moskale mają „świrka” i że nigdy nie uda im się ta „ruszka” sprawa. Przecież batiar nie zamieni sztybletków na sapogi, surduta na rubaszkę i nie zapanuje brody po pas. Wszystkie lwowskie konie z niego by się śmiały. Wysokiego Zamku też nie przerobią na góry Kaukazu, a z Pełtwi nie zrobią Wołgi.

Stwierdziwszy to, czekali cierpliwie – co dalej będzie.

Doczekali się. Moskale poszli tam, skąd przyszedli. Ale wrócili Austriacy. Wymietli rosyjskie dekoracje i zaczęli upiększać miasto po swojemu. Znowu Lwów przechrzcili na Lemberg. Na narożnych kamienicach przypbijali tabliczki z nazwiskami ck generałów, a na placach i przecznicach stanęły drągi z niemieckimi napisami: Do Sammelstelle, ‘Do Komendy Miasta’ i ‘Do Odwyszalni’. Chcieli tego ponastawiać jeszcze więcej, ale im czasu zabrakło, bo się rozlecieli razem z całą monarchią.

A wtedy wypelżył jak spod ziemi ukraińskie wojska. „Lwów – to Lwów – prastare miasto ukraińskie” – orzekli i zaczęli stroić miasto w sino-żółte prapory. Tego już wszystkim za dużo było. Wiadomo, jak się sprawa skończyła – lwowskie dzieci i batiary położyły na głowę zastępy ukraińskiej armii.

Przez dwadzieścia lat spokój był we Lwowie.

A po dwudziestu latach wszystko zaczęło się znowu od początku. Przyszedli Niemcy – nie doszli, bo ich powitały flaszki z benzyną i stare armaty z Gródka. Przyszedli Rosjanie, posiedzieli dłużej niż wtedy, ale tak samo i z takim samym skutkiem cuda batiarom opowiadali ... i tak samo odeszli. Po nich znów zjawili się Niemcy, na odmianę razem z Ukraińcami.

Jeszcze tam są ci goście, jeszcze malują, swastyki rozwieszają. Mówią, że Lwowa już nie ma, że jest Lemberg i Galicja.

Pan gubernator Frank wzywa lemberczyków, by wraz z wszystkimi galicjanami „beztrosko wrócili do pracy”, bo minął już „bezmyślny samowolny reżim warszawskiej kliki”, mówi, że Hitler zasyła im swe pozdrowienia i ma ich w opiece.

– *Widział ty coś takiego?* – mówi batiar do batiara.

– *Trumnę dla Lwowa rychtuje, na niemiec-ko ją maluje i jeszcze cieszyć się każe.*

– *Trumnę... My już takich Kurkowskich z trumnami dla Lwowa widzieli.*

I w odpowiedzi Frankowi zanuciły batiary starą lwowską piosenkę:

... *Pan Kurkowski robi trumny, a ja jemu ... guzik* umrę.*

* W tym miejscu stosowano inne słowo...

Profesor Kowalczuk powiadamia

Ukazał się drukiem następny tom monografii z cyklu:

*Szkoły lwowskie – monografie
Historia szkolnictwa, oświaty i wychowania na ziemiach odłączonych II Rzeczypospolitej – Kresach Płd.-Wsch.*

Tom IX (w dwu częściach)

SZKOŁY PRZEMYSŁOWE WE LWOWIE W XIX I XX W.

Cz. 1: Miejska Szkoła Przemysłowa i Handlowa, Państwowa Szkoła dla Przemysłu Artystycznego, Państwowa Szkoła Przemysłowa (1)

Cz. 2: Państwowa Szkoła Przemysłowa (2), Państwowa Szkoła Techniczna

Zainteresowanych nabyciem tej monografii proszę o kontakt:

J. Kowalczuk, ul. Lublańska 24/2,
31 476 Kraków, tel. (48-12) 411-36-41;
e-mail: kajot@op.pl lub kajot@AGH.edu.pl

Jednocześnie informuję, że koszty związane z zakupem tego tomu monografii są następujące: cz. 1 (stron 680) – 85 zł; cz. 2 (stron 604) – 80 zł; łącznie 165 zł., plus koszty przewoźni (w przypadku żądania faktury, proszę podać NIP) i wysyłki.



Pomnik Obrońców Lwowa w Sokolnikach, 1918 r. Kto pamięta nazwiska Poległych?

Apel do osób, które mogłyby pamiętać nazwiska poległych Obrońców Lwowa, pochodzących z Sokolnik, a które wyryte były na nieistniejącym już pomniku.

Pomnik, którego zdjęcie przedstawiamy, miał wysokość 12 metrów, a stanął na Błoniach sokolnickich w 1938 r. (?). Przetrwiał czasy sowieckie, a zburzyli go dopiero Ukraińcy w 1974 r.

Temat odtworzenia nazwisk podjął sokolniczanin, p. Baczmański, zamieszkały dziś we Wrocławiu. Jeździł w tym celu do Sokolnik, licząc na pomoc w odnalezieniu miejsca zakopania (?) części rozbitego pomnika, jednak bez rezultatu. Pozostaje więc apelować do osób, które potrafiłyby wskazać jakiegokolwiek ślady w postaci ludzkiej pamięci, fotografii, dokumentacji archiwalnej (projekt?) itp. Sokolniczanie bardzo na to liczą!

Odpowiedzi prosimy przysyłać na adres naszej Redakcji.

Panią Zofię Woźniakiewicz, które do nas napisała w powyższej sprawie, p. Baczmańskiego i wszystkich Sokolniczan gorąco przepraszamy za opóźnienie w opublikowaniu tego apelu. Zawiniła oczywiście niedoskonałość naszej redakcyjnej pracy.

Z dr Danutą Nespiak

rozmawia Janusz M. Paluch



Jest taki film: do Wrocławia jadą dwie Niemki, by odwiedzić miejsca ze swego dzieciństwa. W tym samym czasie do Wrocławia zmierza z Berlina młoda Polka, studentka, córka mecenasa Jana Ziembickiego pochodzącego ze Lwowa. Po tej wizycie, w tych samych celach pan Ziembicki w towarzystwie córki i Pani, jedziecie do Lwowa... A autorem filmu jest młody Niemiec, który w żaden sposób nie jest związany z Wrocławiem ani ze Lwowem.

Te miasta łączył zawsze stary szlak handlowy: Norymberga, Wrocław, Kraków, Lwów i kraje Lewantu. Dzisiaj tego tak nie odczuwamy, ale ten szlak dalej istnieje i spełnia dawną rolę na linii Wrocław–Kraków–Lwów–Kijów w międzynarodowej wymianie handlowej. Zarówno we Wrocławiu (od połowy XIII w.), jak i we Lwowie istnieje ulica Ruska. I w końcu wspólna data – rok 1340 – spinająca te miasta. Wówczas Śląsk i Wrocław odpadają od Korony Polskiej, a Lwów zostaje włączony. Kazimierz Wielki ma spore trudności, bo pierwsza wyprawa króla rusza dziewięć dni po otruciu Bolesława Trojde-

nowicza, a Ruś Halicka i Pokucie zdobywa dopiero w 1349 r. Można powiedzieć, że 600 lat temu jedno miasto przestało być polskie, a drugie polskim się stało.

Wrocław położony jest w bliskim sąsiedztwie Niemiec, Lwów teraz w bliskości Polski. I właśnie te wątki, po tylu wiekach, wyraziście odbiły się w tym filmie. Propozycja realizacji tego filmu wyszła oczywiście ze strony niemieckiej. We Wrocławiu pojawił się młody, sympatyczny pan Mathias Frickel z Deutsche Welle, który ustalał z nami szczegóły. Najpierw spotkaliśmy się z córką byłych właścicieli barokowej kamienicy w Rynku nr 6 we Wrocławiu, która przyjechała ze swoją wnuczką i przyjaciółką. Z naszej strony był mecenas Jan Ziembicki z córką i ja, urodzona we Lwowie przy ul. Jabłonowskich 24. Mieszkałam vis a vis kościoła pw. św. Marii Magdaleny, w pobliżu Politechniki Lwowskiej. A we Wrocławiu mieszkam na tyłach Politechniki Wrocławskiej, która zawsze, niezależnie od aktualnych władz, potwierdza, iż jest córką Politechniki Lwowskiej.

Goszcząca we Wrocławiu Niemka stanęła na Rynku i mówiła o swojej kamienicy, o pokojach, ich wyglądzie i wyposażeniu, a później z wnuczką i przyjaciółką ruszyły dalej w miasto. Do Lwowa z nami nie pojechały. My, jako druga grupa „wypędzonych”, w towarzystwie ekipy filmowej pojechaliśmy w kierunku Przemysła. Nie uznaję określenia „wypędzeni” w stosunku do Kresowian, bo my jesteśmy expatriantami. Niemcy zostali wypędzeni z Wrocławia rozkazem niemieckiego gauleitera Karla Hanke z Festung Breslau w styczniu 1945 r. To jest zupełnie co innego. Polacy ich nie wypędzili. My jesteśmy ofiarą układu poczdamskiego, który odebrał nam Lwów. Miasto zwiedzaliśmy bardzo sumiennie rozpoczynając od dawnych miejsc mieszkania. Mecenas Ziembicki był na ul. Zadwórzeńskiej 24, gdzie stał uroczy, parterowy, w typie polskiego dworu, dom jego dziadków, w którym spędził dzieciństwo. Niestety nadbudowa piętra zniszczyła jego stylowy charakter. Potem poszliśmy na ul. Potockiego 75, gdzie stoi, bardzo dziś zaniedbana, secesyjna kamienica rodziców mego męża. Tam powiedziałam przed kamerą, że ulica Potockiego, znana lwowska ulica, przy której mieszkało wiele znamienitych rodzin polskiej inteligencji, nosi obecnie nazwisko Oresta Szuchewycza, winnego zbrodni po-

pełnionych na Polakach w czasie II wojny światowej przez UPA. I prosiłam, żeby ta moja wypowiedź została w filmie umieszczona. Kolejnym miejscem, które odwiedziłyśmy, był pl. św. Jura, gdzie znajduje się gmach dawnego gimnazjum i liceum ss. Sacre Coeur. Przez całą okupację chodziłam tam na tajne komplety. Uczył nas wspaniały zespół przedwojennych zakonnych i świeckich profesorek tego liceum. Była wśród nich romanistka pani Homme, wierna miastu do końca, przewodnicząca po katedrze lwowskiej, oprowadzająca nie tylko polskie grupy zwiedzające Lwów. Oczywiście byliśmy na cmentarzu Łyczakowskim i cmentarzu Obrońców Lwowa. Tam spotkaliśmy studentów z wrocławskiej Akademii Ekonomicznej. Na Orłętach jest zawsze jakaś grupa polskiej młodzieży, co jest bardzo krzepiące. To jest takie żywe polskie miejsce!

Tak wyglądała realizacja tego filmu. Później zostaliśmy zaproszeni na jego uroczystą projekcję do Domu Polskiego w Berlinie. Wśród zaproszonych gości zauważyłam Bogdana Osadczuka, emerytowanego profesora Wolnego Uniwersytetu w Berlinie. Znam jego książkę w postaci wywiadu-rzeki pt. *Wiek ukraińsko-polski. Rozmowy z Bogdanem Osadczukiem*, w której on, w sposób zdecydowanie odbiegający od prawdy, wybiela działalność dywizji SS Galizien informując, że oddziały tej formacji nie brały udziału w akcjach pacyfikacyjnych. W czasie dyskusji po tej projekcji chciałam powiedzieć, że pan Osadczuk manipuluje prawdą o UPA i tej dywizji, przypominieć mu dramat Polaków w Hucie Pieniackiej i Podkamieniu. Osadczuk – Kawaler Orderu Orła Białego – wyjaśnił zresztą we wspomnianej książce, jaki był jego stosunek do II Rzeczypospolitej: *Razem z ojcem czekaliśmy na wojnę. Mimo wszystko ta sanacyjna Polska ostatniego okresu tak nam obrzydła – byliśmy zresztą ofiarami ...*

Czasem pewnie trzeba było przemilczeć prawdę, czy to dla własnego dobra, dobra najbliższej rodziny? Ale czy to było już zakłamywanie historii?

Przed laty byłam u matki polskiego komonauty gen. Mirosława Hermaszewskiego. Ona już nie żyje, mieszkała we Wrocławiu. Spisałam jej relację o mordzie we wsi Lipniki, gmina Kostopol na Wołyniu,

gdzie Ukraińcy wymordowali rodzinę Hermaszewskim.

Część tej rodziny trafiła na emigrację do Anglii, gdzie zapisałi piękną kartkę swojej działalności polonijnej. W PRL-u to było wyciszone, bo dwaj bracia Hermaszewscy w wojsku, wysokie stopnie wojskowe. Pytała, czy mogę tę relację opublikować, ale Mirosław Hermaszewski się nie zgodził. W końcu po kilku latach bracia Hermaszewscy wydali książkę na temat Lipnik, w której jest opis mordu w Lipnikach, ale nie czytałam tej pozycji.

O zakłamywanie historii toczyła Pani batalię z „Gazetą Wyborczą”. Proszę powiedzieć, na czym to zakłamanie polega? Czy to nie jest walka z wiatrakami?

„Gazeta Wyborcza” ma bardzo szeroki wachlarz informacji, którymi jednak sprawnie manipuluje. Pisze: *Polacy byli mordowani przez Ukraińców, ale...* Wciąż pojawia się to „ale” i to nie tylko przy okazji spraw dotyczących stosunków polsko-ukraińskich. To „ale” osobę niemającą pełnej wiedzy na dany temat „Wyborcza” może wyprowadzić nie tam, gdzie należy. Publicyści „Wyborczej” np. podają informację, że Polacy też mordowali Ukraińców, że mniejszość ukraińska była źle traktowana w II RP, że znaleźli od nas masę krzywd, że Polska nie miała zrozumienia dla ich niepodległościowych dążeń. I wobec tego możemy te mordy w jakimś zakresie tłumaczyć, a eksterminację ludności polskiej przez OUN/UPA ograniczyć do Wołynia. Wszak był taki cykl w „Wyborczej”: *Wołyń – szukanie prawdy*. Pisałam do nich, żeby również uwzględnili następny region – Podole. Tam były takie same mordy pół roku później. Do jednego ze swoich artykułów dołączyłam fotografię wymordowanej polskiej rodziny z Podola, gdzie podałam nazwę miejscowości: wieś Latach – województwo tarnopolskie, nazwisko rodziny i datę zbrodni.

Rok później po publikacji mego artykułu „Wyborcza” 24 kwietnia 2003 r. zamieściła to zdjęcie podpisując je: *Polacy zamordowani na Wołyniu, 1943 r.* jako ilustrację do przedruku artykułu ukraińskiego historyka Jurija Kiryczuka pt. *Jak za Jeremy i Krzywonosą*.

To co dokonała UPA wobec Polaków przesądza o całym charakterze tej zbrodni,

która była ewidentnym ludobójstwem. Zwiąże-
le to ujął prof. Ryszard Szawłowski we wstę-
pie do świetnej książki Ewy i Władysława
Siemaszków. W latach 80. byłam w Szwaj-
carii, gdzie szefem biura „Solidarności” był
wówczas historyk i publicysta, autor *Rodo-
wodów Niepokornych*, Bohdan Cywiński.
Zapytałam go, czy jest szansa opublikowa-
nia z pomocą biura zbrodni ukraińskich na
Polakach, jakie zdołaliśmy we Wrocławiu
zebrać. Chodziło o opublikowanie faktów
bez komentarzy. Odpowiedź była odmow-
na. Na ten sam temat rozmawiałam później
z dr. Tomaszem Wójcikiem, przewodniczą-
cym Regionu Dolnośląskiego „Solidarność”
z takim samym rezultatem.

Zastanawiam się, dlaczego o swoje nie
upominają się Żydzi, których nacjonaliści
ukraińscy też mordowali. Chyba w 1991 r.
widziałam we Lwowie pochód nacjonalistów,
którzy nieśli transparent *Smert Lacham
i Jewrejom*.

**Jest Pani od samego początku związana
z Fundacją Semper Fidelis. Proszę opowie-
dzieć o problemach, z jakimi się borykacie.**

Fundacja była wydawcą pisma „Sem-
per Fidelis”, ale z braku funduszy prze-
kazaliśmy je Zarządowi Głównemu TML
i KPW. To nie było chyba najszcześniejsze
posunięcie. Prezesem Zarządu Głównego
jest czynny zawodowo lekarz pan Andrzej
Kamiński, który nie ma za wiele czasu na
pracę w Towarzystwie i Fundacji Semper
Fidelis, gdzie pełnił funkcje wiceprezesa
Rady Fundacji. Natomiast prezesem Rady
Fundacji jest prawnik mecenas Jan Ziem-
bicki, a dyrektorem Zarządu Fundacji pani
Małgorzata Orzeł-Tabisz, kustosz Zakładu
Narodowego im. Ossolińskich we Wrocła-
wiu. Fundacja miała ambitne plany eduka-
cyjne i wydawnicze. Może prowadzić dzia-
łalność gospodarczą, ale ostatnio wydajemy
tylko kalendarze o tematyce kresowej.
Aktualnie borykamy się też z problemami
lokalowymi, a na nasze zebrania korzy-
stamy z gościnności Ossolineum. Jak pan
wie, aktywność organizacji to ludzie. Nie-
dawno pożegnaliśmy panią Danutę Tabiń-
ską, która zmarła nagle, członka Zarządu
Fundacji, która posiadała umiejętność zdo-
bywania środków finansowych. Ekonomist-
ka z wykształcenia, zawsze pełna dobrych
pomysłów. Trudno nam wrócić do czasów

dawnej świetności, kiedy organizowaliśmy
kolonie dla polskich dzieci zza wschodniej
granicy i pamiętną sesję *Lwów we Wrocła-
wiu i Wrocław we Lwowie*, zwieńczoną
interesującym wydawnictwem.

**W Krakowie mamy trochę kompleks Wrocła-
wia, tak jak przed laty nasi krakowscy po-
przednicy musieli mieć kompleks Lwowa...**

Domyślam się o co chodzi – Kraków miał
żał, że stolicą Galicji został Lwów. Wrocław
to szczególne miasto. Odbijają się tutaj gło-
śno echa spraw polsko-niemieckich, na które
nawarstwiają się sprawy lwowsko-kresowe
i sprawy polsko-ukraińskie. We Wrocławiu
działa od 1991 r. Stowarzyszenie Upamięt-
nienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalis-
tów – jedna z najbardziej dynamicznie pra-
cujących organizacji kresowych w Polsce.
Ma jeden podstawowy cel: dokumentować
zbrodnie popełnione przez OUN/UPA na Pol-
akach. To jest bardzo aktywna organizacja
wydająca regularnie czasopismo „Na rubie-
ży”. Od początku stowarzyszeniem kieruje
inż. Szczepan Siekierka.

Trójkął spraw niemiecko-polsko-ukra-
ińskich odbija się też na charakterze sesji
i konferencji naukowych, które we Wrocła-
wiu bywają organizowane. Jedna z nich
nie odbyła się. W związku z protestem am-
basady ukraińskiej na Uniwersytecie Wrocła-
wskim odwołano konferencję na temat
ludobójstwa dokonanego przez nacjonalis-
tów ukraińskich. Wśród prelegentów mieli
być m.in. ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski i dr
Lucyna Kulińska. Podobno jakieś sygnały
wspierające protest ambasady wyszły też
z Centrum Studiów Niemieckich i Europej-
skich im. Willy Brandta na Uniwersytecie
Wrocławskim. Jednym z profesorów tego
Centrum jest Klaus Bachmann. Kiedyś za-
gadnął mnie na ul. Ruskiej koło biura Za-
rządu Głównego TMLiKPW we Wrocławiu,
a pracował wówczas jako korespondent
dziennika „Stuttgarter Zeitung”. Intereso-
wał się sprawami polsko-ukraińskimi, skąd
nasza późniejsza rozmowa o Wrocławiu,
przesiedlonych Kresowiakach, „galicyjskiej
inteligencji” pochodzącej ze Lwowa, która
według niego wycisnęła swój stempel na
obliczu Wrocławia, przede wszystkim pro-
fesorowie Uniwersytetu Lwowskiego, którzy
przeżyli niemiecki terror i sowieckie depor-
tacje. Jego artykuł na ten temat ukazał się

zresztą w „Stuttgarter Zeitung” wkrótce po naszej rozmowie w marcu 1996 r. i mam go do dzisiaj.

Ale z tego wynika, że u Was we Wrocławiu jest politycznie gorąco ...

Myślę, że tak. Mieliśmy i mamy wyrazistych prezydentów miasta. Był Bogdan Zdrojewski – obecny minister kultury i dziedzictwa narodowego. Mam duży żal do niego, bo na skutek jego decyzji Zarząd Główny TMLiKPW w 1995 r. został usunięty z lokalu przy Rynku wrocławskim, a prezydent Zdrojewski nie wykazał żadnego zainteresowania naszymi poszukiwaniami nowego lokum dla Towarzystwa. Szkoda, że jako minister kultury i dziedzictwa narodowego nie zgodził się na utworzenie Muzeum Ziemi Zachodnich we Wrocławiu, w którym obecna byłaby problematyka Lwowa i Kresów, ich dziedzictwa naukowo-kulturalnego – tego stempla, który zauważył Niemiec Klaus Bachmann. Projekt Muzeum Ziemi Zachodnich był zresztą przyczyną ostrego konfliktu między Zdrojewskim a obecnym prezydentem Wrocławia dr. Rafałem Dutkiewiczem. Zdrojewski nie kontrolował powołania we Wrocławiu Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”, który w 2007 r. przygotował dużą ekspozycję, gdzie m.in. zaprezentowano polskie osiedlanie się na Ziemiach Zachodnich, a także kilka fragmentów z przeszłości – morderstwa ukraińskie na Kresach Północno-Wschodnich. Tego typu działalność nie zmierza jednak do utworzenia poważnej instytucji badawczej dokumentującej dziedzictwo kresowe.

W Warszawie powstał przecież, przy tamtejszym urzędzie miasta, Instytut Kresowy.

Tak, działał od 2006 r., a jego dyrektorem był dr Robert Wyszniński, który obecnie pracuje w Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska”. Instytut Kresowy miał krótki żywot. Już w 2008 r. warszawscy radni podjęli decyzję o jego likwidacji w 2009 r. Krótko mówiąc zlikwidowała go prezydent Hanna Gronkiewicz-Waltz wspólnie z koalicyjną radą miejską PO–SLD. Rzeczywiście, taki Instytut to mogła być duża sprawa, ale jak w takich wypadkach bywa, zabrakło tzw. woli politycznej. Choć z drugiej strony mnożą się pomysły na tworzenie przeróżnych muzeów. Minister Zdrojewski powołał już Muzeum Historii Polski, we Wrocławiu

ma być zbudowane od podstaw Muzeum Sztuki Współczesnej, projektowane jest Muzeum II Wojny Światowej. Pytam *cui bono?*! W czyjej sprawie? Muzeum II Wojny Światowej to powinna zrobić cała Europa! A nie Polska, która ma przed sobą reformę finansów publicznych.

Mówiono, że ten Instytut był upolityczniony, że to przykrywką dla działalności politycznej i dlatego musiał paść.

Co to znaczy upolityczniony? Dr Wyszniński napisał do mnie, że zaczęli pracę od spotkań z młodzieżą, organizując „tygodnie kresowe” w warszawskich szkołach, i spotkań z polskimi repatriantami z Kazachstanu. Przedstawił mi też całą sytuację dotyczącą likwidacji tego Instytutu. Jeśli nie ma woli politycznej, aby taki Instytut działał, to się chwyta każdego pretekstu by taką pracę uniemożliwić. A swoją drogą trudno wymagać, by pracownicy tego typu instytucji naukowo-badawczej i edukacyjnej politykę historyczną wieszali w szafie przed rozpoczęciem pracy. Tego nie robią nasi sąsiedzi Niemcy, choć uderzyli się w piersi za zbrodnie hitlerowskie. Ich przykłady zinstytucjonalizowanej działalności zachowania historycznej pamięci i prowadzenie, przy daleko idącej życzliwości władz, działalności naukowej i edukacyjnej są objęte wspólnym programem „Kultur und Geschichte der Deutschen im östlichen Europa”. A w Polsce co?

Ktoś mógłby zarzucić, że Kresowianie nie potrafili stworzyć „kresowego lobby”. Może po prostu nie potraficie tych zagadnień przedstawić w taki sposób, by znalazły zainteresowanie? Proszę spojrzeć – prezydent RP Komorowski, marszałek Sejmu Schetyna, minister Kultury Zdrojewski, do tego masa ludzi kultury, ciśnie się nazwisko Janusza Majewskiego czy dziennikarza Tadeusza Olszańskiego rodem ze Stanisławowa, to potomkowie Kresowian. Jeśli zapomnieli skąd pochodzą, może należałoby im przypomnieć?

Może należałoby... Ale to są te drugie pokolenia, które coraz bardziej odchodzą od tych zagadnień. Choć z drugiej strony można by wymienić wiele cennych inicjatyw podejmowanych przez różne młode osoby i organizacje. Sięgnę na moje wrocławskie podwórko. W toku rejestracji jest korporacja akademicka „Kresovia Leopoliensis”, która

skupia studentów i absolwentów uczelni wrocławskich, a inicjatorem jest mgr Jan Szostak, wnuk lwowskiego profesora Zbigniewa Stuchlego. Drugi przykład: Dolnośląska Inicjatywa Historyczna w osobie dr. Wojciecha Myśleckiego i współpracujących z nim absolwentów Uniwersytetu Wrocławskiego była organizatorem konferencji na Politechnice Wrocławskiej (listopad 2009 r.) pt. *Dla-*

Kultura umysłowa Lwowa w dobie renesansu

dokończenie ze s. 11

wszechnione *Threny i rzeczy rozmaite*. Perelką tego zbioru jest piękna pieśń (...) *Do krajów podolskich syn ich mówi*. Jedną jej część, zaczynającą się od słów *Powiedz wdzięczna kobzo moja zdobyła* sobie wielką popularność i stała się jednym z ulubionych śpiewów w wieku XVII (...).

Tak zatem epoka Renesansu we Lwowie nie zdołała wprawdzie w pełni wypowiedzieć się literacko, ale z komedią Cieklińskiego weszła do dziejów literatury, a z pieśnią Czarhowskiego trafiła pod legendarne strzechy. Będąc dziełem świętego patrycjatu XVI w. stworzyła ona szczególną atmosferę, która stanowiła przesłankę rozwoju literatury lwowskiej XVII stulecia. Klamrę łączącą oba wieki stanowiła twórczość Szymona Szymonowicza-Bedońskiego – w swej najcenniejszej części, którą stanowią *Sielanki*, rozbłysła jednak poza Lwowem, w zaciśniętej wsi podzamkowej, gdzie sam klimat sprzyjał tego rodzaju twórczości.

¹ Do prezentacji tego artykułu wykorzystaliśmy tekst zawarty w wydawnictwie Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, Londyn 1992. Stamtąd też pochodzą liczne skrótowo (oznaczone trzypunktami).

² Gdańszczanin, przebywał we Lwowie przez sześć lat od r. 1582, tu przeszedł na katolicyzm, wstąpił do zakonu dominikanów, opiekował się tam archiwum i zapewne biblioteką klasztorną. W latach 1600–1606 spisał w języku niemieckim swe wspomnienia, zawierające pierwszy dość obszerny opis Lwowa.

czego powinno powstać Muzeum Kresów Wschodnich?

Może to, że do tej pory nie powstało muzeum czy instytut kresowy, jest po części winą Kresowian, wśród których nie ma przecież jedności?

Oczywiście, że środowiska kresowe są zróżnicowane politycznie. Nas nie dzielią poglądy, jeśli chodzi o nacjonalizm ukraiński. Ci z lewej i ci z prawej strony w tej sprawie mówią jednym głosem. UPA jest winna zbrodni ludobójstwa na Polakach. Co do powołania instytutu kresowego – pomysłodawcą był red. naczelny „Cracovia–Leopolis” Andrzej Chlipalski w 2003 r. Ale dobry pomysł ma zazwyczaj wielu ojców chrzestnych. Nagle pojawiło się kilkanaście takich pomysłów. Nawet śp. Andrzej Przewoźnik chciał realizować swój pomysł instytutu. Andrzej Chlipalski uważał, że powoływanie muzeum w klimacie oskarżania o niepoprawność polityczną i zalecanie oficjalnie ostrożności, by nie drażnić *tamtej* strony, nie jest najlepszym pomysłem, bo po prostu to nie wyjdzie. Natomiast sprawdziłaby się bez wątpienia idea powołania instytutu. Ale nie takiego, jakim kierował krótko dr Wyszyński. Instytut, o jakim my mówimy, musi powstać w oparciu o poważną instytucję.

Pierwszym projektem było ulokowanie instytutu kresowego przy Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Wrocławiu, ale po rozmowie z dyrektorem Adolfem Juzwenką i oczekaniu dość długiego czasu, wiadomo było, że to nie wyjdzie. Drugie podejście to ulokowanie tej inicjatywy przy Muzeum Niepodległości w Warszawie, ponieważ zrealizowano tam już wiele konkretnych działań w temacie *Kresy*. Reasumując powinien to być instytut z zespołem naukowym i badawczym, z możliwością publikacji, ekspozycji i koordynacji działalności upamiętniających Kresy I i II RP dla pełnego obrazu historii i kultury Polski. Nasze środowiska kresowe takiej inicjatywy nie udźwigną nie tylko ze względów finansowych. Możemy jednak być „zapleczem” informacyjnym i źródłowym.

Serdecznie dziękuję Pani za rozmowę.

Ja dziękuję za zaproszenie mnie przez Oddział Krakowski TMLiKPW, a Panu, że zechciał się Pan podjąć się prowadzenia tej rozmowy.

Romana Link-Machowska

CZTERY POKOLENIA INŻYNIERÓW (1)

Politechnika, założona w latach niewoli przez zaborcę austriackiego we Lwowie w 1844 r., rozwijała się nieustannie w służbie nauki i rodzącej się techniki polskiej, i tak przetrwała – bez jakiegokolwiek przerwania od odzyskania niepodległego bytu państwowego, stając się najstarszą polską uczelnią techniczną. Gdy 1 listopada 1918 r. Ukraińcy opanowali Lwów i rozpoczęła się obrona miasta – samodzielni i pomocniczy pracownicy, a także studenci PLW brali w niej czynny udział. W roku 1920, powstania śląskie, w które znów aktywnie włączali się profesorowie i studenci PLW powodowały, że uroczysta inauguracja odbyła się dopiero w 1921 r. W latach 1918–1920 zaznaczył się znaczny ruch kadrowy, gdyż w miarę organizowania się Politechniki Warszawskiej, a także Uniwersytetu Poznańskiego – profesorowie PLW zasilali kadry tych uczelni (ze Lwowa odeszło wówczas 14 profesorów). Okres 1918–1939 miał dla dziejów Politechniki i miasta szczególne znaczenie. Lwów w odrodzonym państwie polskim stawał się od razu jednym z głównych pięciu ośrodków życia naukowego i kulturalnego, gospodarczego i politycznego.

Politechnika Lwowska – wspaniała uczelnia – dała Polsce wielu znakomitych inżynierów, naukowców, ale również mężów stanu (Ignacy Mościcki, Kazimierz Bartel, Jerzy Michalski, Jan Łopuszański, Jędrzej Moraczewski), organizatorów, pionierów postępu technicznego.

Na Politechnice działało bardzo pręźnie Towarzystwo Bratniej Pomocy, założone w r.1891 – prowadziło m.in. dwa domy akademickie, kolonię wypoczynkową w Mikulczynie. Istniało 25 związków studenckich – dla poszczególnych specjalności i regionalne, a także 15 korporacji o charakterze ideowo-wychowawczym. Na Politechnice Lwowskiej mieściła się redakcja ogólnopolskiego czasopisma „Życie Techniczne”, w którym autorami byli zarówno profesorowie, asystenci, inżynierowie, jak i studenci.

Gdy nastąpiły trudne i bolesne lata wojenne we Lwowie, dwukrotnie zmieniali się



okupanci. Ale zarówno pod rządami władzy radzieckiej, jak i brutalnego hitleryzmu zapadały decyzje o uruchomieniu Uczelni. Polscy profesorowie, zasadniczo ci sami co przed II wojną, wykładali w języku polskim nadal na użytek młodzieży w większości polskiej. Politechnika Lwowska, choć pod obcą władzą i obcą nazwą, żyła nadal swoim życiem jako uczelnia polska, zawsze i bez reszty wierna Ojczyźnie. Wierność tę przyplaciła najcięższymi ofiarami. Dopiero wówczas, gdy wojna miała się ku końcowi, władza sowiecka postawiła społeczność akademicką przed alternatywą – bądź przyjęcia obywatelstwa sowieckiego z obowiązkiem wykładania w języku rosyjskim lub ukraińskim, bądź opuszczenia rodzinnego miasta w ramach tak boleśnie i wyzywająco brzmiącej „repatriacji”. Rok 1945 stał się tym samym ostatnim w przeszło stuletnim istnieniu i działalności Uczelni. Z buntem w sercu z powodu doznawanej krzywdy, lecz bezsilnie wobec wymowy faktów dokonanych zebrano grono profesorów na ostatnią swoją naradę na polskiej Uczelni. Podjęta jednomyślnie uchwała zebrań brzmiała: *Politechnika Lwowska przenosi się in corpore do Gdańska i konstytuuje się tam jako Politechnika Morska*. U podstaw uchwały leżała chęć utrzymania w całości, w stanie o ile możliwości nienaruszonym, tego ogromnego potencjału naukowego, jakim dysponowała Uczelnia. Po siedmiu dniach nadeszła jednak z Warszawy odmowa. I tak rozpoczął się exodus w kierunku *ziem odzyskanych*, zachodnich i północnych, w ramach grupowych transportów kolejowych. Ze złamanym sercem profesorowie wraz z rodzinami opuszczali miasto rodzinne i ziemię ojczystą. Ale już niedługo potem na miejscu – we Wrocławiu, Gliwicach czy Gdańsku – podejmowali profesorowie i młodszy pracownicy naukowcy, wspólnym wysiłkiem, na gruzach niemieckiej budowy gmachu nauki polskiej.

Wysoko kwalifikowana kadra naukowa PLW umożliwiła utworzenie Politechnik w Krakowie, Gliwicach i Wrocławiu, wydatnie zasilila Politechnikę w Gdańsku, a nawet w Warszawie. Liczbowo przedstawia się to następująco: 73 pracowników naukowych – Kraków, 71 – Gliwice, 65 – Gdańsk, Warszawa – 29. Praktycznie wszystkie powojenne polskie uczelnie techniczne, nie wyłączając krakowskiej AGH – „odziedziczyły” doskonałą kadrę naukowo-dydaktyczną z Politechniki Lwowskiej.

Na koniec anegdota świadcząca o dobrej formacji inżynierów, absolwentów Politechniki Lwowskiej. Jerzy Solak, inżynier konstruktor, absolwent PLW, zamieszkały po II wojnie światowej w USA, projektował kilka budynków w San Francisco. Po pamiętnym trzęsieniu ziemi w San Francisco wiele nowych budynków uległo zawaleniu z wyjątkiem tych, które projektował Jerzy Solak, a te nie uległy nawet zarysowaniu. Zaslugę za to przypisywał jednak inż. J. Solak nie sobie, lecz właśnie Politechnice Lwowskiej, która potrafiła przygotować swoich studentów do rozwiązywania wszelkich zagadnień inżynierskich, uczyła twórczego myślenia. Oczywiście zagadnienie budownictwa na terenach zagrożonych trzęsieniami ziemi nie mogły być szczegółowo rozpatrywane.

Pochodzę z rodziny zakorzenionej na Kresach Południowo-Wschodnich, we Lwowie i Ziemi Lwowskiej. Urodziłam się w Przemyslanach, miasteczku powiatowym położonym nad Gniłą Lipą, u podnóża Golegór – około 6000 mieszkańców, w tym około 3000 Żydów i Ukraińców. Moja matka, z domu Amon, pochodziła z rodziny polsko-węgierskiej. Mój pradziadek Jan Amon w okresie Wiosny Ludów w 1848 r. uciekł z Węgier i osiedlił się w Rohatynie, gdzie założył rodzinę. Mój dziadek Jan Karol Amon, ożeniony z Julią ze Szczurowskich, zamieszkał w Roźniatowie, gdzie był zarządcą majątków hrabiów Sieniawskich. Dziadkowie mieli siedmioro dzieci, 3 synów i 4 córki. Jedna z nich to Helena – moja matka (1895–1987). Natomiast ojciec mój pochodził z rodziny kolonistów niemieckich, którzy w XIX wieku przybyli do Polski z Bawarii. Mała dygresja: będąc w Zamościu znalazłam w przewodniku wśród kamienic w Rynku – kamienicę „Linkowską”, którą wybudował dla siebie Jan Michał Link, inżynier i architekt, pracując dla ordynatów Zamoyskich w latach 1652–1698, zmodernizował fortyfikacje, przebudował względnie wznosił kościoły w Zamościu, Krasnobrodzie, Sandomierzu. Oczywiście byłoby śmiesznym zrozumiałstwem traktować „na serio” to pokrewieństwo. Mój dziadek Jan Link, ożeniony z Marią z domu Margasińską, miał czterech synów, z których Włodzimierz (1885–1965) był moim ojcem.

W mojej rodzinie, zarówno po stronie matki, jak i ojca, byli liczni inżynierowie, którzy naturalnie studiowali na Politechnice Lwowskiej. Byli to: Włodzimierz Link – Wydział Inżynierii Ładowej – miernictwo; Franciszek Link – brat ojca, Wydział Inżynierii Ładowej, miernictwo; Józef Amon, brat mamy – Wydział Komunikacyjny – dróg wodnych; Mieczysław Amon – brat matki, Wydział Komunikacyjny – dróg wodnych.

W pierwszym pokoleniu inżynierowie urodzeni w latach 1885–1900 kończyli studia już w niepodległej Polsce w latach 1919–1922. Ich dzieci, idąc śladem ojców, rozpoczęły studia na Politechnice Lwowskiej, a wśród nich nieliczne, najstarsze, kończyły już w latach po II wojnie, te młodsze mogły zaś zacząć studiować dopiero po wojnie. Byli to: Romana Link – Wydział Politechniczny AGH – geodezja; Włodzimierz Link – Szkoła Inżynierska, Dundee w Szkocji – Wydział Elektryczny, po zwolnieniu z wojska; Zbigniew Link, syn Franciszka – Politechnika Wroclawska, Wydział Inżynierii Budownictwa; Tomasz Amon, syn Mieczysława – WSI Szczecin – Wydział Elektryczny; Tadeusz Koczorowski, syn Marii z Amonów – Politechnika Śląska, Gliwice – Wydział Elektryczny; Jerzy Koczorowski, syn Marii z Amonów – Politechnika Śląska, Gliwice – Wydział Mechaniczny.

Inżynierowie drugiego pokolenia, urodzeni w latach 1914–1928, rozpoczęli studia przed II wojną (praktycznie tylko jeden urodzony w roku 1914) względnie po wojnie na uczelniach technicznych: w Krakowie, AGH – Wydziały Politechniczne, na Politechnice Śląskiej w Gliwicach i Politechnice Wroclawskiej. Uczelnie te były jakby kontynuacją Politechniki Lwowskiej, szczególnie w sensie kadry pracowników naukowych, którzy w tych miastach się osiedlili.

Inżynierowie trzeciego pokolenia, urodzeni w latach 1949–1957, nie stanowią już tak przeważającej grupy jak w pokoleniu pierwszym czy drugim, pojawiają się także i pradawni absolwenci studiów pedagogicz-



Romana Link-Machowska

nych, ekonomicznych, matematycznych i socjologicznych. Na 7 osób tej grupy pokoleniowej tylko 3 wybrały studia inżynierskie: Wojciech Machowski – syn Romany z Linków i Zdzisława – Wydział Telekomunikacji AGH, Adam Koczorowski – syn Tadeusza – Wydział Elektroniki i Automatyki – Politechnika Śląska, Piotr Link – syn Zbigniewa – Wydział Górnictwa Odkrywkowego Politechniki Wrocławskiej.

Ci trzej inżynierowie trzeciego pokolenia okazali się wybitnie zdolni i znacznie prześcignęli rodziców. Nasz syn Wojciech – pracownik naukowy Politechniki Krakowskiej, obecnie od 6 lat na Uniwersytecie Brunela w Londynie, w trakcie ukończenia pracy habilitacyjnej; Adam Koczorowski – współwłaściciel i dyrektor firmy Altkom-Akademia w Krakowie, zajmującej się programowaniem i szkoleniem w zakresie informatyki; Piotr Link po odbyciu praktyk w kopalniach w Szwecji i Grenlandii wyemigrował do Australii, gdzie rychło zrobił karierę na stanowisku dyrektora dużej kopalni odkrywkowej.

Kończąc te refleksje, wspomnę o moim ostatnim *spotkaniu z Politechniką Lwowską* w ramach działalności w Towarzystwie Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Jestem członkiem Zarządu, sekretarzem oraz członkiem Rady Redakcyjnej kwartalnika „Cracovia–Leopolis”, wydawanego przez TMLiKPW od 1995 roku. W roku 1994, ogłoszonym *Rokiem Lwowskim*, współdziałałam w organizacji imprez, między innymi poświęconych 150-leciu Politechniki Lwowskiej i 100-leciu Wystawy Krajowej we Lwowie. Praca w redakcji CL dała mi możliwość zaznajomienia się z wspaniałą działalnością Uczelni i jej profesorów, których mogłam poznać, gdy studiowałam w latach powojennych na Wydziałach AGH w Krakowie.

Dalszy ciąg w następnym numerze
1999–2011

ROMANA LINK-MACHOWSKA, ur. 1925 w Przemyslanach. Tam ukończyła szkoły, matura w Nowym Sączu, 1945. Studia geodezyjne na Wydz. Politechnicznych AGH w Krakowie, doktorat na AGH. Praca jako asystent i adiunkt w Katedrze Geodezji Górniczej AGH, emerytura 1985. 1992–95 studia na Uniw. Trzeciego Wieku UJ.

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

LWÓW – WAŻNIEJSZE ULICE I PLACE

poza Starym Miastem (nie ujęte w Słowniku GH w CL 1 i 2/09 oraz CL 1/10)

Wyjaśnienie: nazwy innych ulic i placów oraz parków i plantacji oznaczone (zob.) można znaleźć w *Słowniku geogr.-hist.* w numerach CL 4/03, 1 i 2/09 oraz 1/10.

Nazwy wg stanu z lat międzywojennych.

Jagiellońska, biegnie od ul. Legionów (Wałów Hetmańskich, zob.) do pl. Smolki (zob.), a z niej odgałęziają się ku Ogrodowi Jezuickiemu (zob.) dwie ważne ulice: Trzeciego Maja i Mickiewicza (obie zob.). Dawniej nosiła nazwę Jezuickiej, ponieważ kościół oo. Jezuitów wznosi się naprzeciw wlotu ul. J., po drugiej stronie Wałów. Nową nazwę, nawiązującą do historii Polski, otrzymała w r. 1871 po otrzymaniu przez Galicję autonomii jako kraj polski w ramach monarchii habsburskiej.

Ulicę J. otwierają na rogach ul. Legionów dwa gmachy bankowe, po lewej Galicyjska Kasa Oszczędności (arch. J. Zachariewicz, 1891) z monumentalną klatką schodową i salą posiedzeń. Obecnie mieści się tu muzeum etnograficzne, przeniesione z dawnego Muzeum Przemysłowego przy ul. Hetmańskiej; po prawej Bank Kredytowy (arch. F. Księżarski). Ulica J. wprowadza do lwowskiego „city”, które stanowiły ulice Trzeciego Maja, Mickiewicza, Kościuszki i kilka innych w tym rejonie.

Św. Jura pl. i stojący przy nim zespół greckokatolickiej katedry zajmują szczyt lokalnego wzgórza. Nazwa placu pochodzi od klasztoru oo. Bazylianów pw. św. Jerzego (Jura), istniejącego tu do 1817 r., kiedy został stąd usunięty, robiąc miejsce kapitulie unickiej. Dzisiejszą cerkiew katedralną zbudowano w 1. połowie XVIII w. jako budowlę o charakterze podłużno-centralnym, zbliżoną do typu rzymskokatolickich kościołów barokowych, z dekoracją rokokową; naprzeciw pałac metropolity w podobnym stylu.

Przy placu J. stoją ponadto: dawny klasztor pp. Sacre Coeur ze znanym gimnazjum żeńskim, założonym w 1844 r., oraz budynek laboratorium chemicznego Politechniki.

Aleksander Świstun

WSPOMNIENIA PODOLSKIE

Moje prywatne sprawy

Często tak bywa, że gdy czegoś szukamy lub gdy robimy porządki w naszych szpargach, to przypadkowo trafia w nasze ręce coś, co nas w tym momencie może szczególnie zaciekać. Zapominamy wtedy o poszukiwanej rzeczy, a skupiamy się nad znaleziskiem i jeśli jest to jakaś książka lub nawet tylko luźne kartki zapisanego papieru, to i tak nasza uwaga jest całkowicie pochłonięta, przeważnie do chwili aż do skończymy czytać. Tak też to było w przypadku naszej koleżanki pani Aleksandry Jenner, która po śmierci męża przeprowadziła się do domu swoich rodziców, gdzie w czasie porządkowania biblioteki natrafiła na spisany pamiętnik nieżyjącego już ojca.

W czasie pobytu na XXIV Ogólnopolskim Koleżeńskim Zjeździe Tarnopolan (20–24 czerwca 2010) w Dobczycach dowiedziałem się o istnieniu tego pamiętnika – napisanego przez tarnopolanina, pana Aleksandra Świstunia. Po przeprowadzeniu potrzebnych uzgodnień, wybrane zapisy pamiętnika wraz ze wstępem pani Aleksandry Jenner – córki autora, przekazałem do zamieszczenia w kwartalniku „Cracovia–Leopolis”.

Henryk Kleinrok

W grudniu 1998 roku, dwa lata po śmierci mego męża Adama Jennera, przeprowadziłam się do Szczawna do domu, w którym od 1950 roku mieszkali moi rodzice. Byliśmy ze wschodnich terenów Polski leżących za Bugiem. Zaczynaliśmy wszystko od początku. Ale mimo to rodzice moi byli tu bardzo szczęśliwi. Zawsze mieli wielu znajomych i przyjaciół oraz utrzymywali bliskie kontakty z rodziną, która po wojnie rozsypana była po całej Polsce. I teraz też obie, tzn. moja matka i ja, cieszymy się, gdy odwiedzają nas bliscy nam ludzie.

Po przeprowadzce, przy porządkowaniu i układaniu książek w bibliotece, natrafiłam na gruby zeszyt, podpisany przez mego ojca z datą 10.12.1956 rok, zatytułowany „Moje prywatne sprawy”. Ojca mego zawsze bardzo kochałam i podziwiałam. Był dla mnie wzorem ojca i męża, był wspaniałym człowiekiem.

Z ogromnym zainteresowaniem, jednym tchem przeczytałam jego zapiski. Przybliżyły mi one jego postać. Ciekawsze opowiadania czytałam wnukom i prawnukom ojca, znajomym i dla wszystkich były one ciekawe i wzruszające.

Aleksandra „Lela” Jenner

Tak sobie czasem myślę, jaka to szkoda, że nasi dziadkowie nie opisywali swoich przeżyć, myśli, że nie zostawili pisemnych pamiętek, abyśmy mogli teraz więcej wiedzieć o ich życiu, o ich miłościach, zawodach, itd. Ale cóż? Żyli – przeszli – po sobie zostawili tylko kilka epizodów ze swego życia, które podawane ustnie z pokolenia na pokolenie przetrwały do moich czasów.

Toteż ja postanowiłam sobie pisać o całej naszej rodzinie, wszystko to, co mi na myśl przyjdzie, tak bez składu i ładu, bez żadnego planu, bez chronologicznego porządku, bez poprawek, brulionów. Toteż nic dziwnego w tym, że

będzie w tej pisani-
nie mnóstwo uchy-
bień stylistycz-
nych, może mylnie
przedstawionych
niechcąc scen.
No, ale trudno –
to, co napiszę, to
w najlepszej inten-
cji wiernego przed-
stawienia tego, co
przeżyłem lub co
usłyszałem od
swoich Dziadków,
Babek, Wujków
i Cioc.



MŁODZIEŃCZE LATA NAUKI

A zatem zacznę od siebie. Urodziłem się 4 marca 1893 roku w Tarnopolu, ówczesnej Galicji, kraju należącego do monarchii austro-węgierskiej. Ojciec mój Anastazy był lekarzem wolno praktykującym i, jak pamiętam, mało praktykował. Gospodarował we wsi Magdalówka na dzierżawie 700 morgów dzierżawionych od księżnej Czartoryskiej. Magdalówka, nieduża wieś na granicy powiatu skałackiego i tarnopolskiego, położona na stepie równym jak stół, gdzie wzrok od północnego wschodu zatrzymywał się dopiero na paśmie gór Miodoborów, około 20 km, od południa widok zastaniała wieś, a od północy i zachodu widać było wzgórze nad Tarnopolem, które w prostej linii są odległe około 17 km. Moje pierwsze wspomnienia łączyły się zawsze z Magdalówką, gdzie spędzaliśmy święta i wakacje. Matka moja Helena, z domu Fedorowicz, córka Alojzego, właściciela Żerebek Szlacheckich, wsi położonej 10 km od Skałata i 20 km od Tarnopola.

Do szkoły zacząłem chodzić od szóstego roku życia, a po czterech latach do gimnazjum. Moja nauka w gimnazjum to jedno wielkie pasmo udręczeń. Byłem zawsze silnym chłopcem, biegałem najlepiej w całym gimnazjum, byłem najsilniejszy, więc nic dziwnego, że organizm mój wymagał ruchu, ruchu i jeszcze raz ruchu. Tymczasem moja matka (ojciec rzadko bywał w domu i nie zajmował się naszą nauką), chora na jakieś ataki wątrobowe, zawsze poważna i obolała, pędziła nas – mnie i mojego brata Włodzimierza – do nauki, a na zapewnienie, że już się nauczyłem jej jedyną stałą odpowiedzią było: „To idź i powtórz sobie poprzednie lekcje”. Korepetytor też nas pilnował, a skutek tego był taki, że siedziałem nad książką, ale pod stołem wbijałem złamane stalówki na różne głębokości, stroiłem wg gamy i cichutko wygrywałem zasłyszane piosenki albo wycinałem piękne monogramy na stole w różnych wielkościach i zapuszczałem je kolorowymi farbami. W końcu robiła się 12. w nocy, wszyscy ziewaliśmy i sliśmy spać, aby na drugi dzień wstać o 7., ubrać się, siedzieć w klasie, zbierać często dwóje, potem o 1. lub 2. obiad w domu i znów to samo. Nauka nie szła do głowy, a duża ilość korepetytorów zupełnie nie pomagała. Swoją drogą z niektórych przedmiotów, jak

Na placu J. odbywały się w czasach staropolskich słynne doroczne jarmarki świętojurskie. W XIX w. usunięto je na inne miejsca, a tu założono plantacje miejskie.

Kadecka została założona w pierwszych latach XX w. Pnie się ostro w górę w kierunku pd. od węzła ulic Kopernika i Wuleckiej oraz Pelczyńskiej (wszystkie zob.) aż do Szkoły Kadeckiej (stąd nazwa ulicy), otwartej w 1899 r. na gruntach tzw. Przeziarkach, położonych na krawędzi płaskowyżu, otaczającego kotłinę, w której leży Lwów. Ulicę K. założono w naturalnym jarze, opadającym od Przeziarek do potoku Wuleckiego, jednak na samej górze jest odcinek, który skręcając pod kątem prostym, dochodzi do ul. Stryjskiej.

Ulica K. posiada dość bogate rozwiązanie pierzei. Po prawej stronie, w widłach ulic K. i Wuleckiej, znajduje się remiza i warsztaty tramwajowe, a wyżej ciąg kamienic, zbudowanych w większości przed I wojną świat. – wśród nich neogotycki dom H. Śliwińskiego, gdzie mieszkał J. Piłsudski w latach 1908–11. W górnej części ulicy willa intrologatora i bibliofila Semkowicza „Dom pod Książką”. Górny, poziomy odcinek ulicy ma po prawej stronie Szkołę Kadecką. Po lewej stronie ulicy K., na narożniku ul. Pelczyńskiej (zob.), stanął wielki gmach MZE, powyżej zaś ciągną się mniej więcej do połowy długości ulicy kamienice z lat 1930., w tym zespół pięciu kamienic o szlachetnej architekturze klasycyzującego modernizmu (arch. Piotr Tarnawiecki), a dalej, aż do ul. Stryjskiej, zatoka parku Stryjskiego. Po tej samej stronie istnieje równoległa odnoga ulicy K., ul. Herburtów, zabudowana eleganckimi willami; jedna z nich należała do premiera RP prof. K. Bartla.

Przed II wojną światową przemianowano ul. K. na Peowiaków, jednak nazwa ta nie przyjęła się.

Kazimierzowska, biegnie od pl. Gołuchowskich (zob.) w kierunku zach. aż do kościoła św. Anny, przed którym ul. K. rozdziela się na dwie ulice wylotowe z miasta: Gródecką i Janowską (obie zob.). Ulica K. nosiła wcześniej nazwę św. Anny, nowa nazwa została nadana r. 1871 po uzyskaniu przez Galicję autonomii.

Wzdłuż ulicy wyróżniają się kolejno po prawej stronie: dawny dom handlowy „Magnus” (uważany za pionierskie w Polsce rozwiązanie architektoniczne takiego obiektu); więzienie zwane popularnie „Brygidki” – dawny klasztor żeński z w. XVII pw. św. Brygidy, zamieniony po kasacie zakonu w r. 1785 na dom karny dla mężczyzn, rozbudowany przed poł. XIX w. (fasada została częściowo zmieniona za czasów stalinowskich). Wewnątrz znajdował

np. przyrodnicze nauki, matematyka, fizyka czy geografia, miałem – co prawda – dostatecznie, ale geografię umiałem najlepiej w klasie. Profesor nawet nie pytał mnie, z fizyki tak samo, a tajemnicę tego dostatecznego dopiero zrozumiałem. Profesorowie nasi „klepali biedę”, a że ojciec uchodził za bardzo dobrze sytuowanego, więc chodziło im o „łapóweczki” – o udzielanie lekcji, które udzielane były nam w domu, za dobre pieniądze. Kiedy miałem 14 lat, byłem w czwartej gimnazjalnej, moi rodzice przenieśli się na stałe do Poznanki Gniłej położonej 6 km od Skałata i 10 km od Magdalówki, a ja poszedłem na „stancję” do ciotki Hali Trzciskiej z domu Kopczyńskiej. W szóstej klasie „rypnąłem” sobie i przenieśliśmy się do Lwowa do V gimnazjum. Po roku wróciłem do Tarnopola na stancję u pani Gottliebowej oraz do tego samego gimnazjum. Pani Gottliebowa później powróciła do panińskiego nazwiska – Michałowska. Kiedy już miałem 17 lat, to zmadrzałem, zacząłem się uczyć, świadectwa miałem już dobre, a nawet bardzo dobre, maturę zaś zdałem w 1912 roku z postępem „jednogłośnym” (były też „większością głosów”), a ja o mały włos miałbym świadectwo z wynikiem „celująco”. Sprzeciwił się temu katecheta, ksiądz grekokatolicki, ponieważ nie byłem Ukraińcem. Na lekcje religii chodziłem z kolegami wyznania rzymskokatolickiego, a to go irytowało i zemścił się przy maturze. Ale czort z nim, zdałem i to było najważniejsze. Platona wyrzuciłem, bo nie znosiłem greki, ubrałem strój cywilny i obowiązkowo wzięłem do ręki laskę. Poszedłem do hotelu Puncherta, gdzie matka z bratem oczekiwali mnie. Gdy powiedziałem im, że zdałem maturę, nie chcieli uwierzyć mi, a ich zdziwienie było tym większe, gdy powiedziałem im, że z wynikiem jednogłośnie. Załatwiliśmy jeszcze różne sprawunki, następnego dnia pociągami pojechaliśmy do domu. Ojciec, gdy dowiedział się, że zdałem i pokazałem świadectwo, poczęstował mnie papierosem i wtedy pierwszy raz zapaliłem przy ojcu, choć dobrze wiedział, że od trzech lat pałę.

DOM RODZINNY

Dom w Poznance (1260 mórg wraz z gorzelnią), dzierżawa od hrabiego Baworowskiego z Ostrowa, stał na wysokiej gołej i łysej górze, dlatego na lato wyjeżdżaliśmy

do Magdalówki, bo tam był sad, mnóstwo drzew i dwa małe stawy. Były to beztroskie wspaniałe wakacje, dom był obszerny, dużo drzew, kręgielnie, tenis, strzelanie, polowanie, miłe towarzystwo (do Magdalówki na wakacje przyjeżdżało dużo osób). Zdrowie i młodość była, były też dziewczęta, a ja do dyspozycji miałem strzelbę i wózek z konikiem.

Magdalówka, majątek ziemski 1400 mórg cudownej czarnej ziemi, należał dawniej do mego dziadka (ojca matki) – Alojzego Fedorowicza – marszałka powiatu skałackiego. Oprócz tego majątku dziadek Alojzy miał Żerebki Szlacheckie, Mytnicę i jeszcze jakieś lasy oraz majątki, ale nie wiem które.

Po śmierci dziadka babka została sama z ósemką dzieci, w tym cztery córki, a te, gdy dorosły i zaczęły wychodzić za mąż, trzeba było odpowiednio wyposażyć, dlatego postanowiła sprzedać Magdalówkę. Czasy były ciężkie, nikt nie miał pieniędzy, dopiero memu ojcu udało się namówić księżną Czartoryską z Jabłonówki do kupna tej posiadłości wraz z 700 morgami ziemi. Księżna jednak zagwarantowała sobie, że ojciec wydzierżawi od niej ten majątek, ponieważ jest „na uboczu jej dóbr”. Ojciec po długich naradach z mamą zdecydował się na dzierżawę, częściowo zrezygnował z praktyki lekarskiej i z zapalem oddał się gospodarowaniu. Z praktyki lekarskiej pozostali mu tylko: ks. Czartoryska, hr. Baworowscy z Ostrowa i drudzy z Sołocka, Lamenzanowie, Borkowscy, Pinińscy, Badeni, Potocki z Krakowa oraz inne domy ziemiańskie. Ponadto za darmo leczył też okolicznych chłopów. Od arystokracji też nie brał za wizyty – ale na Nowy Rok każdy z nich przysyłał pieniężną kopertę albo w prezencie jakiegoś drogiego ogiera czy jakieś bydło importowane itp. Jednym z takich prezentów była dzierżawa drugiego majątku o powierzchni 1260 mórgów wraz z gorzelnią – Poznanka Gniła, od hr. Baworowskiego z Ostrowa. Była to bardzo korzystna dzierżawa, gdyż tenutę dzierżawną (czynsz) ustalono po 14 guldenów za morgę i było to po 4 guldeny mniej od ceny ogólnie stosowanej. Dla orientacji podaję, że 100 kg pszenicy kosztowało wtedy 10 guldenów. Wiele dowcipów opowiadało o pieniądzach austriackich – mówiono, że „gulden to floren, a floren to reński, zaś reński to 2 korony” i „szóstka to 10 cen-

tów, ale napisane 20 halerzy”. Rubel carski kosztował wtedy jednego guldena albo dwie korony z groszami, dolar zaś kosztował 5 koron. Wobec tego pomniejszona tenuta o 5040 guldenów stanowiła na owe czasy nie lada zysk.

W Magdalówce dom był lepiony z gliny, gontami kryty, z belkami na suficie, ot taki stary duży dwór. W grubie były paleniska do czterech pieców, w których rano o 5. chłop palił słomą, której na Podolu było mnóstwo. Przynosił na plecach „wiązanek” słomy, głośno tupał nogami, grzebał pogrzebaczem w piecu i wtedy dopiero najlepiej się spało. Było jakoś bezpiecznie, bo był tam Michał czy jakiś Pietro i absolutnie nic złego stać się nie mogło. Dom otoczony był gęstymi krzakami, które jak w dżungli rozrastały się i ścisnęły dwór zwłaszcza od zachodu, tj. od pola. Dzięki tym krzewom dwór był osłonięty od wichrów podolskich, za to zimą śniegu nanosiło równo z dachem. Wiosną, gdy ruń się zazieleniła, ciągnęły się nad stepami stada czajek, kulonów i tysiące żurawi, które po kilkunastu dniach wycieczki ruszały dalej na Pańszczyznę i dalej na łęgi. Zimą zaś, gdy śniegi wyrównały miedze i drogi, robiło się „białe morze”, powstawały wówczas zimowe drogi, a jedynymi drogowskazami były z rzadka, ustawione latem, przydrożne krzyże i figury świętych. Zdarzało się, że ludzie w bezksiężycowe noce błądzili, a nawet zamarzali razem z końmi. U nas, w jednej stajni z oknami od strony stepu, stróż nocny w oknie stawał zapaloną latarnię, której światło jak z latarni morskiej wskazywało drogę zbłądzonym. Bywało, że chłopci wjeżdżali do ciepłej stajni i błogosławili tę lampę, której światło widać było ze złowrogich, zimnych i strasznych w nocy stepów. Za to wiosną, gdy jechało się wąską polną drożką, a po obu stronach dwumetrowe ściany żyta, pszenicy albo miodny zapach hreczki, a do tego jeszcze szaleńczy śpiew skowronków, wtedy zawsze nasuwało się pytanie – czy jest gdzieś piękniejszy kraj niż to nasze kochane Podole? Czy jest gdzieś miłszy wiatr, który hulał po tych nieobjętych wzrokiem przestrzeniach? Czy było gdzieś czystsze powietrze niż tam? Ta urodzajna, czarna ziemia ze swoim kontynentalnym klimatem była też czasem i niewdzięczna, zwłaszcza zimą, gdy przychodziły straszne wichury, które przy silnym

się renesansowy kościół pw. św. Piotra Apostoła; na końcu szkoła św. Anny. Po lewej stronie ulicy wyróżnia się dawny hotel Astoria (obecnie nieczynny), z dwupiętrowymi loggiami.

Kopernika składa się z paru części, które w ciągu wieków i dziesięcioleci nosiły różne nazwy. Dziś zamyka się między pl. Mariackim (zob.) a rozstajami ulic Leona Sapiehy (zob.) i Tomickiego. Jest fragmentem dawnej drogi Sokolnickiej, która od XV w. biegła od Bramy Halickiej do polskiej średniowiecznej wsi Sokolniki, położonej na pd. od Lwowa. Od XVIII w. droga podzieliła się na kilka części, odcinek w obrębie miasta stał się zaś ul. Sokolnicką. Został on później podzielony jeszcze na kolejne dwa odcinki: od centrum aż pod górę Wronowskich (gdzie później powstała Cytadela) – to ul. Szeroka, a dalej ul. Łazarza. Tę nazwę nadano od kościoła św. Łazarza, założonego na stoku góry w 1620 r. (architektura renesansowa) oraz domu kalek tego samego imienia (powstałego przez połączenie się trzech starszych szpitali). Wreszcie w 1871 r., po uzyskaniu przez Galicję autonomii, cała ulica aż do ul. Pełczyńskiej (zob.) – otrzymała wspólną nazwę Mikołaja Kopernika. W latach międzywojennych ostatni odcinek stał się ul. Tomickiego, a dalszy ciąg dawnej drogi Sokolnickiej, począwszy od ul. Pełczyńskiej – stał się ul. Wulecką (zob.).

Ulica K. na pierwszym odcinku od centrum posiada wielkomięjską zabudowę. Po lewej stronie wyróżnia się kamienica Mikołascha, a przez nią wejście do Pasażu Mikołascha. Obok zabytkowa apteka Mikołascha, gdzie Ignacy Łukasiewicz w 1853 r. wydestylował naftę z ropy i skonstruował lampę naftową. Dalej wznosi się wielki pałac hr. Potockich. Po prawej stronie ulicy gmach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Odcinek pod górą Wronowskich (później Cytadeli) rozpoczyna po lewej stronie, w otoczeniu parkowym, główna siedziba Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, dawny klasztor ss. Karmelitanek; po prawej boczne skrzydło Poczty Główniej. Powyżej znajdowała się cerkiew św. Ducha (wcześniej klasztor ss. Dominikanek), a przy niej seminarium greckokatolickie; oba obiekty nie istnieją, zbombardowane podczas II wojny światowej. Jeszcze wyżej stoją dwa pałace: ks. Sapiehów oraz hr. Bielskich (w tym mieści się od II wojny Polski Teatr Ludowy).

Ulicę K. kończy gmach przedwojennego VI Komisariatu Policji – tu początek ulic Leona Sapiehy (zob.) i Tomickiego.

29 Listopada odchodzi prostopadłe od ul. Leona Sapiehy w kierunku pd., następnie przecina

mrozie i bez pokrywy śnieżnej powodowały, że piórka ozimin wymarzały i na wiosnę trzeba było dosiewać. Latem po upalnym dniu czasem przychodziła druga kłeska – gradobicie. Grad siekał i młócił wykoszone zboża. Często chłopi kosili niedojrzałe, pomierzwione zboże na swoich poletkach i ponownie zasiewali je hreczką, bo ozimy dawały słomę. Żadne sztuczne nawozy nie były potrzebne, najlepsze przeciętne zbiory dawały poletka nawożone obornikiem i gęsto zasiewane. Wielkie było umiłowanie ziemi, cena dochodziła 1000 koron za morgę, co stanowiło równowartość 10 krów, nic też dziwnego, że brat bratu rozbijał głowę za zaoranie kilku centymetrów miedzy. Wracił z Ameryki z ciężko zarobionymi tam dolarami i nie patrząc na nic kupował kawał ziemi. Obsiewał, zbierał i odpoczywał po lecie, by wiosną znów ruszyć w pole. Po latach odchodził, a syn jego wstępował w ojca ślady... i tak ciągnęło się przez wieki. Kroniki metrykalne w cerkwiach i kościołach notowały rodziny, które od 400 lat w tej samej wsi żyły i żyją. Dla naszego chłopa ziemia była warsztatem pracy, tylko pracy, bez względu na to czy płatnej czy nie. Miał on we krwi umiłowanie tej ziemi, na wiosnę czuł jej zapach, a jesienią rozkoszował się bogactwem plonów.

Do takiej Magdałówki, do takich okolic biegnę często myślami teraz, gdy wszystko kończy się dla mnie, bo zaczyna się starość. Magdałówka została po drugiej stronie nowej granicy na Sanie, ale czy na zawsze? Wątpię! Bardzo wątpię!

RODZICE MOI

Ojciec mój po ukończeniu medycyny w Krakowie dostał posadę lekarza kolejowego w Podwołoczyskach. Przekorny los chciał inaczej. Gdy jadąc tam pod samym Tarnopolem wydarzyła się katastrofa kolejowa, dużo osób było rannych, a w ciągu tylko mój ojciec był lekarzem. Zaraz zorganizował pierwszą pomoc; tamował krew, prowizorycznie składał połamane ręce i nogi, że gdy przyjechała specjalna pomoc z Tarnopola, to już większa część ciężiej rannych była jako tako opatrzona. Na udzielaniu pierwszej pomocy nie skończyło się, bo wiele rannych ulokowało się w tarnopolskim hotelu, prosiło o odwiedzinę i dalszą opiekę. Ma się rozumieć wyjazd do

Powołoczysk został odłożony, a kilkudniowy pobyt w Tarnopolu i zawarte tam znajomości zrobiły swoje. Faktorzy żydowscy znaleźli mieszkanie, a nawet pożyczili pieniądze na kupno powozu, parę siwych koni, na wynajęcie furmana i lokaja uważając, że: „jak pan doktor przyjdzie piechotą, dostanie guldena, a jak przyjdzie swoim powozem, to zapłacą pięć razy tyle, a zaciągnięty dług to pan doktor odda jak będzie miał”. Szczęście dopisało ojcu zaraz na wstępie, bowiem w tym czasie zachorował „cudowny” rabin (*rabin – nauczyciel judaizmu, znawca prawa religijnego oraz jego świętych ksiąg*) z Zarwanicy. Sprowadzono wówczas wielu lekarzy, profesorów ze Lwowa, którzy dniem i nocą siedzieli koło chorego. Parę tysięcy Żydów z Zarwanicy i okolicy zebrało się na modły i na spodziewany pogrzeb umierającego rabina-cudotwórcy. Wreszcie profesorowie pewnego dnia oświadczyli, że nie ma ratunku. Rebe musi umrzeć, a oni wracają do Lwowa. Poradzili też, niech sprowadzą jakiegoś młodego lekarza, który będzie czuwał i ulży choremu. Wielce zaniepokojeni Żydzi sprowadzili mego ojca, który po dokładnym zbadaniu chorego stwierdził tyfus – puls słaby, serce kiepskie, gorączka krytyczna. Profesorowie odjechali, a Żydzi w płacz i proszą „Ratuj pan naszego rebego”. Zrobił się wielki gwałt – młody lekarz chce jeszcze ratować naszego rebego. Wtedy ojciec kazał wszystkim wyjść z pokoju, a dwóch poprosił o wniesienie wanny z zimną wodą, do której polecił włożyć chorego w celu obniżenia gorączki, a po jej obniżeniu puls nabierał lepszego tętna, a wtedy wyjmowano chorego z kąpieli. Gdy temperatura ponownie zanadto wzrosła, zabieg powtarzano i tak to leczenie trwało przez całą noc. Ojciec przez całą noc nie spał, a tysiące Żydów na ulicy cmokało „aj waj, żyje, kąpi się, już in bed pod koldrę powrócił, aj waj, to wielki doktor, on znów do wody rebego”. I rzeczywiście, Bóg dał, że kryzys minął i na drugi czy trzeci dzień ojciec, który pił tylko czarną kawę, powiedział: „Dajcie mi jeść, rebe będzie żył”. „Rebe będzie żył, gwałt! Profesorowie powiedzieli, że umrze, a tu młody, nieznanany lekarz mówi „Silit, będzie żył!”, to wielki doktor.

Więść o uzdrowieniu rebego-cudotwórcy obiegła niczym telegraf całą okolicę. Po czterech dniach rebe siedział już w fote-

lu jako rekonwalescent. Znowu pełno ciekawskich Żydów napchało się do pokoju, gdy ojciec żegnał się z rebem, któremu już opowiedziano, jak to lekarze ze Lwowa wydali wyrok śmierci na niego, a młody lekarz uratował go. Jak go na zmianę wkładali do zimnej wody i pod koc, cztery razy w ciągu nocy. Za uratowanie życia rebe dał ojcu 5 złotych florenów (10 koron) i powiedział: „Panie doktorze, to od rabina z Zarwanicy na szczęście”, podał rękę, podziękował i zakończył ceremonię pożegnalną. Ojciec uważał, że za te trzy czy cztery nieprzespane noce to trochę mało, ale te słowa starca – „na szczęście” – zrobiły swoje. Jednak już na progu jakiś adwokat za ten pieniążek dawał ojcu 50 koron, a na dworcu kolejowym Żydzi oferowali już 200 guldenów! Para buczików czy korcze pszenicy kosztował 7 guldenów (*korzec – jednostka obj. ciał sypkich, w XIX w.: 1 k=128 l*). Żydzi nie dawali ojcu spokoju, chcieli odkupić ten pieniążek, ofiarowany wobec tłumu Żydów „na szczęście” przez rabina „cudotwórcę”. Zanim dojechał do Tarnopola, już Żydzi tarnopolscy wiedzieli o wszystkim. Pełno ich czekało na stacji i dotykało płaszczka mojego ojca, żeby to szczęście i na nich też spłynęło.

I tak zaczęła się ogromna praktyka, zaczęli wzywać ojca do dworów i pałaców. Jednak po kilkunastu latach nie ordynował już w ogóle, tylko gospodarował na wsi, dojeżdżając czasem do starych pacjentów jako lekarz. Pieniążek miał stale przy sobie, a umierając dał memu bratu. Bezwzględnie moneta ta przynosiła pieniądze, bo i ojciec, i brat mieli szczęście w interesach, a kredyt był zawsze nieograniczony. Tak to los czasem płata dziwne figle.

MOJE DZIECIŃSTWO

Jedno z pierwszych moich wspomnień z dzieciństwa to, gdy dostałem pieska za to, że nie pojechałem z rodzicami do Lwowa. Rodzice wrócili wieczorem i w koszyczku przywieźli mi małego szpica z czerwoną kokardą. Gdy zobaczyłem, że piesek biega, zawołałem „piesio bizia”, co miało znaczyć biega. Piesio został Biziem. Po latach tego Bizia – bezzębnego, parszywego staruszka – razem z bratem musieliśmy zastrzelić z dwóch dubeltówek. Nawet nie pisnął. Ale długo snił mi się po nocach i ciekawe, że bratu też pokazywał się w snach. Następne

ul. Na Bajkach, a kończy się na linii kolejowej Lwów–Stanisławów (blisko Dworca Głównego). Powstała w ostatnich latach XIX w. i pierwotnie dochodziła do ul. Błotnej – późniejszej Dunin-Borowskich. Ulicą L., poczynając od skrzyżowania z ul. Szymonowiczów, do końca biegła linia tramwajowa. Ulica L. nie ma jednolitego charakteru, jej pierwszy odcinek do ul. Szymonowiczów zabudowany jest kamienicami, dalszy ma zabudowę mieszaną. Ulica była zamieszkała głównie przez zamożne rodziny oraz inteligencję. Na rogu ul. Szymonowiczów wyróżniała się willa rodziny Franzów, z wieżowym ryzalitem i kopułą oraz bogatym neobarokowym wystrojem.

Mickiewicza, ciągnąca się od pl. Smolki (zob.) do pl. św. Jura (zob.). Do końca XVIII w. była to *droga* Świętojurska, łącząca centrum miasta ze wzgórzem, będącym zakończeniem płaskowyżu, który otacza miasto, położone w dolinie. Na szczycie wzgórza założono plac o nazwie św. Jura (zob.). W 1817 r. wspomnianą drogę przebudowano na ulicę miejską, nazwaną Cesarską, ale w 1871 r. przemianowano ją (jak większość ulic Lwowa po uzyskaniu przez Galicję polskiej autonomii) na Adama Mickiewicza.

Ulica M. składa się w naszych czasach z trzech odcinków, różniących się charakterem. Pierwszy od pl. Smolki do ul. Marszałkowskiej posiada pierzeje ściśle zabudowane monumentalnymi obiektami. Po lewej stronie jest to boczne skrzydło Uniwersytetu (do I wojny światowej – Sejm Galicyjskiego; po prawej stronie wśród kamienic wyróżnia się Kasyo Narodowe (lub Szlacheckie, popularnie zwane Kasynem Końskim, obecnie tzw. „Dom Uczonych”), o pięknej fasadzie i bogatych architektonicznie wnętrzach. Drugi odcinek, wznoszący się ku górze, ma charakter bardziej swobodny. Lewa strona to Ogród Jezuicki (zob.), ciągnący się aż do ul. Matejki. Po prawej stronie wyróżnia się pałac hr. Gołuchowskich, a na rogu ul. Zygmuntowskiej monumentalny gmach Dyrekcji PKP. Trzeci odcinek ulicy M. jest aż do pl. św. Jura ściślej zabudowany. Po lewej stronie wyróżnia się na rogu ul. Ziemiałkowskiego dom Jana Styki wraz z jego pracownią malarską.

Nabielaka, jest ulicą, która w czasie swego istnienia w dużej mierze zmieniła przebieg oraz charakter. Obecnie początek tej ulicy jest wąską uliczką, łączącą ul. św. Marii Magdaleny (boczną ul. Potockiego) z ul. Lenartowicza, a stąd dopiero zaczyna się jej właściwy bieg – linią falistą aż do ul. Issakowicza. Dawniej wyglądało to inaczej: ul. N. ciągnęła się od ul. Lenartowicza w przeciwnym kierunku i mijając ul. św. Marii Magdaleny biegła



domy na tle parku – to Borki Wielkie. Przed nami widać topole Magdałówki, jeszcze dalej podsmykane drzewa Mytnicy i wieża kościelna Skalatu (w 1963 roku kościół ten wysadzony został w powietrze, obecnie w pobliżu tego miejsca wybudowano nowy kościół pw. św. Anny). Wzrok spoczy-

wspomnienia sięgają już czasu, gdy miałem 4 lata i nasza bona Frau Marie nauczyła mnie chować kciuk i pokazywać 4 palce „du hast 4 jahre”. Pamiętam też lampę na żelaznej podstawie ze smokiem i trzema dziewczycami, z białą umbrą i nie wiem dlaczego – ze szkiełkiem zalepionym przepalonym papierkiem. To było w tej Magdałówce, gdzie po zimowym magazynowaniu zboża mimo gruntowego pobielania ścian w pokojach zawsze pachniało specyficznym myszowato-zbożowym zapachem. Co było szczególnie odczuwalne przez pierwsze dni, gdy przyjeżdżaliśmy na wakacje.

Wakacje! Czy jest piękniejsze słowo dla ucznia? W ostatnim dniu nauki biegło się do szkoły po świadectwa, zawsze ze strachem, potem kupowało się naszywki do kołnierza o jeden pasek więcej (paski srebrne do 4 klas niższych, złote do 4 wyższych) i galopem do domu. Miałem zawsze szlacheckie świadectwa, tzn. z religii bardzo dobry, a potem dost, dost, dost. itd. – aż dopiero z gimnastyki i śpiewu bardzo dobry, ale grunt, że przechodziłem do klasy wyższej. Wbiegałem na podwórze do domu przy ulicy Kościelnej, a tam już fury wymoszczone słomą, chłopcy noszą poduszki, materace, pełno jakichś tajemniczych pak i pakunków, a tymczasem jeszcze trzeba czekać do obiadu, po którym dopiero mamy wyjechać.

Jazda przez Tarnopol, przez ulicę Mikulińską obok cerkwi i żydowskiego cmentarza i już jesteśmy za miastem. Potem pomost kolejowy na Brzeżany, pod górę i dojeżdżamy do pierwszej wioski Gaje 4 km długiej (tu w dniu 27 marca 1945 roku bojówki UPA napadły na polskie zagrody, mordując 68 osób). Dalej otwiera się widok, jaki tylko na Podolu. Na lewo widać dwa białe

wa na długim paśmie Miodoborów (na południowy wschód od Zbaraża ciągnie się na przestrzeni blisko 60 km aż po przełom Zbrucza między Satanowem a Liczkowcami). Po następnym kilometrze zatrzymujemy się – rogatka. Stara Żydówka odbiera myto – 4 centy. Jedziemy dalej, przed nami głęboki jar, w dole rzeka Gniezna i jedna za drugą wieś: Borki, Dyczków, Krasówka (kościół pw. św. Anny z końca XIX wieku, w 1992 roku został przebudowany na cerkiew pod tym samym wezwaniem), Toustoluga, Białoskóra, a tam dalej Grabowiec i Baworów (b. miejscowość letniskowa, od 1540 roku uznany jako miasteczko, własność rodu Baworowskich, w dniu 2 listopada 1943 roku bojówka UPA napadła na miejscową plebanię mordując proboszcza i organistę, zaś wikaremu ks. Ludwikowi Rutynie udało się przez okno uciec; później po 1990 roku był pierwszym powojennym proboszczem w parafii tarnopolskiej). Przejżdżamy obok cmentarza i zawsze zażenowani czytamy na nagrobku napis „Tu spoczywa Marcin Dupa”. Wąwozem pod górę jedzie się drogą powymulaną deszczami, z głębokimi rowkami, o różnych przechyłach, na których matka krzyczała ze strachu, a my zeskakiwaliśmy i wskakiwaliśmy z wozu. Przejżdżaliśmy się obok mogiły z grubym, niezdarne ciosanym krzyżem, ze starostłowińskim napisem, który głosi, że „tu spoczywa pan Oleg ze swoim sługą, który zginął w walce z niewiernym”. Dalej po lewej stronie figura świętego Jana Chrzciciela w czerwonych szatach, który leje wodę na głowę Chrystusa. Następna to figura z czterema słupami kamiennymi, a sam Chrystus z główką większą niż cały korpus z nogami. Po prawej stronie na stepie, wśród rzadkich drzew, domek i stajnia, to Czahary

i folwark z Grabowca. Potem z góry na dół i mostek, specjalny, podolski, który w czasie śnieżnych zawiei było dobrze widać. Wreszcie widać białą figurę świętego Antoniego, cel wieczornych spacerów z Magdalówki. Ładna figura z napisem *Na Twą cześć Św. Antoni dla przestrogi błędnej braci stawiam tę figurę, iż Bóg siódme przykazanie kazał czcić – poszkodowani z gminy Magdalówki w roku 1877*. Memento – *nie kradnij* – wyryto na przestrogę, po kradzieży dużej ilości koni, drobiu i koźuchów, dokonanej przez będący w pobliżu obóz cyganów. Koło figury skręta na prawo i przed nami w odległości 600 metrów Magdalówka.

Zeskakujemy z powozu i z dużym przejęciem rozglądamy się wokoło, a myśli i plany pchają się i migają w główkach dziecięcych. Biegamy z siostrą zobaczyć, czy znajdziemy zakopane koło kręgielni nasze pisma pożegnalne z wakacji zesłorocznych, to znów oglądamy, czy monogramy z datą wyróżnione wysoko na lipie jeszcze są widoczne? A w sadzie nad stawkiem – czy czóno dobre? Czy mój konik jest w stajni? Gdzie mój wózeczek? Po kolacji wielkie mycie i pełni wrażeń idziemy spać. Ale coś spać nie mogę. Słyszę jakieś kroki, otwieram oczy i co to? Już dzień! Tak to mijały noce wakacyjne i tak samo dni leciały. Rachowało się, wiele jeszcze tych dni zostało do końca wakacji, niestety coraz mniej. I znów pisało się listy pożegnalne, misternie pakowane i chowane w ziemi. Ryło się jeszcze monogramy na lipie i następował smutny dzień odjazdu. Zostawiało się huczącą maszynę do młócenia zboża, zostawiało się wysokie sterty świeżo omlóconej słomy, dwie ogromne topole – ostatni rzut oka na naszą Magdalówkę i przed nami Tarnopol i cały rok szkoły!

Tak mijały lata, aż w 1912 roku zdałem maturę i zapisałem się na medycynę w Krakowie. Uczył mnie Kostanecki (*Kazimierz, 1863–1940, profesor anatomii, rektor UJ – zginął w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen*), Marchlewski (*Leon Paweł, 1869–1944, profesor chemii lekarskiej na UJ – autor podręcznika „Chemia organiczna”*), Bujwid (*Odon Feliks Kazimierz, 1857–1942, bakteriolog i immunolog, profesor UJ, działacz społeczny – założył Uniwersytet Ludowy*) i wielu innych. Niektórzy z nich to tytani nauki – sławy europejskie. Z zapałem uczyłem się anatomi-

dalej prosto za tyłami szkoły Marii Magdaleny, aż do ul. Chrzanowskiej; a może nawet dalej, trasą dzisiejszej ul. Łąckiego do dzisiejszej ul. Leona Sapiehy (dawnej Nowy Świat; zob.). Natomiast po przeciwnej stronie ul. Lenartowicza zaczynały się ogrody tzw. Kastelówka (posiadłość rodziny Castellich, przybyłej z Włoch w XVII w.), ciągnące się aż do późniejszej ul. Issakowicza. Wewnętrzna droga tej posiadłości narzuciła ową falistą linię nowej ulicy N.

Obecna ul. N. składa się z trzech odcinków: pierwszy to wspomniana wąska uliczka, kolejne dwa mają odmienny charakter: szerokie, z ładną zabudową, a wszystkie kamienice posiadają zadrzewione przedogródki. Środkowym odcinkiem – od ul. Lenartowicza do węzła ulic N., Potockiego i Na Bajkach – biegnie linia tramwajowa. Przy węźle znajdowały się dwa konsulaty: ZSRR i Belgii.

Ul. N. – podobnie jak związane z nią ulice Chodkiewicza, Issakowicza – były zamieszkałe głównie przez inteligencję; kamienica nr 55 należała do profesorów Politechniki.

Pelczyńska zamyka się między pl. Prusa a zbiegiem ulic Tomickiego i Wuleckiej (czyli dawniejszą drogą Sokolnicką). Biegnie dnem dawnej doliny potoku Wuleckiego (zob. ul. Wulecka), między górą Wronowskich (późniejszej Cytadeli) a górą Kadecką (te nazwy późniejsze) i tzw. górkami pelczyńskimi (opadającymi od Szkoły Kadeckiej). Na tym odcinku potoku istniały dwa stawy: Pelczyński (nazwa od właścicieli, rodziny mieszczańskiej Pełków) oraz Panieński, co spowodowało, że dawna droga wciniała się w górę. Dopiero po skanalizowaniu potoku i zasypaniu stawów z pocz. XX w. poprowadzono tu miejską ulicę z linią tramwajową.

Ulica P. jest zabudowana jedynie w części poza terenem, gdzie istniały stawy (wykorzystywane do celów pływackich i łyżwiarskich). Po stronie zach., między ul. Wulecką i Kadecką (zob.), znalazły się z pocz. XX w. warsztaty tramwajowe i remiza, a w latach 1930. nowoczesny gmach biurowy Miejskich Zakładów Elektrycznych. Po stronie wsch., na pl. Prusa, następuje zbieg ulicy P. z ulicami Zyblikiewicza (zob.) i św. Zofii (zob.).

Potockiego nazywała się wcześniej Krzyżowa – pochodzenie tej nazwy nie jest jasne. Nową nazwę otrzymała po zamordowaniu przez Ukraińca w 1908 r. hr. Andrzeja Potockiego, namiestnika Galicji. Ulica P. biegnie prosto od ul. Leona Sapiehy i ciągnie się poza miasto, jednak jej szczególny charakter kończy się na skrzyżowaniu z ul. Szymonowiczów. Tymi też ulicami biegnie linia tramwajowa.

Adam Trojanowski

Tak było w moim mieście

Już niewielu ludzi pamięta nawet te najznamienitsze wydarzenia, jakie miały miejsce na terenie naszego miasta. Jednym z nich była impreza, którą warto przypomnieć, miała bowiem wymiar europejski. Wydarzeniem tym był uliczny wyścig samochodowy, jaki miał miejsce we wczesnych latach trzydziestych. Był on czymś w rodzaju takiej imprezy, jaka miała miejsce wówczas tradycyjnie w Monte Carlo. Wyścig odbywał się tam jednak chyba po ulicach o jezdni płaskiej, podczas gdy we Lwowie trasa przebiegała po ulicach nie tylko krętych, ale też o wybitnym dodatnim oraz ujemnym pochyleniu. Fakt ten czynił imprezę nie tylko ciekawszą, ale wręcz sportowo atrakcyjną.

Miasto przygotowywało trasę bardzo starannie, usuwając wszelkie nierówności jezdni, obstawiając także zakręty oraz inne miejsca niebezpieczne dla zawodników jak i widzów materacami z prasowanej słomy. Ponad ulicami poprowadzono w pewnych miejscach drewniane mosty, tak by został zapewniony normalny ruch pieszy odnośnych mieszkańców, którzy mogli docierać do odpowiednich miejsc ponad czynną w danej chwili trasą.

Jest oczywiste, że impreza powodowała duże zainteresowanie, ale także i kłopoty z zapewnieniem regularnie odbywających się jazd treningowych, przy równoczesnym ruchu ulicznym. Jazdy te odbywały się bardzo wcześnie rano, kiedy to ruch był jeszcze skromny. Fakt faktem, że część ludności Lwowa była w ten sposób budzona wcześniej potężnym rykiem ścigających się maszyn. No, ale jak wiadomo, coś za coś!

Pojazdy biorące udział w wyścigu były typowymi samochodami sportowymi, o długiej

przedniej części karoserii, kryjącej potężny silnik, z ciasnym kokpitem w części końcowej oraz specjalnym „ogonem” poza nią, mającym zapewnić stabilizację aerodynamiczną. Były przeważnie koloru białego, oznaczone dużymi cyframi dla identyfikacji. Posiadały koła szczególnie szeroko rozstawione, by zapewnić utrzymywanie kierunku, szczególnie na ostrych zakrętach. W imprezie brali udział kierowcy formatu europejskiego, jak Włoch Caracciola, Niemiec Stuck oraz Czech Buek, a z polskiej strony niezmordowany Ripper z Krakowa oraz jedyna kobieta, pani Konopacka.

Trasa przebiegała z grubsza prostą i płaską ulicą Pełczyńską, następnie po kilku zakrętach na placu B. Prusa oraz placu św. Zofii skręcała ostro pod górę w ul. Stryjską. Po osiągnięciu szczytu góry następował kręty zjazd ul. Kadecką, by po kolejnym ostrym zakręcie przy remizie tramwajowej pojazdy mogły wrócić na trasę w ul. Pełczyńskiej. Ile takich „rund” miały wykonać pojazdy, tego nie pamiętam, ale było ich na pewno wiele.

W najciekawszych miejscach znajdowały się trybuny dla widzów oraz odcinki ulic zapewniające widzom bezpieczeństwo. Sytuacje były różne i tak np. podczas wykonywania zakrętu z placu św. Zofii w ul. Stryjską niektórymi pojazdami obracało tak, że musieli na moment zatrzymać pojazd, by uzyskać ponownie właściwy kierunek jazdy. Oprócz niesamowitego ryku pojazdów nad trasą górował charakterystyczny zapach gorącego smaru, jakim był olej rycynowy.

Nie pamiętam oczywiście, jakie były wyniki tych kilkugodzinnych zawodów, jednak wspomniany Caracciola był zawsze na czele. Opisana impreza nie miała miejsca już w drugiej połowie lat trzydziestych. Przypuszczam, że przyczyną tego były finanse Miasta, które nie mogły jej sprostać.

dokończenie ze s. 31

mii i dzisiaj po 40 latach jeszcze pamiętam jakieś tam: *clavicula*, *musculus stercleido-mastoideus*, wyrostek kruczozioby i inne. Ale na święta wielkanocne ojciec mój zaczął mi odradzać medycynę i mówił, że gdy będę chciał mieć dom i rodzinę, to nie będę miał

z czego żyć, a jeśli będę miał z czego, to nie będę mógł być w domu z rodziną z powodu braku czasu. Byłem usposobienia rodzinnego, mieliśmy wszyscy zaufanie do ojcowskich rad. Przeniósłem się na prawo. Studiowałem prawo polskie, rzymskie, kościelne. Egzamin miałem zdawać w 1914 roku. Niestety wybuchła wojna światowa.

Tadeusz Olszański

GÓRKA i REWERA

Jeśli nawet przedwojenny Stanisławów był podzielony, to chyba tylko pod jednym względem. Sportowym! Na „Górkę” i „Rewerę”. Tak nazywały się dwie drużyny piłkarskie zacięte walczące o miano najlepszej nie tylko w mieście, ale i na całym Pokuciu. I rywalizujące z taką potęgą jak Lwów, gdzie przecież polski futbol wziął swoje początki. W Stanisławowie były oczywiście jeszcze inne kluby sportowe. W sumie aż siedem. A więc jeszcze „Stanisławowianka” oraz „Raz, dwa, trzy”, z taką samą nazwą jak tytuł najpopularniejszego wtedy w Polsce tygodnika sportowego. Były też dwa żydowskie kluby sportowe „Hasmonea” i „Makabbi” oraz ukraiński „Prołom”. Piłkarze tych klubów walczyli ze sobą w ramach rozgrywek ligi okręgowej, w której występowały jeszcze kluby Kołomyi, Kałusza, Nadwórnej oraz innych miasteczek. W tych rozgrywkach wszakże nie było żadnej zaciętej polsko-ukraińsko-żydowskiej rywalizacji. Oczywiście każdy z tych klubów miał swoich kibiców, ale nade wszystko liczyło się, kto jest za „Górką”, a kto za „Rewerą”! Stanisławów dzielił się wtedy pół na pół i to nie tylko dlatego, że były to dwie najlepsze drużyny.

Tak się bowiem składało, że w pewnej mierze był to również podział społeczny. Górka była dzielnicą miasta za torami kolejowymi, po drugiej stronie dworca kolejowego. Schludną, kolejarską i robociarską, ale uważaną za batiarską. Sportowy klub tej dzielnicy oficjalnie nosił nazwę „Strzelec”, lecz powszechnie nazywano go *Górką* i kropka! „Rewera” natomiast była klubem związanym ze śródmieściem, a więc z inteligencją oraz garnizonem wojskowym. I rozdzielił ją oficerowie.

„Rewerę” założono w 1908 roku i była pierwszym klubem sportowym miasta. Należała do grona promotorów futbolu w poz-

Ulicę P. otwiera po lewej stronie szkoła męska im. św. Marii Magdaleny (budynek narożny z lat międzywojennych; przytykająca do niej starsza szkoła żeńska należy do ul. Leona Sapiehy – zob.). Dalej – na granicy Kastelówki (zob. ul. Nabelaka) stoi cały szereg eleganckich will i kamienic z końca XIX i 1. poł. XX wieku. Między nimi znane Gimnazjum Żeńskie im. Królowej Jadwigi. Po prawej stronie długi ciąg kamienic, wśród których wyróżnia się kamienica w formie gotyckiego zamku, własność znanego bibliofila hr. Franciszka Biesiadeckiego. Blżej ul. Szymonowiczów stoi kościół św. Agnieszki wraz z klasztorem ss. Karmelitanek Bosych.

Na ul. P. mieszkało wiele osób i rodzin należących do elity miasta i kraju.

Sapiehy Leona, ważna i szeroka ulica, będąca osią dzielnicy Nowy Świat, i sama nosząca tę nazwę do r. 1886. W tym to roku otrzymała imię ks. Leona Sapiehy, długoletniego marszałka Sejmu Galicyjskiego oraz zasłużonego m.in. w rozbudowie kolei krajowych, w tym doprowadzenia linii do Lwowa (1861 r.). Ul. S. biegnie od ul. Kopernika aż do ul. Gródeckiej. Ulicą biegnie linia tramwajowa, m.in. do głównego dworca kolejowego.

Na początku ulicy, po jej lewej stronie, wyróżniają się gmach dawnego VI Komisariatu Policji (w czasie II wojny siedziba i więzienie NKWD, potem Gestapo, popularnie nazywany „na Łąckiego”; zob. ul. Kopernika), a nieco dalej Szkoła im. św. Marii Magdaleny (niegdyś koedukacyjna, potem, do II wojny żeńska). Prawa strona zabudowana jest szeregiem ważnych dla miasta obiektów: barokowy kościół św. Marii Magdaleny założony w r. 1600 (wraz z klasztorem dominikańskim – zob. ul. Sykstuska). Po kasacie w r. 1784 kościół zamieniono na parafialny. W okresie drugiej okupacji sowieckiej (po 1944 r.) został odebrany i zamieniony na salę koncertową, którą to funkcję pełni do dziś, a ostatnio jest udostępniany dla funkcji religijnej. Następnym monumentalnym obiektem przy ul. S. jest gmach Politechniki, wzniesiony w latach 1870. Koniec ulicy, u zbiegu z ul. Gródecką, akcentuje kościół św. Elżbiety (zamieniony ostatnio na cerkiew prawosławną). Przeciwna strona ul. S. zabudowana jest kamienicami.

Sykstuska biegnie od Wałów Hetmańskich (ul. Legionów) do wzgórza z dominującym tu kościołem św. Marii Magdaleny przy ul. Leona Sapiehy (zob.). Nazwa pochodzi od wybitnego lekarza z XVII w. Erazma Syksta, który miał w tym rejonie swój folwark (do r. 1871 była to droga Sykstowa lub Sykstówki). Ulica jest ściśle zabudowana i dzieli się na dwa różnicowane odcinki: dolny, do Poczty Gł.

stającej pod zaborami Polsce, a więc takich jak słynna lwowska „Pogoń” czy „Cracovia” i „Wisła”. Przybrała też nazwę od godła założycieli miasta – Potockich. „Rewera” była jednym z siedmiu klubów, które w 1920 roku, wraz z „Pogonią”, zorganizowały okręgową strukturę Polskiego Związku Piłki Nożnej we Lwowie i cały system rozgrywek, a więc od samych początków niepodległości niezwykle czynnie włączyła się w rozwój sportu. I oczywiście prowadziła różne sekcje sportowe, między innymi lekkoatletyczną, tenisową, strzelecką, siatkówkę.

„Górka” też posiadała różne sekcje sportowe, między innymi coraz modniejszej koszykówki, która szybko przywędrowała do nas z Ameryki, ale w tym klubie liczyła się przede wszystkim piłka nożna. Boisko „Górki” przy zbiegu ulic Kniaziewiczza i Kasprówki, w pobliżu budowanego wówczas kościoła Chrystusa Króla, było skromne, zaledwie z dwoma – trzema rzędami ławek po jednej stronie i dużą altaną pośrodku. „Rewera” posiadała natomiast przyzwoity, ogrodzony parkanem obiekt, na owe czasy prawie stadion z trybuną, przy ulicy Gołuchowskiego, za parkiem Romaszkana. O ile jednak na stadionie „Rewery” odbywały się tylko treningi należących do klubu piłkarzy, o tyle boisko „Górki” od rana do zmierzchu tętniło życiem. Zawsze pełne było okolicznych chłopaków oraz wagarowiczów. Grano po pierwsze – na bosaka, po drugie – nie wzdłuż, lecz wszerz boiska, bo wtedy naraz mogły się odbywać dwa mecze obok siebie, od 6 na 6 do 9 na 9, w zależności od tego, ilu się chętnych zebrało. A bramki wytyczano kupkami zrzuconych butów i czapek. Bywało, że dla niektórych pasjonatów futbolu kopanie piłki na „Górce” kończyło się poważnymi stratami, jak choćby

dla mojego przyjaciela Tadzia Siemka, który nieopatrznie pod swoją czapkę na bramce zostawił zegarek i po meczu oczywiście już go nie znalazł! Zegarek na rękę u chłopaka to wtedy było ho! ho!, ale też „Górka” nie bez kozery słynęła batiarzami.

„Rewera” przez lata była lepsza od „Górki” i od 1920 aż do 1935 roku nieprzerwanie 16 razy zdobywała mistrzostwo Stanisławowa. Jej sukcesy przerwała w 1936 roku „Pogoń” ze Stryja, które to miasto miało ogromne, nie tylko sportowe, kompleksy wobec Stanisławowa. „Rewera” wróciła na tron, ale po dwóch latach stał się cud i w 1938 roku „Górka” po raz pierwszy została mistrzem. I powtórzyła sukces w następnym, ostatnim przed wybuchem wojny roku. Zapracentowały wreszcie uganiające się po boisku „Górki” tłumy utalentowanych dzieciaków. Głównym autorem sukcesu był wszakże znakomity bramkarz „Górki” – Stanisław Kantor. To był ktoś, komu w Stanisławowie każdy się kłaniał. Chciała go nawet skaperować odgrywająca czołową rolę w polskiej piłce nożnej lwowska „Pogoń”, ale Kantor wolał swoją „Górkę” niż wielką karierę.

Ani „Rewera”, ani „Górka”, ani stryjska „Pogoń” nie wywalczyły niestety awansu do I ligi i brak reprezentanta województwa w ekstraklasie urągał ambicjom województwa i był powodem wielu zgrzytów. Pocięciem natomiast stały się wprowadzone w 1936 roku rozgrywki o Puchar Prezydenta RP. Uczestniczyły w nich reprezentacje miast wojewódzkich. I wtedy okazało się, że Stanisławów jest lepszy od takiej potęgi jak Lwów! Aż trzy razy Lwów trafiał w tych rozgrywkach na Stanisławów i zawsze przegrywał. Niesamowite wręcz, że upalnym latem 1939 roku złożona głównie z piłkarzy „Górki”

i „Rewery” reprezentacja Stanisławowa pokonała kolejno Lublin 3:1, Lwów aż 5:2, Wilno 1:0 !!! A bohaterem tych meczów był bramkarz Kantor. Do finału z Poznaniem, który 11 listopada miał odbyć się w Warszawie, niestety już nie doszło! Ale i tak był to największy sportowy sukces Stanisławowa w okresie II RP.

W czasach międzywojennego dwudziestolecia Stanisławów nie doczekał się swe-



go piłkarza w reprezentacji Polski. Stało się to dopiero po 1945 roku. Rodowity stanisławowiak Kazimierz Trampisz od 1949 do 1958 roku jedenaście razy wystąpił w reprezentacji Polski i strzelił dla naszych barw 4 bramki. A wszystko to za sprawą Kantora. Bo Kazik Trampisz był jego siostrzeńcem i dzięki swemu wujkowi chodził na wszystkie mecze „Górki”.

– Wystarczyło powiedzieć, że pan Kantor jest moim wujkiem, i już byłem wpuszczany na mecz bez biletu – wspomina Kazimierz Trampisz, który mieszkał na Górcze przy ulicy Wiejskiej 7, niedaleko boiska. – Czasem nawet wujek przywoził mnie przed meczem na boisko na ramie roweru i czułem się wtedy niesłychanie ważny. Zwłaszcza, że sadył mnie tuż za bramką, abym dobrze widział, jak bronі. Nic więc dziwnego, że i ja chciałem zostać takim sławnym piłkarzem jak mój wujek i całymi dniami kopałem piłkę z chłopakami Stanisława Kantora. Zaraz po wkroczeniu sowietów we wrześniu 1939 r. został aresztowany przez NKWD. A stało się to po przeprowadzonej u Kantora rewizji, w trakcie której znaleziono broń. Był to pistolet, jaki Kantor otrzymał w zamian za rower oddany przypadkowo spotkanemu znajomemu oficerowi, który chciał szybko przedostać się pod koniec września na Węgry, bo już był ścigany. Rewizję przeprowadzano wtedy u wszystkich mundurowych, a Kantor pracował na poczcie. Po aresztowaniu skazano go na gułag i wywieziono na Sybir. Udało mu się stamtąd przedostać do armii generała Andersa. Zginął pod Monte Cassino.

Przez półtora miesiąca Trampiszowie jechali kolejowym transportem PUR-u, czyli Polskiego Urzędu Repatriacyjnego, przez całą Polskę i dotarli aż do Bydgoszczy. A stamtąd w odwrotnym kierunku do Bytomia, bo dowiedzieli się, że w tym mieście nie tylko gromadzą się stanisławowiacy oraz lwowiacy, ale również ściągają piłkarze z Kresów. I rzeczywiście całe grono lwowskich futbolistów z Ryszardem Koncewiczem na czele założyło w Bytomiu klub sportowy „Polonia”. I do tego klubu, naprzód do juniorów, a potem błyskawicznie do pierwszej drużyny trafił Kazimierz Trampisz. I wraz z Leszkiem Buczmą stał się jej silnym punktem. „Polonia” Bytom z Trampiszem i Buczmą dwukrotnie w latach 1954 i 1962 zdobyła mistrzostwo Polski, pięciokrotnie zaś wicemistrzostwo.

– płaski, z linią tramwajową; górny – wznoszący się ostro aż do kościoła i związanych z nim zabudowań dawnego klasztoru dominikanów, zamienionego przez zaborców na więzienie dla kobiet. Obok budynek Biblioteki Baworowskich, dawniej pałac tej rodziny, wcześniejsze zabudowania przy nieistniejącym pałacu ks. Czartoryskich. Po drugiej stronie ul. S. pałac Cieńskich.

Zyblikiewicza, jest jedną z tych, które wybiegają ze skrzyżowania trzech ważnych ulic miasta: Piłsudskiego, Zielonej i Z. Na drugim końcu ulica Z. dochodzi do pl. Prusa, przez który ma powiązanie z ul. Stryjską, a z nią dawniej tworzyła wspólną arterię, nosząc do r. 1886 również nazwę Stryjskiej. Nowym patronem ulicy stał się wtedy Mikołaj Zyblikiewicz, marszałek krajowy, a wcześniej prezydent Krakowa (rodem ze Starego Sambora).

Ulica Z. była ważnym ogniwem w ciągu ulic i linii tramwajowych, otaczających śródmieście Lwowa od wsch. i pd.: Czarnieckiego – pl. Clowy – Piłsudskiego – Zyblikiewicza – pl. Prusa – Pelczyńska, z licznymi przecznicami, łączącymi z dzielnicami po tych stronach oraz wylotami z miasta.

Tak się też złożyło, że sukcesy „Polonii” Bytom i Trampisza bardzo starannie opisywano na łamach katowickiego „Sportu”, którego naczelnym redaktorem był Tadeusz Bagier. Też ze Stanisławowa! Był synem profesora Seminarium Nauczycielskiego i Szkoły Cwiczeń Władysława Bagiera, zamordowanego przez Niemców w Czarnym Lesie wraz z trzystoma nauczycielami i przedstawicielami polskiej inteligencji. Tadeusz Bagier zdał maturę w 1937 roku w gimnazjum im. Piłsudskiego, grał w piłkę nożną w „Rewery”. Jako dziennikarz zdążył jeszcze zadebiutować w Stanisławowie, w wydawanej tam po wejściu sowietów gazecie „Prkarpackaja Ukraina”, ale z rodziną już w maju 1945 roku znalazł się w Katowicach i został redaktorem naczelnym miejscowego „Sportu”. Szybko też ze skromnego, lokalnego pisma stworzył ogólnopolski, opiniotwórczy dziennik sportowy o najwyższym nakładzie w kraju! A pomagał mu w tym drugi stanisławowianin, też sportowy dziennikarz pełną gębą, Zbigniew Dobrowolny. On z kolei jeszcze jako uczeń I gimnazjum im. Romonowskiego pisał sprawozdania z meczów „Górki” i „Rewery” do wychodzących w Stanisławowie „Wiadomości Sportowych”, a po maturze został redaktorem tego pisma. I nie

krył swojej sympatii raczej do „Górki”, o czym zdażył mi swego czasu nieco opowiedzieć. Ba, w niejednej sentymentalnej rozmowie o stanisławowskich czasach redaktor Dobrowolny twierdził, iż gdyby nie wojna, to właśnie „Górka”, a nie „Rewera” awansowałyby do ekstraklasy, bo miała mnóstwo utalentowanej młodzieży. Batiarskiej, a ta najlepiej grała w nogę. Dobrowolny wziął udział w kampanii wrześniowej, 6 lat spędził w stalagach niemieckiej niewoli. A kiedy wrócił do kraju w 1947 roku, Bagier ściągnął go do swojej redakcji i mianował zastępcą redaktora naczelnego. Był cenionym specjalistą lekkiej atletyki. Bagier razem z Dobrowolnym kierowali katowickim „Sportem” do 1969 roku, a więc przez blisko ćwierć

wieku, co było jak na owe czasy nie tylko w Polsce wyjątkowym rekordem! Napisał też Dobrowolny krótką historię *stanisławowskich bojów* opublikowaną na łamach *Encyklopedii Fuji*.

Tak więc „Górka” i „Rewera” zaznaczyły w pewnej mierze swoją obecność we współczesnym polskim sporcie. A wręcz przepięknym akcentem stało się zaproszenie Kazimierza Trampisza w październiku 2009 roku do Lwowa, aby z okazji pierwszego meczu odrodzonej dzięki tamtejszej mniejszości polskiej „Pogoni” dokonał inauguracyjnego kopnięcia piłki. Jakże inaczej, skoro było to spotkanie z „Polonią” Bytom. Grę „Pogoni” wszakże wznowił nie kto inny jednak, a rodowity stanisławowiak!

Maria Mokrzcowa

Wspominam mego wuja, ppłk. Ludwika Iwaszkę

Załączone zdjęcie zostało zrobione 31 października 2007 roku podczas obchodów kolejnej rocznicy wyzwolenia Krakowa spod zaboru austriackiego. Uroczystości z tej okazji odbywają się corocznie w Ryнку Głównym w Krakowie.

Gościem szczególnym na ówczesnych uroczystościach był Ojciec Adam Studziński, dominikanin, kapelan w II Korpusie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Miałam to szczęście, że podczas uroczystości sfotografowano mnie razem z nim; staliśmy obok siebie koło trybuny.



O. Adam Studziński. Obok autorka wspomnienia

Uczestniczyłam w tych rocznicowych obchodach z tej racji, że mój wuj, ppłk. Ludwik Iwaszko, lwowianin, wówczas porucznik austriacki, stał na czele tego ruchu wyzwolenieckiego. Za pomoc w 1918 r. Czesi dali mu do dyspozycji pociąg, którym przywiózł Polaków z austriackiego wojska do Krakowa i stacjonował w koszarach przy ul. Wielickiej. Porozumiał się też z dezertarami z Puszczy Niepołomickiej i namówił ich do pomocy przy wyzwoleniu miasta. Wieczorem 30 października 1918 r. spotkał się w Jamie Michalika z kilkoma uczestnikami Komisji Likwidacyjnej, która już dłuższy czas obradowała z Austriakami na temat opuszczenia przez nich Krakowa. Austriacy odwiekali ten moment, bo czuli się mocni w „swojej” wielkiej twierdzy, jaką był Kraków, z 12 tysiącami żołnierzy; poza tym chcieli wywieźć jak najwięcej żywności, broni i amunicji. Na spotkaniu w Jamie Michalika, w którym uczestniczyli młodzi oficerowie polscy, przedstawiciele Komisji Likwidacyjnej wybrali na głównego dowodzącego porucznika Ludwika Iwaszkę „czynem zbrojnym” w dniu 30 października.

W późnych godzinach wieczornych zamknięto wszystkie wejścia na mosty, a o 6 rano wojsko, pobłogosławione przez ks. Meusa, z wujem na czele ruszyło ul. Starowiślną na Kraków. Żołnierze do swoich czapek przypięli białoczerwone kokardki, które całą

noc w willi państwa Wiztackich robiły panie patriotki, m.in. siostry Bujwidówny. Do dużego oddziału wojska dołączyła ludność cywilna i bardzo dużo młodzieży. Nasze oddziały opanowały Kraków. Z gmachów publicznych żołnierze ścigali wszystkie odznaki zaborców i uwolnili więźniów politycznych. Przemaszerowali pod Pomnik Grunwaldzki, gdzie do tłumów przemówił porucznik Ludwik Iwaszko, a potem udali się pod ratusz do odwachu.

Jakiś starszy pan przyniósł sztandar Polski i ofiarował go w imieniu Towarzystwa „Gwiazdy”. Orkiestra kolejowa grała hymn narodowy, a ludzie śpiewali patriotyczne pieśni. Po godzinie 14 przed gmach zajechał generał Benigni, były komendant Twierdzy Kraków. Stanął na baczność przed sztandarem, oddał mu honory wojskowe i uścisnął dłoń porucznika Zajączkowskiego – pierwszego komendanta warty polskiej, a także

dłoń porucznika Iwaszki, głównodowodzącego czynu zbrojnego, i odjechał.

Porucznik Ludwik Iwaszko wkrótce wyjechał do Lwowa, miasta, w którym się urodził, i zaraz potem wziął czynny udział w jego obronie. Został mianowany dowódcą pociągu pancernego, który stał na trasie Lwów–Przemyśl, aby odgrodzić Ukraińców od tej ważnej drogi.

W dwudziestolecie Polski porucznik Ludwik Iwaszko awansował do stopnia podpułkownika wojsk polskich. Był m.in. komendantem Twierdzy Biedrońsk. W czasie wojny był na Węgrzech, gdzie pracował przy przerzuceniu polskich wojskowych na zachód. Później został wzięty przez Niemców do niewoli.

Mój wuj, porucznik Ludwik Iwaszko, skończył szkołę artylerii w Pradze, wcześniej studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Odznaczał się niezwykłą charyzmą i miał zdolności przywódcze.

Stare zdjęcia otrzymane przed laty od o. Fidelisa Kędzierskiego, bernardyna lwowskiego, po II wojnie światowej osiadłego w klasztorze krakowskim pod Wawelem.



1. W katedrze wawelskiej (lata 1950.?): ks. arcybiskup Eugeniusz Baziak błogosławi o. Fidelisa. Po prawej siedzi młody ksiądz Marian Jaworski, po latach lwowski kardynał.

2. W katedrze lwowskiej: ks. jubilat Karol Jastrzębski w 50-lecie swego kapłaństwa (1956).

Andrzej Chciuk

Lwowiaczy

Marianowi Hemarowi

...Nielwowski świat tak dziwny jest
i zawarł w sobie tyle skaz –
lecz byle list, wspomnienie, gest
przywróci czas, co dawno zgasł.

Ot, byle co lub byle kto
i z byle zdarzeń, spraw i słów
jak słońce skryte poza mgłą
wyskoczy nagle ku nam Lwów.

Bo w sercu wciąż on jednak tkwi:
miernik jedyny spraw i klucz –
zza lat, zza życia gęstej mgłą
śni on się nam po nocach: wróć...

Poprzez obcości śniedz i czad,
przez tyle miast spod obcych gwiazd
nie skusił nas, nie uwiódł świat
na inny urok, sens i blask.

Inni się śmieją może z nas,
z wszechobecności lwowskich chwil,
że my tak ciągle: tamten czas,
że my tak ciągle: tamten styl.

Że my niesiemy i wciąż nieść
mimo tysięcy mil i zmian
będziemy znak ten i tę pieśń
– my lwowian wszechświatowy klan.

Taka jest magia lwowskiej krwi,
takie jest prawo serc i snów:
że póki życia wciąż w nas tkwi
miłością oraz kłątą Lwów...

Z tomu „Serce wydarte z polskiej piersi”,
Warszawa 1993

Mirosław Żuławski

DALEKO I WYSOKO

Ktoś, kto opisuje swoje życie, zaczyna zwykle od wspomnień z dzieciństwa, a potem zgodnie z chronologią brnie dalej, poprzez młodość do wieku dojrzałego i dalej aż do czasu, w którym spisuje swe dzieje, najchętniej doszedłby do opisu własnego zejścia, ale to się jeszcze nikomu nie udało i pewnie już nie uda. A mnie się zawsze wydawało, że zgodnie z logiką, choć nie z kalendarzem, byłoby sięganie od chwili dzisiejszej wstecz, opisywanie najpierw czasów najbliższych, a później dopiero wcześniejszych, i tak do młodości, a potem do dzieciństwa, tak że pierwsze wspomnienia znalazłyby się na ostatniej stronie, a nie – jak to zwykle bywa – na pierwszej.

Gdybym kiedykolwiek zdecydował się na pisanie własnej biografii i naprawdę do tego się zabrał, postąpiłbym właśnie w ten, a nie inny sposób. Uważam bowiem, że choć nie jest to zgodne z metodą pisania i uczenia historii, zgadza się z naszym wewnętrznym poczuciem następstw czasu, które ustawia wszystko w odniesieniu do dnia dzisiejszego, a nie odwrotnie. Książka o czyimś życiu może kończyć się tym, że wtedy to a wtedy dobiegło ono kresu, o życiu własnym winna skończyć się tym, żem wtedy a wtedy się urodził.

Jest jeszcze drugi sposób, który nie-
zwykle sobie cenię: rodzaj taszczymu. Tak
jak taszczym w malarstwie, polega on na roz-
siewaniu małych lub dużych plamek i plam,
z których w końcu wyłania się jakiś obraz.
Można wtedy powiedzieć wszystko, co się
ma o sobie do powiedzenia, rozrzucając
zdarzenia, epizody i przeżycia bez składu,
ładu i chronologii po wszystkim, co się kie-
dykolwiek napisało, pisze i pisać będzie,
i każdy, komu tylko zechce się to wszystko
przeczytać, będzie miał w rezultacie obraz

całości. Wymaga to jednak od czytelnika nadludzkiej wrażliwości, więc nikt tak nie postępuje, szkoda, bo być może jest to najlepsze ze wszystkiego, co na ten temat można wymyślić.

Takem sobie dumał, bo czas mnie goni, a wszyscy dookoła uważają, że powinienem wreszcie zdać jakieś sprawozdanie. Tylko, że ja nie cierpię sprawozdań i nigdy ich nie znosiłem. Na szczęście przyszła bratowa i uwolniła mnie od tego dumania, przynajmniej na jakiś czas.

Bratowa studiowała za młodu sztuki pięknej i przed samą wojną brała udział w inwentaryzacji zabytków i rzemiosła artystycznego na Huculszczyźnie, więc pomyślałem, że będzie mogła orzec autorytatywnie, czy ocalały z rodzinnego domu żony wazon jest jugosłowiański, jak chciała domowa legenda, czy też huculski, jak mi się wydawało. Bratowa przychyliła się do mojego zdania, a po drodze pochwaliła liźnyk na moim tapczanie.

– A wiesz, jak Huculi uzyskiwali tę puszystość i gęstość? Utkaną wełnę owczą umieszczali na pół roku pod wodospadem młynówki, aż się zupełnie sfilcowiała. A widziałeś ich zamki z drewna do grażd, wykonane bez jednego gwoźdźca, bez skrawka metalu? Tego podhalańscy górale nie umieli!

Bratowa już dawno zabrała się i poszła, a ja ciągle siedziałem dalej na tej huculskiej połoninie.

Są wspomnienia, od których niełatwo się opędzić. Jeszcze podczas studiów odbyłem z bratem i przyjacielem dwie całomiesięczne wyprawy w Karpaty Wschodnie, pierwszą przez Arszyce, Wysoką, Sywulę w Gorganach, a dalej granią Czarnohory w dolinę Czeremoszu – drugą też przez Gorgany, ale Grofą, Busztulem, Świdowcem, Doboszaneką, a potem już na Howerlę i Popa Iwana, i znowu w głęboką dolinę Czarnego Czeremoszu do Burkutu, nad którym odkryliśmy Połoniny Hryniawskie, gdzie spędzaliśmy potem z żoną trzykrotnie lato – ostatni raz przed wybuchem wojny. Była to za każdym razem prawdziwa wyprawa, bo od najdalszej stacji kolejowej szło się jeszcze górami przez dwa dni do schroniska w Burkucie, a stamtąd jeszcze zygzakowatą ścieżką przez pralasy na połoninę leżącą o osiemset metrów powyżej, ale warto było, bo z progów koliby

widziało się ogromny świat górski. W dole srebrzysty przełom Czeremoszu wśród czarnych lasów, naprzeciwko urwiste wierchy Karpat Marmaroskich, z prawej wschodnie granie Czarnohory, z lewej wysokie stoki Czywczyna, a w dali, na południu, szczyty Karpat Rodniańskich. Wieczorami i rankami chmury słały się poniżej w dolinach i wówczas wydawało się, że połonina płynie jak okręt po morzu usianym wyspami.

Kolibę wynajmowaliśmy u starego gazdy Atanazego Hryzdaka, miał on młodzieńką żonę Warwarkę i choć posiadał w Żabiem piękną grażdę, nie schodził nigdy z połoniny, nawet w najsroźszą zimę. Nie sposób go było zawiadomić, kiedy przyjedziemy, ale za każdym razem, jak wspinaliśmy się z początkiem lata na połoninę, gazda oczekiwał nas w odświętnych czerwonych spodniach, świeżej koszuli i z wysmarowanymi masłem, starannie przyczesanymi włosami. Kiedy jednego roku nie przyjechaliśmy, nie oczekiwał nas, nie wdział czerwonych spodni ani świeżej koszuli. Jak Warwarka chciała przygotować izbę dla nas, to tylko patrzyła, czy już się przyodział, usiadł na przyzbie i spogląda na połaj, dopóki na nim nas nie dojrzy.

Nasza połonina nazywała się Łukawica. Nieco dalej wznosiły się Szekierówka i najwyższa i najrozleglejsza Michajłowa. Tam, u skraju lasu, żeby było blisko po drzewo na ogień, były rozsiane staje pasterskie, w których zaopatrywaliśmy się w owczy ser, masło i mleko. Z buncu wyrabialiśmy sami znakomitą bryndzę. Warwarka nauczyła nas, jak z mąki kukurydzianej i słodkiej śmietany przyrządzać pyszną kuleszę: w kolibie była

Połonina Łabieska.
Fot. Kacper Gierlach, 2003





nalepa, na niej żelazny trójnog na garnki, dym szedł prosto pod dach, bo chata była kurna. Kiedy wiał wiatr, dym cofał się i gryził w oczy. W kolibie gazdów stała u wejścia beczka pełna zentycy, chłodnej i kwaśnej. Mięsa nie jadaliśmy w ogóle, chyba że ktoś przyniósł kawałek skłusowanej sarniny. Myliśmy się w wydrążonym ze smrekowego pnia korycie, do którego spływała woda ze

źródłka i nagrzewała się w słońcu. Byliśmy bardzo szczęśliwi i z rozpaczą myśleliśmy o chwili, kiedy przyjdzie stąd zejść w dół.

Któregoś lata czekaliśmy o dwa dni za długo w Worochcie na spóźnionego towarzysza i nieszczęśliwym trafem odkryliśmy żydowski sklepik, w którym sprzedawano wyborne lody pistacjowe. Ach, cóż to były za lody! Po dziś dzień zresztą lody pistacjowe to moje ulubione. Chodziliśmy po parę razy dziennie na te lody, tak że przejedliśmy masę pieniędzy i zabrakło nam ich nieco na połoninie, zaczął się chlebuś bez masła, bez wurdę, bez buncu, ledwie starczyło na kukurydziankę i mleko. Aliści dnia pewnego Warwarka przydybała moją żonę na stawianiu pasjansa i zaciekawiła się, co ona takiego robi. – Wróżę sobie – powiedziała moja żona, bo nie wiedziała jak jej wytłumaczyć co właściwie robi. Warwarka patrzyła jak urzeczona. Minęło jeszcze parę dni o chlebie i mleku, aż tu pewnego ranka, o bladym świecie, gdzieś koło czwartej nad ranem budzi mnie jakieś dziwne uczucie: otwieram oczy i widzę kolibę pełną siedzących pod ścianą ludzi – w kiptarach i zapaskach, z kierpcami na nogach, z zawiniątkami między stopami. Święty Józefie, patronie rodziny, co tu się dzieje! Ano to, że rozniosło się po połoninach i dolinach, że tu na górze duże ciekawą panią wróży z kart, więc przyszli po wróżbę. Zaczęli wyjmować z zawiniątek a to osetkę masła, a to garnek śmietany, a to łubiankę leśnych poziomek, a to płótniankę pełną żółciutkiego buncu. Dla mojej żony skończyły się wakacje, wysypianie się aż do oporu: już do końca naszego połonińskiego lata budzona o świecie stawiała kabałę za kabałą, wysyłając dzieci do lekarza, kobiety do szpitala, odradzając głupie pomysły i zamiary. Ale za to opływali-

choć od czasu do czasu skóra mi cierpła na plecach ze strachu, bo przecież moja żona nie miała pojęcia o wróżeniu z kart. Kiedy jej to powiedziałem, spojrzała na mnie z pełną wyższości pewnością siebie i rzekła: – A cóż ty możesz o tym wiedzieć...

Prawda, wszystkie kobiety to po trosze czarownice. Któregoś dnia odkryliśmy na Szekierówce w zawalonym okopie z pierwszej wojny całą masę niewystrzelonych naboju karabinowych. Wysypywaliśmy z nich proch strzelniczy do pudełka po papierosach, a łusek i pocisków używaliśmy do robienia strzał do łuku. Ten proch moja żona postawiła na belce pod dachem i tak został, kiedy odjechaliśmy. Ale gdy zjawiliśmy się znów po roku, uderzyła nas tajemnicza mina gazdy. Nagabywany, wreszcie wyjawiał, o co chodzi. Pełno tam było kłusowników, więc zrobiono rewizję po kolibach i w naszej nalezionej ten proch w pudełku. Gazda poszedł siedzieć w Kołomyi. – Ale ja nie zdradziłem jejmostki lubej – powiedział z dumą. – Gazdo, a jak wam tam było? – zapytała zatroskana. – Duże menia tam poważyley... – odparł z powagą.

Może nadejdą czasy, kiedy znowu będzie można pojechać w tamte strony, zejść w dolinę Czeremoszu i wspiąć się na połoniny.

Ale to już dla mnie za daleko i za wysoko.

Fragment listu pasterskiego metropolity Szeptyckiego do duchowieństwa i wiernych (1943)

... Byliśmy świadkami nawet strasznych morderstw dokonanych przez młodych ludzi, może nawet w dobrych zamiarach (podkr. red.), ale ze zgubnymi następstwami dla narodu. Widzieliśmy nieraz ludzi, którzy przekazywali naszej młodzieży nakazy naszych narodowych przewodników i nakazywali dla dobra sprawy kogoś zabić...

... Jesteście ich ojcami – w ważnych chwilach naszej historii strzeżcie waszych synów przed następstwem, jakie mogłoby na całą wieś ściągnąć nieszczęście...

„ARKA” 16/1986

SIOSTRY DOMINIKANKI s. Mateusza Trynda OP NA RZECZ KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO ZA KORDONEM*

1. DLACZEGO UKRAINA

Zgromadzenie Sióstr Dominikanek od początku swojego powstania tj. od połowy XIX wieku, jest związane z Kościołem na Kresach Południowo-Wschodnich. W diecezji lwowskiej przyszła na świat założycielka Zgromadzenia Sługa Boża m. Kolumba Białecka. Ze Lwowem była związana jej droga powołania. Ówczesne wezwania stojące przed lwowskim Kościołem ukształtowały cel założonego przez nią Zgromadzenia. Widziała zaniedbany lud galicyjski zarówno na wioskach, jak i w samym Lwowie. Sama była doświadczona ciężką chorobą w dzieciństwie i długo opiekowała się chorym ojcem. Utworzyła się w niej szczególna wrażliwość na chorych, cierpiących w osamotnieniu po domach i odchodzących z tego świata często w zapomnieniu, bez sakramentów. Głównym celem Zgromadzenia jest praca wśród zaniedbanych warstw ludności, głoszenie im Królestwa Bożego i podnoszenie oświaty oraz opieka nad chorymi w ich domach. Sama założycielka zrealizowała ten cel w heroicznym stopniu.



M. Kolumba
Białecka

Pierwszy dom Zgromadzenia powstał w Galicji, w Wielowsi (dzisiaj dzielnica Tarnobrzega).

- Kolejno powstawały domy:
- Rawa Ruska, 1888 r. – gimnazjum żeńskie i katechizacja,
 - Żurów, 1889 – praca parafialna,
 - Tarnopol, 1907 – zakład dla sierot i internat,
 - Złoczów, 1911 – przedszkole, internat, praca parafialna i katechizacja,
 - Lwów, 1925 – internat,
 - Annopola, 1929 – ochronka, katechizacja, praca parafialna,
 - Chodorów, 1932 – przedszkole, Stowarzyszenie Katolickie, kuchnia dla biednych, praca parafialna,

- Dzibułki, 1936 – ochronka, kursy robót ręcznych, praca parafialna.

Do wybuchu II wojny światowej na terenach obecnie ukraińskich pracowała ok. 1/3 Zgromadzenia. Wszystkie wyżej wymienione domy zostały zamknięte na skutek terroru komunistycznego i zmiany granic Polski.

2. ŻÓŁKIEW

Po *pieriestrojce* Zgromadzenie odpowiedziało na potrzeby tamtejszego Kościoła i wysłało w 1994 r. dwie siostry, które na prośbę ówczesnego metropolity lwowskiego ks. arcybiskupa Mariana Jaworskiego skierowano do parafii św. Wawrzyńca w Żółkwi (ok. 14 000 mieszkańców). Rozpoczęły tu pracę: s. Agata Talarczyk i s. Pawła Cygan. Następnie pracowały na tej placówce s. Wiesława Łukasik, s. Mateusza Trynda, s. Marcelina Mańka, s. Józefa Dmytriv i s. Marzena Baran.

Siostry katechizują dzieci i dorosłych w parafiach w Żółkwi i Starej Skwarzawie (od 1994 r.), Rawie Ruskiej (1994–1998 r.), Potyliczu (1994/1995 r.), w Mieżyriczu, Czerwonogrodzie (Krystynopolu) i w Wielkich Mostach (1994–1999 r.) oraz w Kulikowie (od 2001 r.). Co roku przygotowują dzieci do I Komunii św., dorosłych do sakramentu ślubu i do spowiedzi. Chorzy, szczególnie opuszczeni, są odwiedzani w swych domach. W miarę możliwości organizuje się im uczestnictwo w Eucharystii, spowiedź i komunię św.

Dominikański charyzmat jest na wskroś maryjny. Z inicjatywy s. Wiesławy Łukasik powróciła do swojego miasta Matka Boża Żółkiewska w cudownej ikonie (kopii) słynącej łaskami już w czasach potopu szwedzkiego, a od 1946 r. będącej w Warszawie na Służewiu. Siostry są kustoszami ikony, zaprowadziły w parafii nieustającą nowennę do Pani Żółkiewskiej. Założyły i opiekują się siedmioma Różami Różańcowymi, organizują zmiany tajemnic różańcowych, katechezy maryjne i spotkania okolicznościowe dla członków róż.

Jedenasty rok działa sobotnio-niedzielna Szkółka Języka Polskiego przy klasztorze.

rze siostr w Żółkwi. Nauczanie odbywa się w trzech punktach (Żółkiew, Stara Skwarzawa i Kulików). Szkoła ma siedzibę w małym budynku na terenie klasztoru. Od 1998 r. dyrektorem jest s. Marcelina Mańka OP. Z przyczyn obiektywnych szkoła jest organizacją nieformalną. W roku szkolnym 2004/2005 uczęszczało do niej 160 uczniów, a w obecnym roku uczy się 140 dzieci z całego powiatu. W programie szkółki jest nauczanie języka polskiego z elementami historii i kultury polskiej i katecheza.

Każdego roku organizujemy letni odpoczynek dla uczniów szkoły. Wyjeżdżają na rekolekcje oazowe we wschodnie Karpaty i na zorganizowany odpoczynek do Polski. W tym roku 90 dzieci skorzystało z kolonii „Caritas” Diecezji Sandomierskiej. Od pięciu lat podczas wakacji klasztor organizuje półkolonie dla dzieci pozostających w mieście. Zajęcia trwają trzy tygodnie od godz. 10.00 do 15.30. W programie codziennie jest katecheza, zajęcia w języku polskim z historii i geografii Polski, zajęcia w języku angielskim, gry i zabawy zręcznościowe, basen ogrodowy. Liczba uczestników półkolonii wzrasta – w bieżącym roku było 130 osób. Dzieci z rodzin katolickich wieczorem uczestniczą w mszy świętej w parafialnym kościele. Uczestniczy w niej ok. 50 dzieci.

Od pierwszych dni pobytu siostr w Żółkwi nieprzerwanie działa przy klasztorze Punkt Pomocy Humanitarnej. Potrzebujące, ubodzy, samotni i rodziny wielodzietne otrzymują materialną pomoc – odzież i żywność. W ciągu jedenastu lat wydano kilkaset ton ubrań, obuwia, pościeli, koców i żywności. Rocznie rozdziela się kilkanaście ton pomocy.

Od paru lat siostry koordynują leczenie dzieci chorych na gruźlicę i inne przewlekłe choroby.

W klasztorze co roku zatrzymują się studenci ASP. Młodzi konserwatorzy odbywają w kolegiacie żółkiewskiej praktyki studenckie i od szesnastu lat przywracają świetność tej perle polskiego renesansu. Pod dachem siostr znajdują przystań także pielgrzymi odwiedzający ziemie swoich ojców.

3. CZORTKÓW

W 1995 r. na zaproszenie Ojców Dominikanów Zgromadzenie podjęło prace

w Czortkowie (ok. 40 000 mieszkańców) na Podolu, diecezja lwowska. Na tych terenach Zgromadzenie rozpoczęło współpracę z ks. Marcjanem Trofimiakiem (obecnie ks. biskup ordynariusz diecezji łuckiej) w 1990 r. Do pracy katechetycznej na okres wakacji pojechały: s. Agata Talarczyk do Rydodub, s. Florentyna Niewczas i s. Natanaela Kwiatkowska do Borszczowa oraz s. Estera Markowska. Podczas wakacji 1991, 1992 i 1993 r. w Rydodubach, Czortkowie, Jagielnicy i Kopyczyńcach katechizowały siostry: Agata Talarczyk, Florentyna Niewczas, Urszula Michalik, Czesława Toczek.

Od 1991 r. duszpasterstwo parafialne w Czortkowie prowadzą oo. dominikanie. 25 sierpnia 1995 r. na stałe przyjeżdżają siostry dominikanki. Podejmują regularną katechezę w parafiach Czortków i Jagielnica, Kopyczyńce i Chorostków (1996/1997), Tłuste (od 1999 r.), Szypowce (od 2002 r.) i Czarny Las (od 2001 r.). Organizują letni odpoczynek dla dzieci i młodzieży, krajoznawcze rajdy rowerowe po Polsce, rekolekcje młodzieżowe w Polsce i na Ukrainie. Dzieci, które nie mają możliwości wyjazdu na letni odpoczynek, uczęszczają do siostr na półkolonie.

Dominikanki otaczają opieką chorych i samotnych w domach. Odwiedzają ich, przynoszą polską prasę, lekarstwa, żywność, wspólnie modlą się z nimi, przygotowują do sakramentów, czuwają, by cyklicznie sprawować w ich domach Eucharystię. Siostry dochodzą do starszych i chorych w Czortkowie, Przychodach, Czarnym Lesie, Górnej Wygnance, Zawodzkim, Salówce, Jagielnicy, Berdzie, Zielonym, Biłym, Antonówce, Oryszkowcach i Rosochaczu.

Od roku przy klasztorze działa świetlica środowiskowa. Zajęcia odbywają się od poniedziałku do piątku od godziny 14.00 do 17.30. Dzieci mają możliwość odrobienia lekcji, uczestniczenia w zajęciach sportowych, zabawach ruchowych i zajęciach plastyczno-technicznych, mają lekcje śpiewu. Siostry z dziećmi biorą udział w przeglądach piosenek dziecięcych i pieśni religijnych organizowanych przez miasto i inne cerkwie. Dla chętnych odbywają się lekcje języka polskiego. W świetlicy siostry prowadzą zajęcia w języku polskim. Każdego dnia podopieczni otrzymują posiłek. Ze świetlicy korzysta 20 dzieci z klas 1–5.

W klasztorze zbierają się starsi Polacy na wieczory kołędowe w okresie Bożego Narodzenia.

Siostry podejmują prace w parafii: zajmują się wystrojem kościoła, angażują się w przygotowanie odpustów, nocnych czuwań maryjnych, nabożeństw fatimskich, obchodów rocznicowych męczeństwa o. Justyna i współbraci i innych okolicznościowych nabożeństw.

Na placówce w Czortkowie pracowały ponadto siostry: Agnieszka Wiśniowska, Wiesława Łukasik, Wacława, Anastazja Kutnowska. Obecnie posługę pełnią siostry: Gabriela Jaworska (od 2000 r.), s. Juwencja Dziedzic (od 2003 r.), s. Noela Arendowska (od 2004 r.).

4. ŻYCIE KOŚCIOŁA PRZY KLASZTORACH DOMINIKANEK NA KRESACH

Pierwsze odczucia po przekroczeniu granicy polsko-ukraińskiej to zdumienie. Bezpośrednie sąsiedztwo Polski i Ukrainy pogłębia u przyjeżdżających poczucie zaskoczenia i zdziwienia różnicą mentalności i poziomem rozwoju kultury materialnej ich mieszkańców. Siostry przyjeżdżając do pracy na Wschód często nie mogą oprzeć się wrażeniu, że wróciły w czasy swojej młodości, czasy szarego socjalizmu, przygnębienia i kombinatorstwa.

Kościół na Ukrainie zachował się i ocalał skarb wiary dzięki heroicznej postawie kapłanów pozostających na tych ziemiach, działających jawnie czy w tzw. „podpolu” oraz niezłomnym trwaniu przy wierze wielu szlachetnych, starszych parafian, których kościoły zamieniono na spichlerze kołchozowe, magazyny czy zakłady produkcyjne. Przechowali w swych sercach katolicyzm, który był dla nich identyczny z patriotyzmem i poczuciem polskości.

Pierwsze działania sióstr po przyjeździe na Ukrainę to zbieranie w parafiach świadków wiary i wspólne odzyskiwanie i remontowanie świątyń. Nierzadko zdarzały się wzruszające sceny: kobiety całujące mury odzyskanych kościołów, mężczyźni oddający kościołowi krzesła i dywany ze swoich domów, całe wspólnoty spędzające wszystkich wolny czas na pracy w swojej świątyni, wielka ofiarność i atmosfera nadziei, uniesienia i powrotu.

Siostry animowały prace w poszczególnych parafiach i jednocześnie uczyły pod-

stawowych prawd wiary. Przygotowywały do sakramentów, pomagały duszpasterzom w formacji liturgicznej wiernych.

Wolność Kościoła na Kresach dla Polaków mieszkających po tamtej stronie była tożsama z możliwością stopniowego, publicznego przyznania się do swojej narodowości. Dlatego siostry zajęły się nauczaniem języka polskiego, propagują dobrą polską prasę oraz starają się o utrzymywanie żywego kontaktu parafian z ojczyzną.

Pierwsi parafianie to ludzie starsi, dzisiaj w większości już nieżyjący. Oni przyprowadzali do kościoła swoje wnuki. Wielka szkoda, że tylko pojedyncze rodziny w parafiach potrafiły zaszczerpić wiarę średniemu pokoleniu. Gdy starsi nie mają problemu z określeniem własnej tożsamości narodowej (pamiętają czasy polskie), to już ich dzieci uległy *sowietyzacji* i zatraciły poczucie przynależności do narodu. Przez nauczanie języka polskiego wiele rodzin w sposób pośredni dochodzi do pytania o swoje pochodzenie narodowe. W ośrodkach, w których pracują siostry, w czasach radzieckich nie było organizacji pomagających zachować Polakom ich język i kulturę. Ze strachu nie mówiono w domach po polsku i nie przekazywano tradycji rodzinnych. Tylko w nielicznych domach heroiczne matki i ojcowie wychowywali swoje dzieci po polsku i katolicku, dbając o wspólną modlitwę i nawiedzając chociaż raz do roku czynne świątynie. Te rodziny są dzisiaj filarami naszych parafii, są wychowawcami pierwszych kresowych powołań.

Odmienne sytuacja jest w parafiach, gdzie nie ma katolickich rodzin, a są parafianie z rodzin mieszanych. Często wiara ich jest szczątkowa i nie umieją się modlić. Nie mają uformowanego w młodości obrazu Kościoła i próbują przenieść na tę nową dla nich organizację społeczną ukształtowane przez lata modele działania i relacje z organizacją komсомolskiej czy kołchozu. Ci neofici popadają w skrajności zachowań: od sowieckiej „demokracji” w kościele jako organizacji tylko społecznej, aż do negacji ludzkiego wymiaru Kościoła. Siostry organizują, przede wszystkim dla nich, wyjazdy na rekolekcje rodzin do Jarosławia. Świadectwo codziennego życia wierzącej rodziny porusza ich sumienia i zachęca do pracy nad darem wiary.

Następny etap w pracy sióstr na Wschodzie to czas ewangelizacji. W środowiskach,

w których pracują dominikanki, do świątyń wszystkich wyznań chodzi ok. 1/4 mieszkańców. Reszta swoją niewiarę przykrywa prawosławiem lub – w miastach – otwarciem deklaruje ateizm. Siostry organizowały rekolekcje ewangelizacyjne. Gromadzą one ludzi wierzących, którzy rozwijają swoją wiarę. Oczywiście takie rekolekcje przynoszą piękne owoce, ale nie osiągają zamierzonego celu, nie docierają do dusz oziębłych. Zgromadzenie podjęło próbę dotarcia do większej liczby mieszkańców przez prowadzenie nieodpłatnej szkoły języka polskiego, świetlicy środowiskowej i odpoczynku podczas letnich wakacji. Spotkania z rodzicami dzieci pozwalają na stopniowe złamanie stereotypu Kościoła tylko dla Polaków oraz zainteresowanie Słowem Bożym i dogmatami wiary.

Wprowadzanie do Kościoła innych nacji wymaga dużego wyczucia i delikatności wobec Polaków, którzy dla wiary dziesiątki lat cierpieli prześladowanie. Do misyjnej postawy trzeba gruntownie przygotować lokalną wspólnotę, a optymalnym rozwiązaniem jest wprowadzenie liturgii dla każdej grupy narodowościowej. Pomimo takich zachodów nie raz przychodzi siostronom uciszać wzburzenie i rozczarowanie, że kościół nawiedzają ci, których narodowościowo identyfikują ze swoimi oprawcami.

Jedno z największych wyzwań tutejszych Kościołów to wychowywanie do wolności, budzenie sumień i przywracanie ochrzczonej poczucia godności Dzieci Bożych. Lata totalitaryzmu zniszczyły w ludziach zdolność konsekwentnej oceny moralnej czynu. Przez kilkadziesiąt lat nie to było złe, co rzeczywiście jest złe, ale to, co partia zdecydowała, że jest złe. Ten mechanizm przykładowo działał tak: niewierność małżeńską zgłaszała poszkodowana strona partii, a ta rozstrzygała, czy rzeczywiście ta zdrada była niewiernością itp. Pierwotna ocena wartości czynu w sercach ludzkich pozostała prawidłowa: łajdak wydaje się być łajdakiem, a złodziej złodziejem. Nie ma już jednak partii. Nie ma instytucji, która zarządza myśleniem. Wobec tego ukształtowała się postawa, że wszystko jest dobre dla tego, kto jest bezwzględny i silny. A słabi, czyli pozbawieni władzy i środków materialnych, cokolwiek zrobią w swojej obronie, jest złe. Dla nich jest bierność i niesprawiedliwość. Chyba że

kupią sobie przychylność „prawych”. Wielkim wyzwaniem dla sióstr jest nauczanie myślenia opartego na wierze i ogromna modlitwa o dar wiary oświeconej rozumem dla Kościoła Wschodniego.

Radością Kościoła przy domach dominikanek są młode, katolickie rodziny. Młode kobiety i mężczyźni wychowani od dzieciństwa w parafiach, którzy latami korzystali z katechezy, regularnie przystępują do sakramentów, ochrztili dzieci w swoich kościołach i często jeszcze zupełnie zupełnie niemowlęta przynoszą do klasztorów sióstr, by razem z rodzicami słuchały Słowa Bożego, śpiewu i modlitwy.

Siostry w swoich parafiach pełnią także rolę animatorów polskiej kultury i kustoszy polskich pamiątek historycznych. Organizowały we współpracy z Sejmem RP Rok Polski na Ukrainie, Rok Reymontowski i obchody Dni Polskiego Folkloru na Ukrainie. Są laureatkami medalu Sejmu RP Rok 2000 oraz medalu MERITUS PATRIAE 2004 przyznanego przez Fundację Pomoc Polakom na Wschodzie z Warszawy.

Od jedenastu lat razem z parafianami siostry opiekują się grobami pozostawionymi przez rodaków wygnanych z tych stron układem jałtańskim.

Dominikanki ze szczególnym pietyzmem zajmują się pamiątkami pozostałymi po założycielce Słudze Bożej m. Kolumbie Białeckiej. Często odwiedzamy groby jej rodziców i sióstr na Cmentarzu Łyczakowskim i każdego roku organizujemy ekumeniczne nabożeństwo majowe we wsi Jaśniszcze w powiecie Brody. Tej ziemi i ludzkim sercom okaleczonym przez cierpienia okresu komunizmu potrzeba świętych orędowników i wzorów. Ufamy, że już niedługo Kościół potwierdzi oficjalnie świętość życia naszej Matki Fundatorki i także Kościół Lwowski zaczerpnie światło z głębi jej eucharystycznej duchowości i umiłowania Królowej Różańca świętego na równi z jej współczesną bł. Marceliną Darowską oraz świętymi abp. Józefem Bilczewskim i Zygmuntem Gorazdowskim.

* Tytuł nadany przez redakcję. Tytuł Autorki brzmi: Zaangażowanie Zgromadzenia Sióstr św. Dominika na rzecz Kościoła Katolickiego na Ukrainie.

Z TAMTEJ STRONY

NOWA KADENCJA FEDERACJI ORGANIZACJI POLSKICH nU

W Równem odbył się w grudniu 2010 r. Sejmik FOPnU (na Ukrainie), na którym dokonano wyboru nowych władz Federacji na kolejne 5 lat. Zebrało się 280 prezesów z całego obszaru tamtego państwa, którzy wybrali na prezesa ponownie p. Emilię Chmielową.

Pani Emilii przekazujemy niniejszym bardzo serdeczne gratulacje i życzenia sukcesów. Wyrażamy tą drogą naszą szczerą radość.

Do V Zarządu weszło 15 osób, wśród których znajdujemy nazwiska tych dobrze nam znanych i cenionych. To m.in. pp. Teresa Dutkiewicz ze Lwowa i Adam Chłopek z Drohobycza, Maria Siwko z Kijowa, Teresa Teterycz z Mościsk i Marek Gierczak ze Strzałkowic, Władysław Strutyński z Czerniowiec i jeszcze kilka innych osób z terenu Małopolski Wschodniej i Wołynia oraz z Ukrainy właściwej – z Kijowa, Gródka Podolskiego, Winnicy, Charkowa, Połonnego i z Symferopola na Krymie.

Wszystkim bardzo serdeczne gratulacje i życzenia!

Redakcja CRACOVIA–LEOPOLIS

JUBILEUSZ KONSULATU GENERALNEGO RP W CHARKOWIE

Nadzwyczaj ciekawa była Międzynarodowa Konferencja Naukowa zatytułowana: *Dyplomacja XX – początku XXI wieku*, poświęcona 90-leciu powstania Poselstwa RP w Charkowie, a jej organizatorami byli: Konsulat Generalny RP w Charkowie, Instytut Historii i Stosunków Międzynarodowych, Centrum Badań Europy Wschodniej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, Charkowski Narodowy Uniwersytet

im. W. Karazina, Stowarzyszenie Uczonych Polских.

W przededniu odbyła się konferencja prasowa z udziałem m.in. Krzysztofa Pendereckiego, który przybył tu, aby dyrygować orkiestrą Filharmonii Narodowej podczas uroczystego koncertu z okazji jubileuszu.

W dniu rozpoczęcia konferencji zostały otwarte dwie wystawy: *Historia polskiej służby dyplomatyczno-konsularnej* i *Polska książka w zbiorach Charkowskiego Narodowego Uniwersytetu im. W. Karazina*.

Na otwarcie konferencji oprócz przedstawicieli najwyższych władz miasta przybyli: ambasador RP i kierownik Wydziału Konsularnego w Kijowie oraz konsulowie generalni RP ze Lwowa, Łucka, Charkowa, Winnicy. Obecność tych osób świadczy o wadze wydarzenia w życiu Polski i Ukrainy.

Referaty poruszały szeroki aspekt działalności polskiej placówki poselskiej, która powstała w 1920 roku i działała jak na owe czasy sprawnie do 1924 roku. Spośród wielu spraw, którymi się zajmowała, na pierwszy plan wybijały się poważne kłopoty Polaków – obywateli ZSRR.

W latach 30. nabierał znaczenia problem opracowywania i przesyłanie informacji o Polakach zatrzymywanych i aresztowanych pod najróżniejszymi zarzutami. Zgodnie z zapisami w traktacie ryskim, próbowano podtrzymywać ich związki z polskością, dbać o zaspokojenie potrzeb duchowych i religijnych, dostarczać polskie książki, podręczniki dla dzieci.

Wkrótce stało się to zadaniem bardzo trudnym, zgoła niewykonalnym. Gdy problemem stało się utrzymywanie korespondencji polskiej mniejszości z krewnymi w Polsce, a podejrzania o kontakty z konsulem stanowiło wystarczającą przyczynę do aresztowania, trudno mówić o warunkach sprzyjających aktywnej pracy z Polakami w Charkowie i w ogóle na Ukrainie.

W miejsce poselstwa w 1930 roku powołano w Charkowie Konsulat Generalny RP, placówkę podporządkowaną Poselstwu RP w Moskwie. Obszarem działania obejmowała całe terytorium USRR. Placówka konsularna w Charkowie funkcjonowała do 1 grudnia 1937 r.

Referaty traktowały też o teraźniejszości – współpracy placówek naukowych i kontaktach gospodarczych Polski i Ukrainy.

Wzruszającym momentem było odsłonięcie tablicy pamiątkowej poświęconej Sewerynowi Potockiemu, jednemu z założycieli Charkowskiego Uniwersytetu im. W. Karazina, i złożenie kwiatów pod pomnikiem polskich oficerów – ofiar zbrodni katyńskiej – na cmentarzu ofiar totalitaryzmu w Charkowie-Piatichatkach i pod tablicą na budynku SBU, upamiętniającą zamordowanych oficerów Wojska Polskiego. Wstrząsający rząd kamiennych płytek z nazwiskami. Las dookoła, lekki powiew wiatru i szelest liści, świergot ptaków. Niezapomniany widok, niezapomniane przeżycie.

Teresa Dutkiewicz, Lwów, sierpień 2010 r.

Wydarzenia

Na Wołyniu, na terenie wsi Kimnatka koło Krzemieńca, 1 sierpnia 2010 r. miała miejsce uroczystość poświęcenia odbudowanego pomnika na zbiorowej mogile żołnierzy polskich z 1920 r. W pobliżu Krzemieńca starcia zbrojne 18. Dywizji Piechoty WP i 10. Brygady WP z konnicą Budionnego miały miejsce w dniach 20–25 lipca 1920 r. W czasie jednej z bitew w pobliżu wspomnianej wsi zginęło 72 Polaków i 5 Ukraińców-petliurów. Pochowani zostali przez ludność miejscową w zbiorowej mogile. Nieznane są ich nazwiska. W listopadzie 1935 r. władze polskie uhonorowały to miejsce pomnikiem z tablicami pamiątkowymi i krzyżem. Od 1939 roku przez kilkadziesiąt lat mogiła pozbawiona opieki niszczała, ale ludność miejscowa pamiętała, że jest to *cmentarz polski*. Dopiero od 2009 r., za sprawą Towarzystwa Odrodzenia Kultury Polskiej im. J. Słowackiego i miejscowych działaczy oświatowych, sprawa odbudowania pomnika nabrała tempa. Własnymi siłami, ze składek społecznych i z częściową pomocą finansową konsulatu we Lwowie postawiono wysoki krzyż, a pod nim na betonowych podstawach trzy szare granitowe płyty obramowane czarnym granitem z napisami w języku polskim i ukraińskim. Dookoła placyk wyłożono kostką i ogrodzono metalową kratą. W czasie uroczystości 1 sierpnia, prowadzonej przez prezesa Towarzystwa Odrodzenia Kultury Polskiej w Krzemieńcu, pomnik poświęcił proboszcz rzymskokatolicki z Krzemieńca w towarzystwie kapłana prawosławnego. Przemawiali działacze oświatowi, a dyrektor szkoły z Kimnatki przedstawił rys historyczny. (DTS)

W Krakowie i dalej

TARNOPOLANIN

Okolo 11 listopada (to nie przypadek!) minionego roku mieliśmy okazję zetknąć się z niezwykłą postacią – z majorem Czesławem Blicharskim – poprzez artykuły w gazetach, ale i bezpośrednio. Osoba pana Blicharskiego była nam zresztą znana od dawna poprzez liczne opowieści znających Go osób.

Czesław Blicharski, 93-letni dziś tarnopolanin, więcej: czołowy patriota tarnopolski, mieszka dziś w Zabrze, do którego dotarł przed 55 laty poprzez drogi i wydarzenia wręcz niewiarygodne. Szlak Jego życia wiódł z rodzinnego miasta nad Seretem, poprzez studia prawnicze we Lwowie, potem syberyjskie łągry, armię Andersa i drogą wokół Afryki – do Szkocji, a tam, po szkoleniu lotniczym, udział w wielu nalotach, w tym w owym słynnym – na Drezno. Wtedy skończyła się wojna i właśnie wtedy nastąpił układ Churchill–Roosevelt–Stalin. Dla Polaków z Dywizjonu 300 była to utrata Ojczyzny – *tej pisanej wielką literą i tej najbliższej, która wypełnia nozdrza zapachem wilgotnej ziemi na wiosnę w Parku Stryjskim we Lwowie, która latem szczypie w oczy pyłem unoszącym się nad drogą prowadzącą do targowiska w Żółkwi, i tej, która przynosi spokój popołudniowego spaceru jedną z ulic od rynku w Brzeżanach...*

Nie chciał więc wracać do nowej Polski, zdecydował się na wyjazd do Ameryki Południowej i spędził tam kilka lat.

W końcu zdecydował – miłość. W Tarnopolu, a po ekspatriacji na Górnym Śląsku pozostała dziewczyna. W 1956 roku zdecydował się przyjechać – nie wrócić, lecz przyjechać, bo *jego Ojczyzną była Polska*



ze Lwowem i Wilnem, i – przede wszystkim – z Tarnopolem. Młodzi pobrali się, przeżyli w Zabrze wiele lat, niestety przed kilku laty pani Kazimiera zmarła...

To jest bardzo skrócony opis wielu lat życia pana Czesława, do którego posłużyliśmy się wstrząsającym artykułem J. Świdra w krakowskim „Dzienniku Polskim” z 19 XI '10. Stamtąd też wykorzystaliśmy zdania, które nas szczególnie ujęły (podaliśmy je kursywą).

Ale to dopiero jedna strona historii. Pan Czesław Blicharski zawsze tęsknił za swoją ziemią rodzinną, za jej urodą, historią, ludźmi. Jednak dopiero na emeryturze – do 1978 r. pracował w wielu instytucjach – postanowił wykorzystać wolny czas na rzecz tamtych miejsc i tamtych czasów. Podjął gigantyczny wysiłek – pomagały mu w tym żona i córka – w zbieraniu przez ponad 30 lat wszelkich materiałów, dokumentów, zdjęć dotyczących Tarnopola. Owocem jest 10 tomów opracowań tematycznych i 16 albumów, na które składa się ok. 2 tysięcy fotografii. Całość zbiorów pp. Blicharskich została przekazana do Biblioteki Jagiellońskiej – za pośrednictwem Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego.

Za to wszystko, czego major Blicharski w życiu dokonał, został w 2008 r. udekorowany przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Polonia Restituta.

Warto na zakończenie dodać, że w listopadzie 2010 r. doszło do spotkania pana Czesława z gronem kilkudziesięciu zainteresowanych osób. P. Blicharski przedstawił nie tylko to, co wyżej przekazaliśmy, ale także swój stosunek – dość krytyczny – do

powojennej rzeczywistości, jakże różnej od tego, co zapamiętał sprzed II wojny. I to nie tylko przez nieobecność w tej Polsce jego umiłowanego miasta rodzinnego. Uważa iż dzisiejsza Polska nie jest tym, czego oczekiwał po powrocie z wojny i emigracji. Nie jest tym, na co Polska zasługiwała.

Elżbieta Mokrzyńska

Z żałobnej karty

◆ Z końcem listopada ub.r. zmarła w Londynie Irena Andersowa, piosenkarka, aktorka i działaczka emigracyjna, wdowa po generale Władysławie Andersie.

Urodziła się w 1920 r. poza Lwowem, ale jej lata przedwojenne – od 1926 do II wojny – to Lwów. Pochodziła z rodziny narodowościowo mieszanej: matka, jak dowiedzieliśmy się z prasy – z rodziny ziemiańskiej, ojciec był popem. We Lwowie uczyła się muzyki i śpiewu,



Irena Andersowa z prezydentem Ryszardem Kaczorowskim

a po wybuchu wojny – pod pseudonimem Renata Bogdańska – wstąpiła do zespołu, jaki utworzyli we Lwowie artyści-uciekiniery z całej Polski, a soweci zwerbowali ich do występów w całym ZSRR (należała do zespołu Henryka Warsa). W czasie pobytu na Syberii wszyscy artyści włączyli się do tworzonej wtedy armii Andersa i odtąd towarzyszyli Wojsku Polskiemu na całym szlaku bojowym, poprzez Monte Cassino, aż do końca wojny (wszystko to opisuje

KSIAŻKI OPRACOWANE I WYDANE PRZEZ CZESŁAWA E. Blicharskiego

Tarnopol zatrzymany w kadrze pamięci. Zabrze–Biskupice 1992

Tarnopol w latach 1809–1945 – od epizodu epopei napoleońskiej do wypędzenia. Zabrze–Biskupice 1993

Miscellanea tarnopolskie, tom 1. Biskupice 1994

Tarnopolanie na starym ojców szlaku. Biskupice 1994

Miscellanea tarnopolskie, tom 2. Biskupice 1995

Miscellanea tarnopolskie, historia gimnazjów i seminariów tarnopolskich, tom 3. Biskupice 1996

Tarnopolanina żywot niepokorny, 1996

Miscellanea tarnopolskie, tarnopolskie Campo Santo przypomina, tom 4. Biskupice 1997

Miscellanea tarnopolskie, Petruniu ne ubywaj mene, tom 5. Biskupice 1998

w swej książce Włada Majewska – patrz CL 3/2007).

Po wojnie zamieszkała w Londynie i tam w 1948 r. poślubiła gen. Andersa. Przez wszystkie lata, aż do starości, występowała w polskich zespołach i teatrzykach, z Marianem Hemarem i innymi.

Prezydent Lech Kaczyński odznaczył ją – jako znakomitą artystkę, polską patriotkę i działaczkę – Krzyżem Komandorskim Orderu Polonia Restituta.

◆ We Wrocławiu we wrześniu '10 **zmarła prof. dr Ludwika Rychlewska**, wybitna latynistka, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego.

Ludwika Rychlewska urodziła się w 1917 r. we Lwowie, była absolwentką Gimnazjum im. Królowej Jadwigi, harcerką IX Drużyny im. H. Grabskiej. Studiowała na Uniwersytecie Jana Kazimierza, w czasie II wojny była słuchaczką i nauczycielką tajnych kompletów, pracowała w Instytucie profesora Weigla.

Profesor Rychlewska była pionierem nauki polskiej we Wrocławiu, wieloletnim dyrektorem Instytutu Filologii Klasycznej, członkiem wielu towarzystw naukowych polskich i zagranicznych, wydawczynią dzieł pisarzy greckich i rzymskich.

Była niezłomną Lwowianką. Wspomagała też nasz kwartalnik i wydawnictwa. Cześć Jej pamięci.

◆ W grudniu minionego roku w Bytomiu **zmarł nestor kresowej rodziny, dr Józef Juzwa**. Miał 88 lat. W CL 4/10 ukazało się omówienie pióra Marty Walczewskiej, poświęcone historii rodziny Juzwów – opracowanie dotyczące losów kilku pokoleń tej rodziny, które mogło powstać dzięki ogromnej pracy dokonanej przez Doktora – zbieraniu dokumentów, dotyczących życia przodków, poczynając od powstańca z 1863 roku do współczesnych płomków rodziny.

Autorka kontaktowała się z dr. Juzwą kilkakrotnie, aby uzgodnić tekst opracowania, opartego na otrzymanym od niego archiwum rodzinnym. Była pod wrażeniem jego osobowości, pełna podziwu dla dokonań jego życia – począwszy od lat młodzieńczych, kiedy to po wybuchu II wojny światowej zaangażował się w konspirację. Był żołnierzem AK. Mimo trudnych warunków wojennych i w latach po

wojnie ukończył studia medyczne i konserwatorium muzyczne.

Po wojnie integrował wokół swojej osoby środowisko kresowe. Służył ludziom pracując jako lekarz, służył Bogu grając na organach w kościele w Bytomiu. Pisał prace dotyczące utraconych Kresów Wschodnich – rodzinnych Zaleszczyk, Czerwonogrodu. Kilkakrotnie drukowaliśmy jego prace w naszym kwartalniku. I na pewno jeszcze wykorzystamy opracowane przezeń materiały, które nam zostawił.

Pozostanie w naszej pamięci jako człowiek o wielkiej kulturze, wiedzy i mądrości. Hasło „Bóg, Honor i Ojczyzna” realizował w swoim długim życiu.

◆ Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o **śmierci wspaniałego Człowieka i Kapłana, ks. Ludwika Rutyny**. Urodzony w 1917 r. w Podzameczku k. Buczacza, ukończył gimnazjum w Buczaczu. Studia rozpoczęte w Wyższym Seminarium Duchownym we Lwowie przerwała II wojna, ale w maju 1941 r. otrzymał święcenia kapłańskie w tajnym seminarium z rąk ks. bpa E. Baziaka. Po krótkiej pracy w Baworowie k. Tarnopola znalazł się w 1945 r. razem z ekspatriantami na Opolszczyźnie, gdzie pracował w kilku kolejnych parafiach aż do r. 1990, przechodząc na emeryturę jako prałat.

Wtedy postanowił wrócić w rodzinne strony. W 1991 r. znalazł się w Buczaczu i tam pełnił swe powołanie aż do końca. Na krótko przed śmiercią wrócił na Opolszczyznę. Zmarł w grudniu 2010 r. i został pochowany w Kędzierzynie-Koźlu.

Notatki

◆ Podczas dorocznej kwesty na rzecz ratowania zabytkowych obiektów cmentarnych (pomniki, grobowce, nagrobki) na Łyczakowie we Lwowie, zebrano w dniach 31 X i 1 XI 2010 na czterech cmentarzach krakowskich (Rakowice, Salwator, Batowice, Podgórze) kwotę 46400 zł.

W powyższej kwocie mieści się kwota 415 zł, zebrana przez młodzież z Liceum oo. Pijarów w Krakowie z inicjatywy maturzystów klasy III b, prowadzonej przez p. prof. Małgorzatę Kremer. Za dar ten serdecznie dziękujemy.

KULTURA NAUKA

SESJA O LWOWSKIM SŁUDZE BOŻYM

W klasztorze oo. Kapucynów w Krakowie 27 września 2010 r. odbyło się sympozjum o Słudze Bożym Serafinie Kaszubie *Kapłan do szpiku kości*. W ubiegłym roku minęła 100. rocznica urodzin o. Serafina, który przyszedł na świat we Lwowie na Zamarstynowie 17 czerwca 1910 r. Wśród referatów odnotować należy wystąpienia dyrektora Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa Stanisława Dziezdica *Milczący Kościół na nieludzkiej ziemi. O sytuacji geopolitycznej w Związku Sowieckim*, prof. dr hab. Rolanda Prejsa OFM-Cap *Kapucyni Prowincji Krakowskiej po II wojnie światowej. Struktury organizacyjne i formy obecności* (referat został odczytany, stan zdrowia uniemożliwił obecność profesora na sympozjum), dr. Roberta Cielickiego OFM-Cap *Niepotrzebny grat zbiera ułamki, czyli o działalności duszpasterskiej o. Serafina Kaszuby*, o. Ryszarda Modelskiego OFM-Cap *Obecny stan procesu beatyfikacyjnego. Świętość Ojca Serafina*. Szczególnie znaczenie wśród referatów miała „relacja świadka”, czyli opowieść rodaka i przyjaciela o. Serafina, o. Hieronima Warachima. Dzięki jego pracy duszpasterskiej oraz naukowej i publicystycznej postać Sługi Bożego została w sposób szczególny zauważona i doceniona. To o. Warachim zgromadził listy i zapiski o. Kaszuby, które stały się podwalinami jego książki zatytułowanej *Włóczęga Boży*. Ojcowie Serafin i Hieronim byli uczniami V Gimnazjum we Lwowie, gdzie się poznali. Po kilku latach zeszli się ponownie w Krakowie w klasztorze kapucynów. O. Hieronim utrzymywał kontakt listowny z o. Serafinem podczas jego pracy na Wołyniu, a później na terenie dawnego ZSRR. Jako prowincjał nakłaniał o. Serafina do powrotu do Polski. Udało się go na kilka lat „wyrwać” do kraju i podleczyć. Po jego śmierci o. Warachim

został mianowany wicepostulatorem procesu beatyfikacyjnego o. Serafina i pełnił tę funkcję do zamknięcia procesu na szczelbu diecezji w 2001 r.

Podczas sympozjum zaprezentowano też film biograficzny poświęcony o. Serafinowi w reżyserii Dariusza Walusiaka. Odbyła się również promocja nowej książki autorstwa o. R. Modelskiego *Kapłan do szpiku kości. Ojciec Serafin Kaszuba*. Autor ukazuje postać o. Serafina poprzez pryzmat swoich doświadczeń misjonarskich. Wszak wiele lat spędził w krajach południowoamerykańskich i afrykańskich, gdzie zajmował się tym samym, czym o. Kaszuba na „nie-ludzkiej ziemi” – głoszeniem słowa bożego. Pisząc biografię o. Serafina oparł się też na dokumentach archiwalnych i beatyfikacyjnych zgromadzonych w Rzymie. W książce znajdziemy też wiele interesujących fotografii obrazujących życie i pracę o. Kaszuby. Sympozjum zwieńczone zostało uroczystą mszą świętą w intencji beatyfikacji SB Serafina Kaszuby, której przewodniczył JE ks. kardynał Marian Jaworski.

Janusz Paluch

LWOWIANIN LAUREATEM W LUBLINIE

Z niemałym opóźnieniem – za które wszystkich przepraszamy – donosimy o ważnym wydarzeniu kulturalnym, jakim było w styczniu minionego roku przyznanie Honorowego Obywatelstwa Miasta Lublina profesorowi Andrzejowi Nikodemowiczowi, kompozytorowi, pianście i pedagogowi, rodem z naszej wspólnej ziemi rodzinnej.

Najpierw więc przypomnienie korzeni: Andrzej Nikodemowicz jest trzecim z synów znakomitego architekta lwowskiego Mariana Nikodemowicza (ur. w 1890 w Mielnicy k. Borszczowa, zm. 1952 we Lwowie). Najstarszym był Eugeniusz (1916–2006), lekarz-ftyzjatra; po ekspatriacji osiadł w Krakowie, został profesorem Akademii Medycznej (późniejszego Collegium Medicum UJ)*; drugim – Aleksander, architekt, dziś emerytowany wykładowca na Politechnice Krakowskiej.



Najmłodszy, Andrzej, po II wojnie pozostał ze swymi rodzicami we Lwowie. Tam ukończył studia muzyczne i podjął pracę w lwowskim konserwatorium. Jednak nie chciał ułatwiać sobie życia, nie wstąpił do partii, nie wyrzekł się też swoich przekonań religijnych i polskości. Nie ułatwili mu życia ci, którzy wtedy Lwowem rządzą. Choć przez lata wykształcił wielu muzyków, to jego osoba wciąż była solą w oku sowieckich władz. Gdy w 1973 r. odmówił zapisania dzieci do pionierów, wyrzucono go z pracy i pozbawiono środków do życia. Zakazano publicznego wykonywania jego utworów, a *lwowskie* radio skasowało je ze swego archiwum. Po siedmiu latach Nikodemowicz stwierdził, że wraz z rodziną musi opuścić Lwów.

Tę wielką i trudną decyzję swego życia podjął w 1980 roku. Jego wybór padł na Lublin, gdzie ludzie zyczliwi pomogli mu w ustabilizowaniu się bytowym, zawodowym, rodzinnym. Szybko otrzymał mieszkanie i angaż. Działał na kilku polach, a ukoronowaniem była praca w Instytucie Muzykologii Uniwersytetu MCS. Później także na KUL.

W Lublinie rozpoczął więc już bez przeszkód twórczość kompozytorską, a ważnym elementem jego dzieła stała się muzyka sakralna. Napisał m.in. ponad 50 kompozycji o charakterze kantatowym, równoległe do twórczości „świeckiej” (m.in. 7 koncertów fortepianowych). Dziełem, do którego Kompozytor ma szczególnie serdeczny stosunek, jest baśń *Szklana Góra***, w której połączył muzykę z inscenizacją, pantomimą i narracją. Niestety dotąd nie udało się wykonać go w teatrze, a jedynie na koncercie.

Prezes Związku Kompozytorów Polskich Jerzy Kornowicz napisał:

W osobie Andrzeja Nikodemowicza Polska i Lublin mają nie tylko znakomitego twórcę, ale również postać o wielkich walorach etycznych, patriotę i humanistę. Człowieka, który żłobi charaktery bliźnich przez sam fakt bycia wśród nich. Swojej niezłomności artystycznej i ludzkiej dał dobitne przykłady w lwowskim okresie swego życia, jak i po zamieszkaniu w Lublinie. Wielu z nas dużo mu zawdzięcza...

* Wspomnienie o jego mistrzu prof. St. Hornungu opublikowaliśmy w CL 4/97

** Dzieło oparte jest na filozoficznej baśni, napisanej poetycką prozą przez Bronisławę Ostrowską-Grabską.

Konferencja naukowa w Gliwicach

Niezwykle ważna i ciekawa sesja, zatytułowana *Kresowianie na Górnym Śląsku*, została zorganizowana w Gliwicach z końcem października 2010 r. Organizatorami byli: Muzeum w Gliwicach oraz katowicki oddział Instytutu Pamięci Narodowej. Sesja, w której wystąpiło 17 referentów (głównie ze strony instytucji naukowych Katowic, Opola i Wrocławia oraz ze strony organizatorów), trwała cały dzień, przy czym referaty przedpołudniowe (cz. 1) i popołudniowe (cz. 2) różniły się między sobą charakterem.

W części 1. przedstawiono problematykę procesu przesiedlania ludności z Kresów na Śląsk. Prof. G. Gryciuk mówił o polityce władz sowieckich w sprawie wysiedlania ludności polskiej, a ks. dr A. Hanich o przebiegu tej akcji. Mówiono też o działalności PUR na Śląsku (dr H. Markowski), a następnie o osadnictwie wiejskim ludności kresowej na Opolszczyźnie (M. Goc) i osadnictwie miejskim (M. Tracz). Wreszcie o przesiedleniu uczonych lwowskich (W. Bąba) oraz o harcerzach lwowskich na Śląsku (dr J. Januszewska-Jurkiewicz) i wspomnieniach (B. Kubit).

Część 2. dotyczyła nowych sytuacji, w jakich znaleźli się kresowianie na Górnym i Dolnym Śląsku. O próbie zadomowienia się przesiedleńców mówiła prof. B. Kubis; dr A. Dawid i dr A. Dziuba opowiadali o ich politycznym angażowaniu się. Ciekawy temat poruszył dr D. Węgrzyn: *Komitet Ziemi Wschodnich na Górnym Śląsku 1945–1947*. Były i konflikty między autochtonami a ekspatriantami. Mówił o tym S. Rosenbaum, a dr B. Linek o niepamięci historycznej w górnośląskim systemie kulturowym. Nie pominięto tematyki kulturalnej. B. Kasprzewicz opowiadał o radiu, operze i operetce po 1945 r., a M. Hałas o lwowskich echem w literaturze Górnego Śląska po 1945 r.

Na koniec Małgorzata Kłyk przedstawiła ważny dla naszych środowisk temat: *Historia i działalność górnośląskich towarzystw kresowych*.

Mamy nadzieję, że organizatorzy konferencji gliwickiej wydadzą drukiem referaty sesji. Czekamy na to z niecierpliwością.

Ze swej strony chcemy zwrócić uwagę na referat ostatni – o historii i działalności towa-

rzystw kresowych. Niech inicjatywa gliwicka trafi do wszystkich środowisk skupionych wokół oddziałów TMLiKPW, a także innych organizacji ekspatrianckich. Ten rozdział życia społecznego naszych kilkudziesięciu minionych lat należy opisać dla przyszłości.

DNI LWOWA W POZNANIU

We wrześniu '10 odbyły się w Poznaniu XIII Dni Lwowa i Kresów, organizowane przez tamtejszy Oddział TMLiKPW. Na imprezy Dni złożyły się m.in.: otwarcie dwóch wystaw – fotograficznej *Ach ten Lwów*, spotkanie z J. Wasylkowskim, koncert zespołów kresowych z Bukowiny i z Bytomia, a także kilka spotkań towarzyskich w różnych miejscach Poznania.

Na XIII Dni otrzymaliśmy, jak corocznie, zaproszenie, z którego jednak z różnych przyczyn „obiektywnych” nie dało się skorzystać. Wystaliśmy więc list z podziękowaniem i życzeniami, a przy okazji *przymówiliśmy* się o wydawany w Poznaniu teemelowski „Biuletyn Informacyjny”, zawsze ciekawy, jednak dawno u nas nie widziany.

W odpowiedzi nadeszły trzy ciekawe zeszyty. Pierwszy to nr 2/2010 (90!) z całą serią interesujących artykułów, z czego dla nas najważniejszy o Centrum Kulturalno-Oświatowym w Nowym Rozdole (jak pamiętamy, Rozdół był główną siedzibą Lanckorońskich). Ucieszyła nas wiadomość o przyznaniu Złotego Medalu Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej p. Tadeuszowi Tomkiewiczowi, prezesowi Ogniska Bukaczowczan i redaktorowi „Biuletynu Bukaczowieckiego” (który zawsze otrzymujemy). Gratulujemy!

Dwa dalsze zeszyty mają charakter słownikowy:

■ *Luminarze humoru kresowego* (cz. I). Tu znajdujemy 14 życiorysów zarówno ludzi pióra (m.in. Fredro, Hemar, Makuszyński, Załucki), jak i aktorów (od Szczepka i Tońka poczynając);

■ *Lwów i Kresy Południowo-Wschodnie w dziejach sportu polskiego*. Przypomniano 22 życiorysy takich mistrzów, jak Górski, dwóch Kucharów, Wacek, oraz innych sławnych i mniej pamiętanych. Ale także dwóch ludzi pióra związanych ze sportem: Parandowskiego i Wierzyńskiego.

Na marginesie: czy poznańscy Redaktorzy pamiętają, by wszystkie swoje publikacje wysyłać do Kolekcji „Leopolis” przy Muzeum

Niepodległości w Warszawie? Tam w chwili obecnej powstaje opracowanie czasopism kresowych, wydawanych od II wojny na terenie naszego kraju i zbierane są wszystkie tego rodzaju wydawnictwa.

DNI LWOWA 2010 W WARSZAWIE

Wartościowy program składający się na Dni Lwowa zorganizował Oddział Warszawski TMLiKPW w połowie listopada '10. Warto wynotować kilka najciekawszych pozycji:

- multimedialna prezentacja T.K. Kozłowskiego poświęcona miasteczku Kosów na Pokuciu i postaci dra Apolinarego Tarnawskiego. Autor porusza szereg ciekawych wspomnień, m.in. o mistrzu Bachmińskim (Polaku, twórcy ceramiki huculskiej), o słynnych kaflach, kilimach i cacuszkach z drewna, z których słynęły kosowskie jarmarki;
- T.K. Kozłowski opowiada o lwowskiej tradycji teatralnej i jej znaczeniu dla kultury narodowej, o budowie Teatru Miejskiego we Lwowie;
- wystawa *Lwowianie na fotografii w Kolekcji „Leopolis”*;
- promocje książek: T. Olszańskiego *Stanisławów jednak żyje*; A. Fiedoruka *Kuchnia lwowska* i kilka innych.

I w tym przypadku liczymy na wydanie drukiem pamiętnika wygłoszonych wypowiedzi i wyboru pokazanych fotografii – w formie książeczki (broszury) dostępnej w całym kraju.

MUZYKOWANIE WE LWOWIE

Od dawien dawna w Polsce rodzinne muzykowanie było tradycją stwarzającą atmosferę serdeczności podczas wspólnego spędzania czasu. W latach rozbiorów muzykowanie w rodzinnym kole sprzyjało podtrzymywaniu ducha polskości. Po odzyskaniu niepodległości tzw. „herbatki” były miłym akcentem życia towarzyskiego, podczas których nie obchodziło się bez śpiewu. Święta Bożego Narodzenia były też świetną okazją do rodzinnego kolędowania. Po II wojnie światowej, szczególnie w ostatnich dziesięcioleciach, niestety zanika ta piękna

tradycja, ustępując nagraniom z płyt. Nie jest to jednak zjawisko ogólne. Poza granicami Polski, szczególnie na dawnych Kresach Rzeczypospolitej, tradycja rodzinnego muzykowania żyje i jest nadal pielęgnowana.

Federacja Organizacji Polskich nU ponad piętnaście lat temu podjęła się trudu zorganizowania Spotkań Polskich Rodzin Muzykujących, które z ogromnym powodzeniem odbyły się m.in. we Lwowie, Truskawcu, Gródku Jagiellońskim, Dubnie, Łucku. Stały się w pewnym sensie tradycją. Jednak po pewnym czasie, nie mając wsparcia finansowego, nastąpiła przerwa. Zarząd, na czele z panią prezes Emilią Chmielową, czynił starania o powrót do tej pięknej, integrującej Polaków tradycji.

Rok 2010 okazał się łaskawy. Dwukrotnie różne rodziny muzykujące z różnych miejscowości miały okazję do spotkania się w Kijowie i zaprezentowania bogatego repertuaru dzięki wsparciu Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” i Konsulowi RP. Pierwsze spotkanie miało miejsce w maju w Sali Muzeum im. Łysenki. Przybyło 12 rodzin muzykujących z Żytomierza, Równego, Borysławia, Winnicy, Białej Cerkwi, Medenic k. Drohobycza, Kryswowic k. Mościsk i Kijowa. Zabrzmiał Chopin, Moniuszko, Ogiński i wiele utworów z polskiego folkloru. Swą obecnością VII SPRM zaszczyliła Konsul RP w Kijowie.

Początek lipca stał się kolejną okazją do spotkania Polaków. „Opakowa Chata” gościnnie przyjęła rodziny muzykujące z Równego, Browarów, Połonnego, Lwowa, Czerniowiec, Borysławia, Baru, Kirowogradu, Kryswowic, Gródka Podolskiego i Żółkwi. Przybyli też przedstawiciele młodych talentów w dziedzinie rzeźby, malarstwa, haftciarstwa, reprezentujący organizacje członkowskie FOPnU.

Przed rozpoczęciem koncertu, w obecności konsula RP Dobrowolskiego, prezesa FOPnU Emilii Chmielowej i członków Zarządu odbyło się otwarcie wystaw. Wspaniałe, o różnorodnej tematyce, prace haftu artystycznego Marii Adamczuk i prace plastyków TSP „Skrzydła” cieszyły się zainteresowaniem. Koncert rodzin muzykujących był gorąco przyjęty. Ta piękna tradycja wspólnego muzykowania w różnych stronach państwa ukraińskiego jest godna uwagi i kontynuowania, bowiem przekazywana z pokolenia na pokolenie świadczy o trwałej łączności z Ojczyzną.

Teresa Dutkiewicz, Lwów

Kronika

◆ W październiku ub. roku studenci z Uniwersytetu Pedagogicznego z Krakowa udali się do Leicester w Wielkiej Brytanii, aby z osiadłymi tam po II wojnie światowej Polakami – byłymi ofiarami deportacji na *nie-ludzką ziemię* i uwolnionymi dzięki armii gen. Andersa – przeprowadzić wywiady. Skupisko Polaków w tym mieście jest podobno drugie w Anglii co do liczebności po Londynie, a grupa sybiraków wynosi ok. 40 osób.

Studenci z Krakowa zostali tam zaproszeni przez Stowarzyszenie Polskich Komбатantów. Zapisy rozmów mają być złożone w tworzonym w Krakowie Centrum Dokumentacji Przymusowych Migracji Polaków. W przyszłości możliwe jest odwiedzenie polskich emigrantów w podobnym celu w RPA, Australii, Nowej Zelandii oraz Kanadzie.

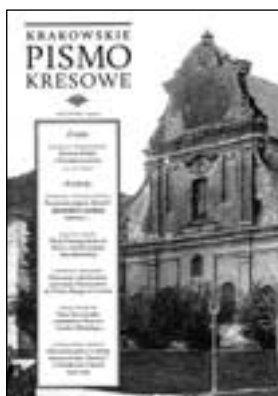
Przypomnijmy, że na temat polskich sierot, które z Rosji sowieckiej poprzez Indie dostały się do Nowej Zelandii (dziś są ludźmi niemłodymi) powstał film i książka, a m.in. w Krakowie przed paru laty wysłuchaliśmy relacji młodego naukowca.

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Ukazało się całkiem nowe wydawnictwo książkowe – choć w istocie jest czasopismem – **Krakowskie Pismo Kresowe. Rocznik**, nr 1, 2009. Wydawcą jest Księgarnia Akademicka w Krakowie (2010), a redaktorem naczelnym **Adam Świątek**. W Radzie Redakcyjnej zasiada znany nam skądinąd prof. Tomasz Gaśowski. KPK (to skrót aż trzech słów tytułu) jest czasopismem, które wedle zamiarów redaktorów ma się zajmować szeroką problematyką historii i kultury, z uwzględnieniem ludzi, którzy jedną i drugą tworzyli bądź byli ich podmiotami.

KPK prezentuje się jako czasopismo stricte naukowe, poświęcone „kresom” szeroko rozumianym, a więc zarówno I Rze-



czyzopolitej (tych wła-
ściwych kresów, zza
Zbrucza), jak i z II RP
(co już jest połączeni-
em *naciągnięty*, bo
trudno wszak porów-
nywać Kijów czy Mińsk
ze Lwowem i Wilnem,
a np. Ukrainę – tę
rzeczywistą, naddnie-
przańską, czy Inflanty
– z Pokuciem czy Gro-
dzieńszczyzną). *Strasz-
ne i śmieszne* (jak się
mawia z rosyjska) jest

to, że dziś tzw. „ścianę wschodnią”, tę po-
jałańską, niektórzy nazywają *Kresami*. Tyl-
ko tak dalej...

Mowa więc o **Kresach rzeczywistych**,
które w istocie Polską nigdy nie były (choć
polskiej ludności było tam niemało, oraz
o „**Kresach**” (w cudzysłowie), które przez
wieki były integralnie z Polską i polsnością
związane (choć – dla symetrii – miesz-
kańców innych narodowości było tam też
niemało), a nazwę *kresów* nabyły dopiero
w XX wieku.

W numerze KPK takich rozróżnień oczy-
wiście nie dokonano, uznano zapewne, że
dziś to nie na czasie i być może dla młod-
szych pokoleń (niekoniecznie dostatecznie
wykształconych w szkołach średnich) byłoby
to trudno zrozumiałe. Czy tym bardziej nie
prosiłoby się takie wyjaśnienie?

W krótkim wstępie do pierwszego nu-
meru napisano wiele o mitach i sentymen-
tach, o wieloetniczności, o neoimperializmie.
Dlaczego jednak nie przybliżono istotnych
w całej sprawie różnic między bliskimi
i dalekimi kresami? Nie wytłumaczono,
że te *bliskie* mieściły się w ogólnym obrazie
Polski związanej z Zachodem, z kulturą ła-
cińską, że *dalekie* zaś nie zmieniły wschod-
niego charakteru, opartego na prawosławiu,
nie bez wtrętów kultur pozaeuropejskich
i pozachrześcijańskich. Czytelnik, zwłaszcza
ten młody, zapoznałby się z problematyką
kresową w sposób bardziej świadomy.

Tyle więc uwag ogólnych. Co mieści się
w tomie? Pierwszy numer KPK zawiera 11
tekstów naukowych (licząc z recenzjami),
a ponadto ciekawe dodatki, jak *Biblioteka
kresoznawcy za rok 2008** oraz *Przegląd
wybranych wydarzeń naukowo-kulturalnych*

roku 2008. Materiały podstawowe uszerego-
wano – może trochę *na wyrost* – w czterech
działach. Pierwszy to *Źródła*, w którym
zamieszczono jeden tylko tekst, a miano-
wicie relację Polaka z Żytomierszczyzny,
który urodził się na terenie sowieckiej Mar-
chlewszczyzny, przeżył dramatyczne lata do
II wojny światowej, ojca deportowali, potem
rozstrzelali, szereg osób z rodziny zmarło
w Wielkim Głodzie. W 1944 r. wstąpił na
ochotnika do I Armii LWP. Wyszkolono go
w szkołach oficerskich, doszedł do wyso-
kiego stopnia, ale w 1949 r. nie zgodził się
na przyjęcie obywatelstwa polskiego. Jak
pisze A. Wylegała, która materiał nagrała
i opracowała, relacja ta jest doskonałym
przykładem nie tylko polskich losów, ale
i polskiej świadomości narodowej oraz tra-
giczności wyborów dokonywanych przez
Polaków z ZSRR.

Część II to Artykuły – z pięciu cztery
dotyczą problematyki polskiej w związkach
z Rusią-Ukrainą; piątą to *Przyczyny i oko-
liczności powstania Towarzystwa im. Piotra
Skargi we Lwowie* (w 1908 r., autorka prof.
H. Kramarz). Część III – Kolekcje i zbior-
y – tu dwa różne artykuły. A. Wylegała
omawia kolekcję elektroniczną „Polacy na
Wschodzie” w Archiwum Historii Mówionej
Ośrodka „Karta”. Drugi tekst, napisany przez
Ukrainkę O. Nestorowycz, dotyczy identyfi-
kacji portretu Polki ze zbiorów Winnickiego
Muzeum Sztuk Pięknych

W części IV Sprawozdania znalazł
się artykuł Litwinki G. Jankeviciute o Mu-
zeum Dziedzictwa Kościelnego w kościele
św. Michała w Wilnie. Kościół ten stanowił
już muzeum za czasów sowieckich, teraz
został jednak przywrócony do dawnego
stanu (na podstawie zdjęć Jana Bułhaka!),
do robót tych i aranżacji zaproszono jed-
nak... Niemców. Do najważniejszych skar-
bów kościoła św. Michała należą grobowce
i epitafia rodziny Sapiechów, relikwiarz św.
Stanisława itd.

Część V Recenzje obejmuje dwa
ciekawe materiały. Pierwszy to omówienie
słownika biograficznego *Wybitni Polacy w hi-
storii Winnickzczyzny*, autorstwa W. Kołesnyk
(Winnica 2007). Drugi to *Aleksy Gilewicz
– historyk nieprowinjonalny* (autor Z.K. Wój-
cik, Przemyśl–Wrocław 2008). A. Gilewicz
(1905–1969) był lwowianinem, mieszkają-
cym w Przemyślu. Ukończył studia na UJK,

jego mistrzem był prof. Franciszek Bujak. Wyróżniał się Gilewicz jako historyk, naukowiec i działacz społeczny, stawiając czoło sytuacji, w jakiej przyszło mu po II wojnie pracować: realia polityczne, których dominantą były rządy komunistyczne i antagonizmy polsko-ukraińskie, a dodatkowo problemy funkcjonowania naukowego i kulturalnego miasta oderwanego od swego głównego ośrodka kulturowego, jakim do 1939 r. był Lwów.

Czekamy z ciekawością na drugi rocznik (2010) Krakowskiego Pisma Kresowego, prosząc zarazem Redaktorów, by przyszłym czytelnikom wyjaśnili różnicę między Kresami i „Kresami”.

* Jako pierwszy figuruje tytuł „Cracovia–Leopolis” oraz 7 innych, wśród nich jednak brakuje takich, których byśmy jeszcze bardziej oczekiwali, np. „Semper Fidelis” lub „Spotkania Świrzan”, „Biuletyn Bukaczowiecki” itd.

📖 Wyszła dziesiąta książeczka Biblioteki „Cracovia–Leopolis”. Wśród dotychczasowych dziewięciu trzy miały charakter antologii, przypominając najcelniejsze teksty zamieszczone w kwartalniku od 1995 roku. Taki też jest tomik dziesiąty, zatytułowany **Rozmowy o Kresach i nie tylko**, a znalazło się w nim 17 wywiadów przeprowadzonych w ciągu 16 lat przez **Janusza Palucha**. Jego też jest wybór, bo w sumie rozmów było ponad 60, z czego autorami tylko pewnej części byli inni redaktorzy.

Książka została wydana przez Małe Wydawnictwo w Krakowie (2010), przy udziale finansowym kilku sponsorów, w tym Oddziału Krakowskiego TMLiKPW. Jednak podstawą do uznania omawianej pozycji jako kolejnego tomu Biblioteki „Cracovia–Leopolis” są fakty podstawowe: teksty zostały napisane dla naszego kwartalnika przez członka naszej redakcji, stanowiąc istotny i stały składnik zawartości każdego numeru CL, poświęconego bez reszty problematyce lwowskiej i wschodniomałopolskiej (czyli „kresowej”). W problematyce tej mieści się

historia i dzień dzisiejszy Kresów oraz postaci związane z Kresami pochodzeniem, twórczością lub inną formą działalności stałej czy doraźnej, lub wszystkimi tymi więzami łącznie. Takich właśnie osób poszukują nasi redaktorzy.

Cieszmy się ogromnie, że lwowskie wywiady z kwartalnika CL trafiły aż za Ocean, do nowojorskiego czasopisma. Jednak – wobec tego, co powiedziało się wyżej – trudno wymieniać oba pisma jednym tchem. Prosiłoby się powiedzieć, że owe teksty, które znalazły się w „Przeglądzie Polskim” w Nowym Jorku (wszystkie? niektóre? nie wiemy) zostały zapożyczone z „Cracovia–Leopolis”.

To dobrze, że najciekawsze wywiady z naszego kwartalnika ukazały się jako książka – taka była wszak intencja Rady Redakcyjnej od dawna. Wychodzący bowiem z założenia, że rozmowy sprzed 16, 8 czy 4 lat ugrzęzły już w naukowych, publicznych czy prywatnych bibliotekach albo że sporo ludzi nigdy się z nimi nie zetknęła – warto więc przypomnieć lub umożliwić „odkrycie”.

(AC)

📖 Postać świętego (od niedawna, kanonizacja w 2009 r.) arcybiskupa Zygmunta Szczęsnego Felińskiego budzi coraz większe zainteresowanie w naszym społeczeństwie. Jego podobizny spotykamy obecnie w kościołach w okolicach, gdzie postać ta była dotąd zupełnie nieznaną. Chodzi tu np. o archidiecezję krakowską, która leżała na uboczu działalności Świętego, ustępując tym stronom, przez które wiodła Jego droga życia – ziemiom dawnego zaboru rosyjskiego oraz wschodniej Galicji/Małopolsce, gdzie żył i działał po powrocie z wygnania.

Pomimo iż Święty zmarł w Krakowie, siedziba założonego przezeń Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi w Krakowie powstała dopiero po II wojnie, a fakt ten związał się z ustanowieniem tu stolicy prowincji, przeniesionej z konieczności ze Lwowa po II wojnie światowej.

Na obszarze Polski południowej powstały m.in. domy w Mszanie Dolnej, Zakopanem, Wiśniowej, Rzeszowie, Hyżnem (k. Rzeszowa)

Krótki życiorys Arcybiskupa zamieściliśmy w CL 4/10 (*Niezwykłe spotkanie ze Świętym*), jednak więcej na Jego temat i za-



łożonego przezeń Zgromadzenia Rodzina Maryi można dowiedzieć się z wystawy w ich siedzibie w Krakowie oraz wydanych licznych książek. Cztery spośród nich otrzymaliśmy od Sióstr w Krakowie. Są to:

– **Duchowa spuścizna abpa Zygmunta Szczęsnego Felińskiego**. Jest to zbiór 9 referatów z sympozjum w 2002 r. w Krakowie, pod redakcją ks. **Jana Machniaka** (Wydawnictwo Karmelitów Bosych, Kraków 2002) – o kolejach i dramatach życia Felińskiego, ówczynie jeszcze Sługi Bożego (przed wyniesieniem na ołtarze).

– **bp Michał Godlewski: Tragedia Arcybiskupa Felińskiego (1862–63)**

(wyd. Zgromadzenie ss. Franciszkanek Rodziny Maryi, Warszawa 1997). Autor omawia wnikliwie krótki okres (16 miesięcy) trudnej działalności Felińskiego jako arcybiskupa warszawskiego, przedstawiając niezrozumienie ze strony społeczeństwa Warszawy intencji Arcybiskupa, a z drugiej strony naciski ze strony władz rosyjskich, co w sumie – po wybuchu Powstania Styczniowego – zakończyło się usunięciem Felińskiego z Warszawy na 20-letnie zesłanie do Jarosławia nad Wołgą.

– **ks. Adam Zelga: Arcybiskup Zygmunt Szczęsny Feliński (1822–1895)**

(wyd. Centrum Duszpasterstwa Archidiecezji Warszawskiej, 2009). Książeczka streszcza w przystępny sposób koleje życia, dramaty i dokonania św. Zygmunta Szczęsnego.

– **Rodzina Maryi. Dzieło bł. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego (1857–2007)** (Wydawnictwo Karmelitów Bosych, Kraków 2009). Jest to zbiór 8 referatów oraz kilku innych tekstów pod red. ks. **Józefa Wołczańskiego**, z sympozjum pod ww. tytułem, które odbyło się w Krakowie w 2007 r. Mowa tam zarówno o samym Zgromadzeniu ss. Franciszkanek Rodziny Maryi, założonym przez Felińskiego, i wielu aspektach działalności Sióstr, jak i jego twórcy. M.in. ks.

prof. J. Wołczański mówił o rozwoju strukturalnym Zgromadzenia na Ziemiach Południowo-Wschodnich, a prof. F. Ziejka z UJ o Felińskim jako poecie.

Na rynku księgarskim ukazała się oczekiwana przez środowiska rodzin katyńskich – i nie tylko – książka **Andrzeja Przewoźnika i Jolanty Adamskiej** pt. **Katyń. Zbrodnia. Prawda. Pamięć**. Andrzej Przewoźnik, z wykształcenia historyk, był w latach 1992–2010 sekretarzem Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, zginął 10 kwietnia 2010 r. w pamiętnej katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem. Książka jest ukoronowaniem bardzo pracowitego życia zawodowego Przewoźnika, które prawie w całości poświęcił sprawie badania i odkłamywania szeroko pojętej zbrodni katyńskiej. Książka została ukończona i opublikowana – już po tragicznej śmierci autora – dzięki staraniom Jolanty Adamskiej, długoletniej współpracownicy głównego autora. Wykonała ona niezbędne korekty i dopisała ostatnie rozdziały, stając się współautorką tego pomnikowego dzieła. Publikacja została starannie wydana przez Wydawnictwo „Świat Książki” (Warszawa 2010). Zawiera ponad 650 stron i 91 ilustracji.

W 14 rozdziałach książki znajduje się szczegółowa historia odkrywania prawdy katyńskiej od lat czterdziestych ubiegłego wieku po dzień dzisiejszy. Wszystko w oparciu o pozyskane dokumenty i badania ekshumacyjne poprzedzające budowę cmentarzy w Katyniu, Charkowie i Miednoje. Te działania autor organizował, prowadził i nadzorował osobiście.

W pierwszych dwóch rozdziałach przedstawiona jest sytuacja Polski przed II wojną światową i później, w kleszczach dwóch mocarstw totalitarnych. W kolejnych dwóch – utworzenie obozów specjalnych NKWD i sytuacja jeńców polskich na terenie ZSRR. Rozdział piąty pt. *Mord* przypomina decyzję Biura Politycznego WKPB z dnia 5 III 1940 o zagładzie polskich jeńców z obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie oraz z więzień tzw. Zachodniej Ukrainy i Białorusi. Przedstawiono technikę wykonywania zbrodni i mentalność funkcjonariuszy NKWD. Prawie równocześnie z decyzją o wymordowaniu ok. 25 700 polskich jeńców wojennych i więźniów władze sowieckie zarządziły



deportację do północnego Kazachstanu rodzin tych jeńców (rozdział 6). Wskazuje to na zamiysł wytępienia elit polskich z korzeniami. Cmentarzysko w Katyniu zostało ujawnione przez Niemców w 1943 r., czyli trzy lata po dokonaniu zbrodni, ale na odkrycie grobów jeńców ze Starobielska i Ostaszkowa trzeba było czekać jeszcze 50 lat.

Rozdziały 7–9 to szczegółowy opis odkrywania grobów w Lesie Katyńskim w 1943 r., prace Komisji Technicznej PCK przy ekshumacji, uzyskanie listów i przedmiotów wydobytych z dołów śmierci. Następne rozdziały to następstwa Zbrodni Katyńskiej, decyzje aliantów, zacieranie i fałszowanie śladów. Po utworzeniu w ZSRR Armii Polskiej pod dowództwem gen. W. Andersa poszukiwano „zaginionych oficerów”. Autor przedstawił matactwa władz sowieckich w tej sprawie.

Walka o prawdę zaostrzyła się w latach 90. XX wieku i na początku bieżącego. Ujawnienie miejsc pochówków jeńców ze Starobielska i Ostaszkowa pozwoliło na budowę Polskich Cmentarzy Wojennych w Katyniu, Charkowie i Miednoje, otwartych w 2000 r. Ale walka o pełne ujawnienie prawdy o zbrodni katyńskiej trwa nadal po tym roku.

Dzięki współautorce zasadnicze rozdziały książki poprzedzone są wstępem i wprowadzeniem, a zakończone epilogiem zawierającym ostatnie wypowiedzi i teksty A. Przewołnika z początku kwietnia 2010 roku. Jako załączniki umieszczono w książce dokumenty z 1943 r. oraz teksty przemówień z 7 IV 2010 r. premiera D. Tuska (wygłoszone) i z 10 IV prezydenta L. Kaczyńskiego oraz prezesa A. Skąpskiego (niewygłoszone).

(DTS)

📖 **Maria Bogucka** opublikowała w Oficynie Naukowej (W-wa 2010) niewielką książkę pt. **Ludzie z Kresów**. Autorka, urodzona w 1929 r. w Warszawie, na podstawie zgromadzonych dokumentów, tradycji rodzinnych, zapamiętanych opowiadań odtwarza swoje drzewo genealogiczne kilka pokoleń wstecz. Okazuje się, że zarówno ojciec jak i matka pochodzą z polskich rodzin kresowych. Autorka charakteryzuje XIX-wieczne środowiska polskie w rejonie Kamieńca Podolskiego, Izmailu i Kiszyniowa w Besarabii, Odessy, a później XX-wieczne w rejonie Wilna i Grodna. Historie rodzinne wzbogaca tłem

geograficznym i historycznym. Z charakterystyki środowisk swoich przodków wyciąga wnioski o współżyciu i zażyłości ludzi kresowych i żałuje, że rozproszenie po II wojnie światowej zniszczyło te wspólnoty.

(DTS)

📖 Doktor Tadeusz Kukiz, lekarz i humanista, także nasz autor, zakończył właśnie wydanie drugiej serii swoich książek. Pierwsza, 6-tomowa seria (1997–2002) – jak dobrze pamiętamy – dotyczyła obrazów sakralnych, przede wszystkim Madonn z terenu Małopolski Wschodniej i Wołyń, przewiezionych po II wojnie wraz z ekspatriantami w różne strony powojennej Polski, głównie na ziemię zachodnie. Druga seria to 4 książki poświęcone miejscowościom – również z terenu Małopolski Wschodniej – związanym z własną rodziną. Wcześniejsze tomiki dotyczyły Łopatyna, Radziechowa i Uhnowa, miejsc pochodzenia obojga rodziców, a obecny czwarty – Kukizowa, którego znaczenie, wobec brzmienia jego nazwy, ma znaczenie innego typu, lecz również szczególne.

Kukizów leży na pn. wschód od Lwowa, w odległości 20-kilku kilometrów, najbliższej Jaryczowa. Wody stąd spływają do Pełtwi i razem – w Busku – do Bugu. Tutejsze grunty to urodzajne czarnoziemy, ale są też moczary. W takiej okolicy zamieszkiwała ludność już w czasach prehistorycznych – znaleziono tu cmentarze z III tysiąclecia przed Chr. Natomiast najwcześniejsza wzmianka z nazwą Kukizowa datuje się z 1. połowy XV wieku. Tu właśnie powstaje problem: skąd ta nazwa miejscowości i skąd nazwisko rodziny Kukizów? Co je łączy? Co było pierwsze?

Autor dokonał niezwykłych wysiłków poszukując etymologii, a co za tym idzie – znaczenia nazwy i nazwiska. Studiowanie literatury i konsultacje u językoznawców doprowadziły do przekonania, że chodzi tu o źródłosłów orientalny, z grupy języków turecko-tatarskich. Zbliżone wyrazy pojawiają się w nazwach na Krymie, a jakiś udział w przeniesieniu ich na Ruś i na wschodnie



ziemie polskie mogli mieć Karaimi i Wołosi (wędrujący z Siedmiogrodu do Karpat Wschodnich, stając się Hucułami), a nawet Ormianie. Trzeba wyrazić podziw dla dra Kukiza za te żmudne badania historyczne oraz językoznawcze i słownikowe oraz liczne kontakty z naukowcami polskimi i zagranicznymi. Sam jednak nie czuje się w pełni usatysfakcjonowany i uważa, że tematem powinni się zająć profesjonalści.

Dalej omawia Autor rodziny i ciekawsze postacie spośród właścicieli dóbr kukizowskich, miejscową parafię, kościół i kolejnych proboszczów, a także Dom Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi (por. artykuły o nich w CL 4/10 i niniejszym).

📖 Krakowskie PTG „Sokół” wzbogaciło swój – dość już obfity – dorobek wydawniczy kolejną wartościową pozycją: luksusowo wydanym reprintem *Pamiętnika V Złotu Sokolstwa Polskiego w Krakowie w 1910 r.* Asumpt do tej edycji dała 500. rocznica Bitwy pod Grunwaldem w 1410 r., toteż Złot ów został nazwany *Grunwaldzkim*. Pierwotne wydawnictwo ukazało się we Lwowie nakładem Związku Polskich Gimnastycznych Towarzystw Sokolich w 1911 r., a obecne w 2010 r.; jego redaktorem jest **Konrad Firlej**.

Wydawnictwo ma formę albumu dużego formatu, w twardych okładkach, na kredowym papierze, ma piękną formę graficzną z wieloma cennymi zdjęciami, głównie z Krakowa, ale i wielu miast – gniazd „Sokoła” podzielonego jeszcze wtedy kraju.

Bogaty tekst otwierają dzieła poetyckie dwojga lwowskich poetów: *Rota* Marii Konopnickiej, wtedy właśnie napisana, oraz *Grunwaldzkie Pola pełne chwały* Jana Kasprowicza, dalej zaś wstrząsające kazanie lwowskiego biskupa-sufragana Władysława Bandurskiego.

W poszczególnych rozdziałach znajdujemy opis uroczystości złotych i zawodów, a także prezentację poszczególnych delegacji działaczy, m.in. z okręgów lwowskiego (V), tarnopolskiego (VI) i stanisławowskiego (VII).

📖 Wydawnictwo „Wołanie z Wołynia” (Biały Dunajec–Ostróg 2010), kierowane przez nieocenionego ks. Witolda J. Kowalowa, wydało w swojej serii *Biblioteka WzW* (jako tom 69)

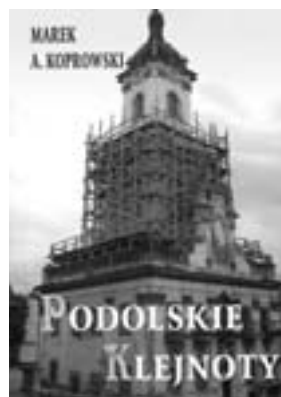
niezwykle ciekawą, ale zarazem o smutnej treści książkę. pt. *Podolskie klejnoty*, napisaną przez **Marka A. Koprońskiego**, reportera i podróżnika, zajmującego się od ponad 20 lat problematyką wschodnią. Książka zawiera 19 reportaży – opowieści o bardziej i mniej znanych miejscowościach naszego (choć dziś zaanektowanego) Podola – województwa tarnopolskiego, ale zaczętej w wołyńskim Krzemieńcu. Wiśniowiec, Brzeżany, Czortków, Okopy św. Trójcy, Trembowla, Buczacz, Zbaraż, Husiatyn, Zaleszczyki – to ważne miejsca polskiej historii i polskiego życia. I jeszcze Jałowiec, Dźwiniaczka – święte miejsca Polaków.

Autor opisuje miejscowości i ich tragiczne *klejnoty* – zbezczeszczone świątynie, nawiązuje do historii i słynnych postaci. Ale nade wszystko polecenia godne są jego rozmowy z Rodakami, opisy dramatów i ludzkich wysiłków pozostałych tam i coraz starszych mężczyzn i kobiet, przybywających księży, którzy nie cofają się przed największymi trudnościami – tymi obiektywnymi i tymi, które wynikają ze złej woli kolejnych okupantów.

To wszystko trzeba przeczytać.

📖 *Żydzi Lwowa. Opowieść* to oryginalny album fotograficzno-tekstowy, przygotowany przez dra **Leszka Allerhanda** i wydany przez Instytut Allerhanda (Kraków–Warszawa 2010). Autor, urodzony we Lwowie w 1932 r., zamieszkały dziś w Zakopanem, jest lekarzem, synem i wnukiem prawników. Jego dziadek, Maurycy Allerhand (1868–1942/43) był znanym profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza, a nazwisko tego znakomitego uczonego było już w naszym kwartalniku wymieniane kilkakrotnie.

Album o lwowskich Żydach dotyczy zarówno tej całej społeczności, jej historii i kultury od połowy XIII w. aż po koniec II wojny światowej, jak i wybitnych postaci i rodzin, w tym w pełni zasymilowanego w polskiej kulturze rodu Allerhandów, wywodzącego



się ze wschodniej i środkowej Galicji/Małopolski. Pierwszym o tym nazwisku, który osiadł we Lwowie, był wspomniany prawnik Maurycy.

Album obejmuje kilkaset cennych zdjęć, zarówno odnoszących się do Żydów, jak i do Lwowa w ogóle*. Zdjęciom towarzyszy wielowątkowy tekst opracowany przez autora albumu. Przedmowę napisał i część zdjęć ze swoich zbiorów dostarczył dr Adam Redzik**.

Treść albumu obejmuje sześć rozdziałów, z czego trzy pierwsze odnoszą się – jak wspomniano – do historii dawniejszej (1256–1772, 1772–1918, 1918–1939), trzy kolejne do czasów, które traktujemy jeszcze jako współczesne (choć to już też historia): okupacja sowiecka 1939–1941, okupacja niemiecka 1941–1944 oraz lipiec 1944 – marzec 1945. W pierwszej części znajdujemy m.in. zdjęcia wybitnych Żydów ważnych dla swojej społeczności, jak i tych, którzy stali się chlubą polskiego Lwowa, m.in. Wiktor Chajes, Szymon Askenazy, Majer Bałaban, Ludwik Ehrlich, Julian Kleiner, Hugo Steinhilber, Stanisław Ulam, Marian Hemar, Józef Wittlin, Tońko – Henryk Vogelfanger.

W albumie zwraca uwagę oddanie polskości. Leszek Allerhand skłania się do tej części lwowskich Żydów, którzy uważali się za Polaków. Znajduje w historii tej społeczności, a także w pełnych zawilości historyczno-kulturowych dziejach Lwowa takie wątki i takie środowiska, które świadczą o możliwości zżycia się – pomimo barier przede wszystkim religijnych – asymilującej się coraz szerzej części żydowskiej mniejszości z polską większością. Przykładami byli Allerhandowie, Wiktor Chajes, Stein-

Polska, mój polski Lwów, moja kultura polska to rodzice, których kocham, kocham, choć czasem się na nich gniewam i ich krytykuję; żydostwo to moja bliższa rodzina, której się nigdy nie wypieram ani wstydzę, do której w całej pełni się przynajmę.

Rodziców kocham...
Rodzinie dobrze życzę.

Wiktor Chajes,
wiceprezydent Lwowa w latach 1930–1939

Lwów o ponad 600-letniej polskiej tradycji, w historii swej jeden z najważniejszych ośrodków handlu w tej części Europy, miasto o wysokiej kulturze artystycznej i społecznej, przez wieki walczące o swoje godne istnienie z nawałą turecką, tatarską i kozacką, opierający się wojskom szwedzkim i ruskim, nękany częstymi pożarami i grabieżą, umiał przełamać liczne kataklizmy i trwać jako stolica województwa ruskiego, w okresie panowania austriackiego – stolica Królestwa Galicji i Lodomerii, a w okresie międzywojennym – jedno z najważniejszych miast Polski.

Od zarania miasto wielowyznaniowe, wielokulturowe, ze zgodnie współistniejącymi wyznawcami religii rzymskokatolickiej, prawosławnej, ormiańskiej, greckokatolickiej i innych.

Godne miejsce zajmowała mniejszość żydowska z jej odmienną kulturą, obyczajem, językiem i rytuałem religijnym. Mimo że na tych ziemiach często gorzko smakował codzienny chleb, mimo zamordowania w czasie II wojny światowej prawie całej żydowskiej społeczności Lwowa, ci nieliczni, którzy pozostali, rozproszeni dziś po całym świecie, ze wzruszeniem wspominają lata lwowskiego dzieciństwa i młodości, przekazując swą pamięć wnukom i prawnukom.

Mieszkańcy Lwowa są zawsze wierni swemu miastu, tak jak Lwów był zawsze wierny swojej Ojczyźnie.

Leszek Allerhand

hausowie, Marian Hemar. I wielu innych. W ramach zamieszczamy dwa cytaty, które o tym świadczą.

* Zdjęcia ulic, gmachów, kościołów, osób, dokumentów.

** W albumie w spisie literatury wymieniono także „Cracovia–Leopolis”. Dr Redzik zamieścił również w naszym kwartalniku artykuły i recenzje na inne tematy.

📖 W CL 3/10 omawialiśmy książkę **Bronisława Szeremety** pt. *Watażka – zbrodnie i zakłamanie wspomnienia*. Obecnie otrzymaliśmy wydanie w języku angielskim pt. *Deceptive Memoirs* (Wrocław 2004).

📖 Dużo, dużo poezji pisze się dziś o Lwowie, ale mało jej dla dzieci. Dla dzieci, którym trzeba wszak opowiadać o tamtym Mieście, o jego pięknie i radosnych mieszkańcach, ale i o smutku, który to Miasto i jego mieszkańców niezastępowanie pograżył.



Pisanie to oczywiście jedna strona medalu, druga to poezję tę, czy w ogóle literaturę, dzieciom (tym już podrośniętym) podsunąć. Dobry krok zrobił oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów PW w Brzegu, wydając tomik wierszy **Janusza Rzepkowskiego** z uroczymi ilustracjami – o nich poniżej – pod tytu-

łem **Pisane sercem i bałakiem** (2009).

Autor – wcale nie lwowianin ani „kresowianin”, urodzony grubo po II wojnie na Ziemiach Zachodnich – jest nauczycielem matematyki i dyrektorem szkoły podstawowej w Kopicach koło Brzegu. Ale – co bardzo ważne – z lwowianką ożeniony...

Właśnie dzięki żonie wszedł w środowisko, gdzie tradycje lwowskie są nadal żywe, bałak słychać niezmiennie (sam go przejął!). Swoją szkołę włączył więc bez wahania do Konkursu Recytatorskiego Poezji Lwowskiej i Kresowej im. Mariana Hemara, organizowanego corocznie przez oddział brzeski TMLiKPW. Na potrzeby konkursowe dzieci ze swojej szkoły zaczął więc pisać wiersze, i to w bałaku nabytym od żony z podlwowskich Prus (o Prusach też jest wiersz). Teraz wiersze te stały się tematem wspomnianego tomiku. Są lepsze i gorsze – wybraliśmy jeden i reproduujemy poniżej.

Książeczka ma jeszcze drugą stronę medalu: ilustracje. Pani Alicja Zbyryt, prezeska Towarzystwa w Brzegu, która tomik zredagowała, znalazła w „Cracovia–Leopolis” (2/10) serię rysunków pani Jadwigi Cieczkiewicz, którą zamieściliśmy swego czasu w naszym kwartalniku*, i zwróciła się do nas o ich udostępnienie do zbioru wierszyków. Chętnie na to się zgodziliśmy i dzięki temu tomik nabrał jeszcze wdzięku.

ZOSTALI SI TYLKO GUZIKI...

Pradziadek stareńki, lecz dobrze pamięta, jak stawał do wojska – „Ojczyzna rzecz święta”. A czas był okrutny – bez broni, bez chleba i dziadziu powtarza – „Tak bytu potrzeba”!

Dwóch wrogów my mieli – tak opowiada – faszystów z zachodu i ze wschodu – gada. Jeden wjechał głośno, strzelał, bombardował, a drugi jak ten Judasz, za plecy si schował.

Tyli co du wojska my młode stawiali, mundury całkiem nowe, plecaki dostali, a broni i chliba nie dla wszystkich było, a my Niemca bić chcieli, aż nas świerbiło!

Mieli my si szkolić, na wroga czekali, a tymczasem ruskie ud tyłu nas dustali. Wzięli w plen, z Hitlerem tak si dogadali, że my wielgim wrogiem dla obu si stali.

*Ja si uratował, ucił im z niewoli
i więcej nie zobaczył kulegów niedoli.
Do chat nie wrócili, choć wszystkie czekali
I tylko si guziki po nich nam zostali.*

*Są tam hen na kresach miejsca nieodkryte,
w drzew korzenie żołnierze wtuleni czekają,
w szynele plutony jedynie spowite
na ostatni apel ustawić się mają.*

2008

* Rysunki te, ilustrujące bałak, otrzymaliśmy najpierw wśród pamiętek w spuściźnie po dr. T. Krzyżewskim, a potem jeszcze powtórnie dzięki p.dr D. Różyckiej, która napisała wspomnienie o Pani Jadzi.

📖 Podobnie jak Państwo nasze podejmuje się ratowania po pogromie sowieckim* obiektów architektury (niestety w mniejszym stopniu ich strony wewnętrznej, bo to staje się często niemożliwe) i tzw. małej architektury (np. nagrobków) – trwają prace nad inwentaryzowaniem i publikowaniem zbiorów muzealnych, zachowanych na terenie Lwowa i Małopolski Wschodniej.

Nasi naukowcy – historycy i historycy sztuki, bibliotekarze i inni specjaliści – nawiązują kontakty z muzeami, archiwami i bibliotekami oraz z tamtejszymi naukowcami, by razem przebijając się przez zwały materiałów, między którymi kryją się skarby naszej kultury, tak jakościowo, jak ilościowo. Akcją sponsoruje Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego i doprowadza do

edycji tych materiałów w postaci przeważnie albumów (nb. pięknie wydawanych). Seria ta nazywa się *Poza Krajem*, a tomy można zakupywać jedynie w Warszawie, w siedzibie Ministerstwa KiDN.

Jednym z tych wydawnictw jest album **Plakat polski** w opracowaniu **Agnieszki Szablowskiej** i **Mariany Seńkiw**. Niestety nie posiadamy tego znakomitego tomu, opieramy się więc na recenzji z „Rzeczpospolitej” z 20–21 III 2010, napisanej przez T. Stańczyka (tytuł recenzji: *Książki, o których nie wiecie*).

Jak piszą autorki: *Album jest lekcją historii polskiego plakatu do 1939 roku w tysiącu stu obrazach, bo aż tyle reprodukcji liczy książka, oraz prezentuje prace znakomitych grafików, m.in. Stefana Norblina, Edmunda Bartłomiejczyka, Kazimierza Sichulskiego, Karola Frycza, Władysława Skoczylasa, Marka Żuławskiego i najbardziej znanego wśród nich twórcy plakatu – Tadeusza Gronowskiego...*

Plakat bardziej niż inne gatunki sztuk plastycznych jest dokumentem czasu. Propagowano prasowanie elektryczne, informowano o budowie okrętów w polskiej stoczni, zachęcano do kupowania polskich samochodów „Stetysz” i korzystania z polskiej linii lotniczej „LOT” oraz nabywania wielu innych krajowych wyrobów.

Osobna uwaga należy się plakatom związanym ze Lwowem. Oglądamy plakaty o pierwszej polskiej wystawie awiatycznej w gmachu Politechniki Lwowskiej (IX–X 1910), o Międzynarodowych Targach Wschodnich, o słynnych firmach – lwowskiej wytwórni wódek Baczewskiego i Książnicy Atlas, o sezonie zimowym w Truskawcu.

* Pogrom w wydaniu ukraińskim trwa nadal, choć w mniejszym stopniu; polega on na burzeniu budowli – raczej na ich przebudowie, pozbawianiu cech polskiej i rzymskokatolickiej tożsamości.

BYŁO RÓŻNIE

W krakowskim „Dzienniku Polskim” z 1 IX 2010 znalazła się rozmowa red. W. Knapa z prof. Andrzejem Chwalbą, zatytułowana *Miasto Hansa Franka*. Redaktor stawia pytanie: *W czasie okupacji krakowianie poddani byli terrorowi, ale też kwitło tu życie kulturalne, towarzyskie. Pełne były kina, kawiarnie, chętnie chodzono do filharmonii, cyrku itp. Czy taka postawa powinna dziwić współczesnych?*

Profesor odpowiada: *W żadnym wypadku. W całej Europie kina były pełne, również w Warszawie. Takie zachowanie było i jest naturalnym zachowaniem ludzi znajdujących się w stanie permanentnego zagrożenia.*

Prawda i nieprawda. Owszem, w Warszawie czy Krakowie tak było. Owo zagrożenie dotyczyło w zasadzie ludzi, którzy mieli do tego szczególne powody, a nie wszystkich i nie wszędzie. Natomiast trudno sytuację w Polsce centralnej porównywać z tym, co działo się we wschodniej połowie kraju, zagarniętej przez Sowietów. Tam nikt nigdy nie był niczego pewien, a o życiu kulturalnym – poza szczególnym, organizowanym przez sowieckiego okupanta, o kawiarniach (w rozumieniu zachodnim) lub tp. nie ma co mówić. Po wejściu Niemców było źle, jednak trudno było porównywać sytuację w Krakowie i Lwowie. Psychoza strachu i niepewności pozostała. Lwowiacy, którzy przyjeżdżali wtedy do „starego GG”, byli zaszokowani tym, co zobaczyli na ulicach, w kawiarniach i w domach Krakowa czy ówczesnej Warszawy (bo tam skończyło się tragicznie). Eleganccy panowie z tych miast przyjeżdżali do Lwowa i wykupywali wszystko, co cenne, a lwowiacy wyzbywali się tego, by żyć. Jeszcze to dobrze pamiętamy.

Krakowianie w tamtych czasach mieli prawo (?) nie wiedzieć, co się dzieje na wschodzie (dawali też wyraz swojemu niedowiarstwu, często mało sympatycznemu). Ale po kilkudziesięciu latach i możliwości porównań warto już ostrożnie wypowiadać się o czasach okupacji i ludzi w nich żyjących. A w każdym razie nie uogólniać.

SERIA WYDAWNICZA

„BIBLIOTEKA HISTORYCZNA ARCHIWUM METROPOLII LWOWSKIEJ OBRZĄDKU ŁACIŃSKIEGO W KRAKOWIE

redaktor: ks. prof. Józef Wołczański

SERIA A: ŹRÓDŁA I MATERIAŁY

- tom 1: ks. Teofil Skalski, *Terror i cierpienie. Kościół katolicki na Ukrainie 1900–1932. Wspomnienia*. Opracowanie, wstęp, przypisy, indeksy oraz wybór aneksów i fotografii J. Wołczański, Lublin–Rzym–Lwów 1995
- tom 2: *Nieznana korespondencja arcybiskupów metropolitów lwowskich Józefa Bilczewskiego z Andrzejem Szeptyckim w czasie wojny polsko-ukraińskiej 1918–1919*. Opracowanie, wstęp, przypisy, indeksy, wybór aneksów i fotografii J. Wołczański, Lwów–Kraków 1997
- tom 3: ks. Józef Anczarski, *Kronikarskie zapisy z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej 1939–1946*. Wyd. 2 poprawione i uzupełnione. Opracowanie, wstęp, przypisy, indeksy oraz wybór fotografii J. Wołczański, Lwów–Kraków 1998
- tom 4: ks. Zygmunt Hałuniewicz, *Zostaje tylko pamięć... Listy z łagrów 1947–1953*, cz. 1–3. Opracowanie, wstęp, przypisy, indeksy oraz wybór fotografii J. Wołczański, Lwów–Kraków 1998–1999
- tom 5: *Dokumenty Kościoła rzymskokatolickiego archidiecezji lwowskiej w zasobach Centralnego Państwowego Archiwum Historycznego Ukrainy we Lwowie*. *Inwentarz*. Opracował, wstępami opatrzył i podał do druku J. Wołczański, Kraków 2007
- tom 6: ks. Teofil Skalski, *Terror i cierpienie. Kościół katolicki na Ukrainie 1900–1932. Wspomnienia*. Wyd. drugie, poprawione i uzupełnione. Opracowanie, wstęp, przypisy, indeksy oraz wybór aneksów i fotografii J. Wołczański, Kraków 2008
- tom 7: *Inwentarz akt wydziałów i studiów Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie do roku 1939*, cz. 1. Opracował i podał do druku J. Wołczański, Kraków 2009

tom 8: *Inwentarz akt wydziałów i studiów Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie do roku 1939*, cz. 2. Opracował i podał do druku J. Wołczański, Kraków 2010

SERIA B: STUDIA

- tom 1: *Kościół na drogach historii. Księga jubileuszowa dedykowana Księdzu Profesorowi Doktorowi Tadeuszowi Śliwie*, red. J. Wołczański, Lwów–Kraków 1999
- tom 2: s. M. Stefania Jaworska, *Dzieje Zgromadzenia Sióstr św. Józefa w latach 1884–1939*, Lwów–Kraków 1999
- tom 3: ks. Adam Kubasik, *Arcybiskupa Andrzeja Szeptyckiego wizja ukraińskiego narodu, państwa i Cerkwi*, Lwów–Kraków 1999
- tom 4: *Pasterz i twierdza. Księga jubileuszowa dedykowana księdzu biskupowi Janowi Olszańskiemu, ordynariuszowi diecezji w Kamieńcu Podolskim*, red. J. Wołczański, Kraków–Kamieniec Podolski 2001
- tom 5: Józef Wołczański, *Wydział Teologiczny Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie 1918–1939*, Kraków 2002
- tom 6: Józef Wołczański, *Między zagładą a przetrwaniem. Wybrane obiekty sakralne archidiecezji lwowskiej i diecezji przemyskiej obrządku łacińskiego na Ukrainie Zachodniej 1945–1991*, Kraków 2005
- tom 7: Józef Wołczański, *Eksterminacja narodu polskiego i Kościoła rzymskokatolickiego przez ukraińskich nacjonalistów w Małopolsce Wschodniej w latach 1939–1945. Materiały źródłowe*, cz. 1, Kraków 2005; cz. 2, Kraków 2006
- tom 8: *Wytrwać i przetrwać jak Bóg daje. Świadkowie Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie Sowieckiej 1917–1991*, red. J. Wołczański, Kraków 2010

Wertując wydawnictwa

➔ W „Rzeczpospolitej” z 14 X '10 Piotr Kościński omawia film nakręcony przez Ukraińców pt. *Złoty wrzesień* reż. Tarasa Chymyca, a **ukazujący okres okupacji sowieckiej** we Lwowie i Małopolsce Wschodniej. Film ma charakter antysowiecki, proukraiński, ale ukazuje również – choć nie bez braków – tragiczne losy Polaków. Film rozpoczyna się od wkroczenia armii sowieckiej do Lwowa, co wspominają starsi mieszkańcy miasta. Dwoje Polaków mówi o tym z trwogą, Ukraińcy z nadziejami i obawami, Żydzi z entuzjazmem. Potem kolejne etapy sowietyzacji życia, opowiadanej oczywiście z ukraińskiego punktu widzenia.

W filmie ani słowem nie wspomina się o obronie Lwowa we wrześniu '39, o zabranii polskich oficerów do obozów NKWD i wymordowaniu ich w Charkowie. Polskie *podziemie* potraktowane zostało mimochodem, nie ma mowy o ZWZ, AK. Główna uwaga twórców skupiona jest na *podziemiu* ukraińskim – OUN.

Pomimo tego film, jak uważa P. Kościński, wart jest obejrzenia, ponieważ na pytanie – czy wrzesień 1939 r. stanowił *wyzwolenie spod polskiego panowania* czy sowiecką okupację – twórcy odpowiadają: to była okupacja. Recenzent zauważa, że to jest coś nowego, ponieważ obecnie na Ukrainie, za Janukowycza, przywracane są sowieckie tradycje, a odpowiedzią zachodnich Ukraińców jest wzrastający nacjonalizm, także antypolski.

Na marginesie: w krakowskim „Dzienniku Polskim” przeczytaliśmy krótki artykuł pt. *Coraz mniej Ukraińców* (podpisany – *tas.*, co zapewne oznacza *Tatiana Serwetnyk*). Oto fragmenty artykułu:

Do 2050 roku liczba mieszkańców Ukrainy spadnie do 25 milionów – alarmuje Ministerstwo Rodziny, Młodzieży i Sportu. Resort powołuje się na prognozy ONZ i przypomina, że w ciągu ostatnich lat liczba Ukraińców już spadła z 52 do 46 milionów. Jakże się tego przyczyni? Wskaźnik śmiertelności na Ukrainie półtora raza przewyższa wskaźnik urodzeń; sytuacja gospodarcza i tryb życia. Wg danych Banku Światowego za granicą przebywa obecnie ponad 6 mln Ukraińców.

➔ Rocznicą walk o Lwów w listopadzie 1918 r. (to już 92 lata!) dała młodym entuzjastom historii z Krakowa, Mrągowa i czeskiego Brna okazję (nie po raz pierwszy) do rekonstrukcji ówczesnego zdobycia Lwowa. Inscenizacja odbyła się w Krakowie w forcie Krzesławice (dziś na terenie Nowej Huty). W roli Ukraińców wystąpili Czesi z Brna w mundurach austriackich, a Polacy w mundurach żołnierzy Legionów Polskich. Cytujemy relację z notatki **Lwów w polskich rękach z „Dziennika Polskiego” z 3 XI '10**:
... Rekonstrukcja była dynamiczna, „Ukraińcy” bronili się za barykadami z worków z piaskiem, a Polacy co rusz przypuszczali na nie ataki. W murach starego fortu rozlegała się karabinowa palba (rekonstruktorzy mieli strzelającą broń) oraz huk armatnich wystrzałów. Ustawione na wale działo, należące do Tradycyjnego Oddziału (replika 8 cm armaty polowej Wz. 1905/08), dawało bowiem efektownie ognia w kierunku wroga. Po dłuższej wymianie strzałów, kilku odpartych atakach i kilku starciach wręcz Polacy wyparli „Ukraińców” z kolejnych pozycji i odzyskali teren. Oznaką zwycięstwa było wciągnięcie na maszt biało-czerwonej flagi i okrzyki „Lwów nasz!”...

➔ W CL 3/07 omawialiśmy numer 16 „Czasopisma Zakładu Narodowego im. Ossolińskich”, nie ukrywając złego wrażenia, jakie wtedy odebraliśmy. Od tamtego czasu ukazały się dwa następnym numery: 17 (z datą 2006 r.) i całkiem ostatnio 18/19 (z 2008 r.*). Tu już nasze wrażenia są inne. Idzie o to przede wszystkim, że zamieszczone w obu numerach **materiały dotyczą spraw polskich**, i w tych ramach, w dużej części problematyki lwowskiej i wschodnio-małopolskiej, czy też związanej z Ziemią Wschodnimi w ogólności. I jak zawsze spraw ossolińskich.

W numerze 17 znalazło się 10 artykułów naukowych. Naszą uwagę zwróciły przede wszystkim dwie prace: *Sytuacja ludności polskiej w regionie czortkowskim w 1945 r. w świetle raportów obwodowego delegata Rządu RP w Czortkowie, J. Opackiego* (autor M. Matwijów) oraz relacja [...] z przeprowadzenia gen. K. Sosnkowskiego przez Karpaty Wschodnie do granicy z Węgry w IX/X 1939 (autor T. Serwatka). Wśród materiałów związanych ze zbiorami ossoliń-

skimi znajdujemy relację *Z Afryki do Polski. Dar Eustachego Sapiehy dla Ossolineum*, a dalej omówienie „*Katalogu monet rzymskich*” W. Kętrzyńskiego z kolekcji lwowskiej w zbiorach *Ossolineum*.

Numer 18/19 jest inny niż dotychczasowe: w twardej okładce (i o wiele droższy). Czy już tak będzie na stałe?

Numer zawiera 14 artykułów naukowych. Materiał układa się, jak zwykle, w dwóch głównych działach: *Rozprawy i materiały* oraz *Zbiory*, a ponadto *Jubileusz 190-lecia Zakładu Narodowego im. O. Rozpiętość* tematyczna i czasowa jest niemała, bo w pierwszej części czytamy o dziełach polskiego baroku, o zarazach opisywanych w literaturze XIII-wiecznej, a dalej o Bibliotece Baworowskich we Lwowie i o Panoramicie Plastycznej Lwowa; wiersze o tematyce

ossolińskiej, a wreszcie o sprawach środowiska emigracyjnego w Londynie**.

W dziale *Zbiory* (oczywiście ossolińskie) czytamy o dwóch spośród wielu kolekcji należących do Ossolineum. W ostatniej części znalazło się kilka artykułów z historii ZNiO i całej serii wystaw, związanych z *Jubileuszem*.

Tego właśnie wszystkiego oczekujemy po czasopiśmie ZNiO: o Polsce, o Lwowie, o Ossolineum.

* Nie jesteśmy pewni, jak często powinno ukazywać się to czasopismo.

** Artykuł o tematyce emigracyjno-politycznej został opracowany na podstawie materiałów pozostałych po księciu Eustachym Sapieże w Nairobi, gdzie żył po wojnie, pozostając w kontakcie z *polskim Londynem*.

LUDZIE W „CRACOVIA-LEOPOLIS” (13) ROCZNIK 2010

Poprzednie listy zamieszczono w numerach: 4/98, 1/2000, 4/2000, 4/01, 1/03, 1/04, 4/04, 4/05, 1/07, 4/07, 4/08, 4/09.

Adamski Jan	4/10
Badeni Kazimierz, o. Joachim	3/10
de Barbaro, rodzina	2/10
Bochenek Zbigniew	3/10
Borucki Gwido	2/10
Duniecki Stanisław	1/10
Chajes Wiktor	3/10
Chruściel Tadeusz	3/10
Ciechanowski Henryk	2/10
Ciechkiewicz Jadwiga	2/10
Cybulski Władysław	3/10
Feliński Zygmunt Szczęsny, abp św.	4/02, 4/10
Haczewska Danuta	1/10
Józków, rodzina	2/10, 4/10
Józków Marian	2/10
Juzwa, rodzina	4/10
Krawczyński Wiesław	S/03, 1/10
Kuchar, rodzina	1/10
Kurtyka Janusz	4/2000, 2/10, 3/10
Lachowicz Tadeusz Zygmunt	4/10
Leszczuk Jadwiga	3/10
Makomaska-Tylko Anna	1/10

Marconi Leonard	3/10
Mossoczy Tadeusz	3/10
Nowak Kazimierz	1/10
Opalek, rodzina	4/10
Ostrowska-Belza Dziewicka Krystyna	1/10
Parandowski Jan	2/10
Parczewski Michał	2/06
Pawlak Anna	3/10
Przewoźnik Andrzej	5/98, 2/10
Puchalski Włodzimierz	3/96, 3/04
Różycka Danuta	2/10
Sandecka Irena	3/10
Smolka Franciszek	4/10
Stanek Zofia	3/10
Szałajko Urszula	1/10
Szuperski Zbigniew	3/10
Taszycka Maria	4/02
Till Ernest	2/10
Wachowicz Barbara	3/10
Warachim Karol, o. Hieronim	1/10
Weyssenhoff Antoni	3/10
Widajewicz Józef	3/10
Zappe, rodzina	1/10
Zieliński Adam	4/10
Żaki Andrzej	3/98, 2/06
Żurawski Adam	2/10

LISY

DO REDAKCJI



Od prezesa Kresowego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego im. Orłąt Lwowskich w Żarach, p. Józefa Tarniowego, otrzymaliśmy list adresowany do Redakcji „Cracovia–Leopolis”:

Środowisko wygnańców kresowych, zamieszkujące Ziemię Żarską i polskie Łużyce, od kilku lat wzbogaca zbiory prowadzonych przez nas: Biblioteki Kresowej, Muzeum Kresowego, Galerii Kresowej, Domu Kultury Kresowej (jesteśmy właścicielami sporej nieruchomości w Żarach przy ul. Bohaterów Getta 22, którą stale upiększamy i rozbudowujemy). Muzeum Kresowe im. ks. abpa Ignacego Tokarczuka zgromadziło już kilkaset cennych eksponatów (w tym królewski dar JE ks. abpa I. Tokarczuka i podolskiego misjonarza o. Józefa Chromika TJ (dziś z Krakowa).

Biblioteka Kresowa im. ks. prof. M.A. Krąpca już posiada zbiór ok. 7 tysięcy cennych kresowych woluminów i dokumentów. W okresie wielkanocnym zostaliśmy obdarowani po królewsku zbiorem 540 wartościowych, dziś niedostępnych na rynku publikacji kresowych. Szlachetnym darczyńcą jest niestrudzony kronikarz Kresów, autor cyklu książek *Madonny kresowe*, całym życiem służący Kresom i Kresowianom, wielce szanowany przez nas dr Tadeusz Kukiz z Wrocławia.

Podziękowaniem w powszechnie cenionym Waszym Piśmie pragniemy okazać naszą wdzięczność, ale i zachęcić Kresowian i Przyjaciół do chronienia w muzeach i bibliotekach (nie tylko naszej) cennych pamiątek i wydawnictw.

Serdecznie dziękujemy za miłe słowa i informacje o sprawach mało nam dotąd znanych. Wasza aktywność i oddanie Kresom zasługuje na uznanie i poparcie.

Z naszej strony sugerujemy nawiązanie kontaktu z Muzeum Niepodległości w Warszawie, które stawia sobie podobne cele. Wasza współpraca mogłaby zaowocować dalszymi osiągnięciami po obu stronach.

Pan Andrzej Pawłowski przekazuje z Krakowa swoje uwagi na temat artykułu p. Tadeusza Olszańskiego, opublikowanego w CL 64.

W artykule *Jak Stanisławów stał się znowu Polską* znalazłem kilka mylnych informacji. Oto one:

1. Na s. 26 w lewej kolumnie napisano, że gniazdo „Sokoła” powstało w Stanisławowie w roku 1886. W rzeczywistości powstało w roku 1884.

2. Też na s. 26 w lewej kolumnie napisano, że Stanisław Sosabowski był dowódcą Dywizji Spadochronowej. Generał Stanisław Sosabowski był twórcą i dowódcą I Samodzielnej Brygady Spadochronowej.

3. Na stronie 28 w prawej kolumnie: Stanisław Maczek wkroczył do Stanisławowa na czele części kompanii – słynnej „Lotnej” – będąc w stopniu porucznika, a nie kapitana, jak napisano.

Szalenie dziękujemy za te spostrzeżenia, ważne dla Historii.

Miły dla nas list z Legnicy od pana Kazimierza Bieleckiego:

Droga Redakcjo kw. „Cracovia–Leopolis”! Mam zaszczyt złożyć Wam najserdeczniejsze życzenia pogodnych i radosnych Świąt Bożego Narodzenia oraz wszelkiej pomyślności w Nowym Roku 2011. W szczególności życzę utrzymania kwartalnika na dotychczasowym wysokim poziomie edytorskim i intelektualnym, co najmniej w niepomniejszonej, a wręcz o 100% większej objętości. Przecież macie w przygotowaniu mnóstwo materiałów do opublikowania, a do zapalenia tylko 4 numery w roku. Jesteście najlepszym periodykiem kresowym w Polsce, więc sprawa oczywista, że to zobowiązuje. [...]

Przepraszam za ten „doping”, chyba dozwolony. Jako stary lwowiak i wierny czytelnik Waszego pisma staram się czasem odezwać [...], ale po prostu Was Wszystkich Kocham! Mam jednak już coraz słabszą pamięć, więc nie jestem pewny, czy pisaliście już kiedyś o losach zasłużonego dla Lwowa pisarza Stanisława Wasylewskiego (1885–1953). Posyłam Wam do ew. wykorzystania obszerny artykuł o losach wojennych i powojennych tego piewcy Lwowa, autora licznych książek (Lwów – monografia, *Bardzo przyjemne miasto* itd.), zamieszczony w nr 4/1987 tygodnika „Tak i Nie”, wydawanego ongiś w Katowicach. Myślę, że to ciekawy materiał na obronę niesłusznie skalanego w początkach PRL-u pisarza. [...]

Bardzo serdecznie dziękujemy, Panie Kazimierzu, za te miłe słowa. Materiał o Wasylewskim zapewne wykorzystamy, jeśli tylko los pozwoli.

ZAULEK I POD GRUSZKĄ

Tematy spotkań TMLiKPW w Krakowie, rok 2010
– w Klubie „Zaułek” do końca I półrocza,
– w Klubie „Pod Gruszką” od II półrocza.

- 5 I Występ p. Adama Żurawskiego (Bytom);
- 2 II P. Wiesław Krawczyński opowiada o swoich przeżyciach łagrowych;
- 2 III P. Adam Jerzy Chowaniec wspomina przedwojenne wakacje i spotkania w Jaremczu;
- 6 IV P. Anna Kubajak (Krzeszowice) mówi o zsyłkach z Kresów Wschodnich na Syberię, z przeżyciami. Prezentuje pisane przez siebie i wydawane książki;

- 4 V P. Ryszard Kucała przedstawia filmy z przedwojennymi zdjęciami Lwowa;
- 1 VI Dr Lucyna Kulińska mówi na temat: *Kresy wczoraj i dziś*;
- 29 VI Ostatnie spotkanie w „Zaułku”: pokaz filmów o Tońku i o historii Lwowa.
* * *
- 7 IX Pierwsze spotkanie „Pod Gruszką”: Dyr. Mariusz Graniczka omawia akcję wyjazdów młodzieży gimnazjalnej na Kresy;
- 5 X Dyr. Stanisław Dziejdzic składa relację o Dniach Krakowa 2010 we Lwowie;
- 9 XI P. Henryk Dziejdzic oprowadza po Muzeum krakowskiego „Sokoła”;
- 7 XII P. Teresa Siedlar-Kołyżko opowiada o podróżach w 2010 r. na Ukrainę i Białoruś.

LISTA OFIARODAWCÓW (3)

na wspomnienie wydawnictwa kwartalnika **CRACOVIA–LEOPOLIS**

Ewa Cieńska-Fedorowicz, Laski-Izabelin; Tadeusz Józków, Milicz; Teresa Karwicka, Toruń; Andrzej Konopliński, Poznań; Jan Sosnowski, Pniewnik; Krzysztof Szczur, Szczecin; Towarzystwo Miłośników Lwowa i KPW, Oddział Brzeg; Darczyńca anonimowy

Niniejszy numer CRACOVIA–LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

Czasopismo Oddziału Krakowskiego

Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościk, Romana Machowska, Anna Madej, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalnikach CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Romana Machowska, tel. (12) 637 13 21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzielskiego 1, tel. (12) 413 76 51

Nakład 700 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Słowo od redakcji PAMIĘĆ I KULTURA		Proza	
	1	Mirosław Żuławski	
		DALEKO I WYSOKO	38
Przemyslenia			
Wiesław Opałek		s. Mateusza Trynda OP	
LWÓW – MIASTO NIEOBECNE	2	SIOSTRY DOMINIKANKI...	41
22 listopada 2010			
Ks. Józef Wołczański		Słownik geograficzno-	
NA CÓŻ KRZYK ORLĄT...	3	historyczny	
Paweł Naleźniak		LWÓW – WAŻNIEJSZE ULICE I PLACE	23
MODLITWA WIERNYCH 2010	6		
		Z tamtej strony	
Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski		NOWA KADENCJA FOPnU	45
ZERWALI FLAGĘ...	7	Teresa Dutkiewicz	
		JUBILEUSZ KONSULATU RP W CHARKOWIE	45
		WYDARZENIA	46
Tamten Lwów			
Mieczysław Gębarowicz		8 W Krakowie i dalej	
KULTURA UMYSŁOWA LWOWA...	8	Elżbieta Mokrzyńska	
Adam Krajewski		11 TARNOPOLANIN	46
LWOWSKIE PRZEDMIĘSCIA (3)	11	Z ŻAŁOBNEJ KARTY	47
Tadeusz Fabiański		14 NOTATKI	48
SWASTYKA I BATIARY	14		
Apel		15 Kultura ♦ Nauka	
POMNIK W SOKOLNIKACH	15	Janusz Paluch	
		SESJA O LWOWSKIM SŁUDZE BOŻYM	49
Rozmowy		LWOWIANIN LAUREATEM W LUBLINIE	49
Janusz M. Paluch		16 KONFERENCJA NAUKOWA W GLIWICACH	50
ROZMOWA Z DR DANUTĄ NESPIAK	16	DNI LWOWA 2010 W WARSZAWIE	51
Wspomnienia			
Romana Link-Machowska		21 Teresa Dutkiewicz	
CZTERY POKOLENIA INŻYNIERÓW (1)	21	MUZYKOWANIE WE LWOWIE	51
Aleksander Świstun		KRONIKA	52
WSPOMNIENIA PODOLSKIE (1)	24		
		25 Książki ♦ Czasopisma	
Adam Trojanowski		32 NOWE KSIĄŻKI	52
TAK BYŁO W MOIM MIĘŚCIE	32	BIBLIOTEKA HISTORYCZNA METROPOLII	
Tadeusz Olszański		LWOWSKIEJ...	61
GÓRKA I REWERA	33	WERTUJĄC WYDAWNICTWA	62
Maria Mokrzykowa		36 LUDZIE W CRACOVIA–LEOPOLIS	63
WSPOMINAM MEGO WUJA...	36		
		37 LISTY	64
Archiwum			
ZDJĘCIA Z DWÓCH KATEDR	37	38 ZAŁĘK I POD GRUSZKĄ	III
		LISTA OFIARODAWCÓW	III
Poezja			
Andrzej Chciuk			
LWOWIACY	38		